KOLEJNY DELFIN JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO

Przemysław Czarnek – pierwszy po prezesie?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 44/653 27 PAŹDZIERNIKA–2 LISTOPADA 2025
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Gerhard Schröder – ojciec chrzestny gazociągów Nord Stream

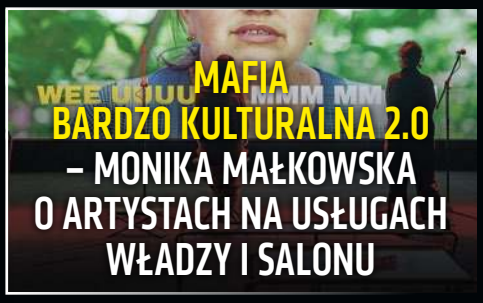

MAFIA BARDZO KULTURALNA 2.0 – MONIKA MAŁKOWSKA O ARTYSTACH NA USŁUGACH WŁADZY I SALONU

„Ministra" Dziemianowicz-Bąk rujnuje gospodarkę Polski

JAK VIKTOR ORBÁN WZMACNIA POZYCJĘ WĘGIER

Wirtuoz z Budapesztu

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

ROCZNA SUBSKRYPCJA DoRzeczy+ GRATIS

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.

Paweł Lisicki
REDAKTOR NACZELNY TYGODNIKA „DO RZECZY"

Rafał A. Ziemkiewicz
PISARZ I PUBLICYSTA TYGODNIKA „DO RZECZY"

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl e52cb26f6a

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Jak pozbyć się Brauna?

Nie jest niczym odkrywczym stwierdzenie, że żaden inny polski polityk nie budzi takiej złości lewicowych i liberalnych salonów jak Grzegorz Braun. Jego po prostu nie ma prawa być i fakt, że jeszcze nie siedzi za kratkami, ewentualnie nie żebrze pod mostem o chleb, musi wszystkich ludzi właściwie i słusznie myślących napawać gniewem i oburzeniem. Wprawdzie mogą zawsze dodawać, kariera tego dziwacznego antysemity, ksenofoba, ukrofoba, antyszczepionkowca, putinisty i prawicowego ekstremisty (wszystko to są życzliwe epitety, których mu właściwie myślący nie szczędzą) potwierdza nasze najgorsze podejrzenia odnośnie do Polaków, ale jednak dość tego. Wszystko ma swoje granice i dlatego również polski kołtun, który dał się zwieść, musi zostać, krótko, wzięty za pysk.

Problem w tym, że na razie nie wiadomo, jak to zrobić. Otóż w tej sytuacji trudnej i bardzo, bardzo niekomfortowej lewicowy salon nie ma wyjścia i musi (a fe, a fe) pogodzić się z myślą (obmierzłą co do zasady), że Braunem i jego wyskokami zajmie się Donald Trump. No, może jeszcze nie sam prezydent USA, ale jego wysłannik, nowo mianowany gubernator (bo w takiej roli go obsadzają ci, którzy wiedzą lepiej) na Polskę. Ten to z niesfornym happenerem zrobi porządek. A pora najwyższa, bo Braunowi poparcie rośnie.

To, że to, co piszę nie jest jedynie wymysłem, ale planem, doskonale pokazuje ostatni, sążnisty artykuł Dominiki Wielowieyskiej, wielkiej diwy publicystyki „Gazety Wyborczej". Najpierw dostrzegła ona z nieskrywaną nutką aprobaty, że „jak zauważył Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych, sąd od razu ustalił terminy wszystkich dziewięciu rozpraw [przeciw Brunowi]". Następnie przeprowadziła szybki rachunek, z którego wyszło, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z rozkładem do końca roku 2027 – najpierw pierwsza instancja, potem druga, podtrzymany wyrok skazujący – to lider Korony straci mandat europosła i jako przestępca nie będzie mógł wystartować w wyborach do Sejmu.

Publicystka „GW" nawet nie zastanawia się nad tym, czy zarzuty przeciw europosłowi są prawdziwe. Ona już wie. Ona martwi się tylko, czy aparat sędziowski zdąży na czas wyeliminować Brauna z życia publicznego. Nie jest to wcale pewne, bo skazanie przez sędziego to tylko połowa sukcesu. Lider Korony bowiem może liczyć na ułaskawienie ze strony prezydenta Karola Nawrockiego, którego przecież jednoznacznie poparł w II turze.

I w tym momencie analizy pojawia się właśnie nie kto inny, jak nowy ambasador USA, największa nadzieja salonów na poskromienie i okiełznanie czarnego ludu. „A funkcję ambasadora USA wkrótce zacznie pełnić Tom Rose, znany z mocno proizraelskich poglądów, występujący często w jarmułce". Wszystko jasne. Skoro w Warszawie pojawi się Tom Rose, formalnie jako przedstawiciel USA, ale „znany z mocno proizraelskich poglądów, występujący często w jarmułce", to jest nadzieja, że prezydent Nawrocki mu nie podskoczy. „Nawrocki, który szczyci się dobrymi relacjami z administracją Donalda Trumpa, zbyt wiele by ryzykował, idąc na rękę Braunowi". Inaczej: polski prezydent nie będzie śmiał, nawet gdyby chciał, ułaskawić Brauna, bo w tyle głowy będzie wiedział, że takie posunięcie ściągnie na siebie niezadowolenie amerykańskiego dyplomaty „występującego często w jarmułce". I w ten sposób epopeja Brauna zakończy się raz na zawsze, kompromitujący Polskę polityk zniknie, rozpłynie się, odejdzie w siną dal.

Niezwykły to tekst. Po pierwsze, jak na standardy lewicy wyjątkowo szczery. W głowie publicystki „GW" na tym właśnie polega demokracja: jeśli kogoś nie lubię, to ma się go pozbyć wymiar sprawiedliwości, a jeśli to nie wystarczy, to obce mocarstwo. Po drugie, z niezwykłą jasnością wyraża przekonanie, że polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych jest w istocie pochodną roszczeń Izraela. Tym, co wyróżnia w oczach autorki z Czerskiej Toma Rose'a, nie jest przecież jego troska o interesy Waszyngtonu, ale to, że jest proizraelski. Dla niej i dla podobnie myślących fakt, że ambasador USA będzie pilnował interesów Izraela, nie jest nie tylko niczym dwuznacznym, lecz także w tym pokładają nadzieję.

Po trzecie, tekst Dominiki Wielowieyskiej jest chyba najbardziej autentyczną apologią polskiej murzyńskości, jaką ostatnio czytałem. Autorka nawet się nie waha. Polski prezydent w jej świadomości jest marionetką, która ze strachu przed zmarszczeniem brwi potężnego mocodawcy zza oceanu nie będzie śmiała zdobyć się na własną decyzję. Silni są silni, słabi są słabi. Polska ma się słuchać, i już. Owszem, byłoby lepiej, gdyby gubernatora wysłała nam Kamala Harris i gdyby prezydentem był Rafał Trzaskowski. Ale i druga opcja z Trumpem i Nawrockim też nie jest zła. Sługa ma wykonać, co do niego należy. ©℗

eprasa.pl e52cb26f6a

TEMAT TYGODNIA

14 MICHAŁ KRUPA
WIRTUOZ Z BUDAPESZTU
Jak Viktor Orbán wzmacnia pozycję Węgier

18 MACIEJ SZYMANOWSKI
ODWAGA SAMODZIELNEGO MYŚLENIA

KRAJ

22 JAN FIEDORCZUK
PRZEMYSŁAW CZARNEK – PIERWSZY PO PREZESIE?
Kolejny delfin Jarosława Kaczyńskiego

26 PIOTR SEMKA
ROCZNICOWA WALKA Z WŁASNYM CIENIEM. RZĄD NA PÓŁMETKU

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
BRUKSELSKI DOM WARIATÓW

30 ROZMOWA Z JANEM KRZYSZTOFEM ARDANOWSKIM
NIE MA NIEPODLEGŁOSCI BEZ WŁASNEJ ŻYWNOŚCI

32 KRYSTIAN KRATIUK
ANI KROKU W STRONĘ HOMOREWOLUCJI!

KULTURA

34 RADOSŁAW WOJTAS
TRIUMF PERFEKCJONIZMU
Konkurs Chopinowski – wysoki poziom i zaskoczenie

36 MONIKA MAŁKOWSKA
PRZEKUPIONA SZTUKA, CZYLI MAFIA BARDZO KULTURALNA 2.0

40 GRZEGORZ KONDRASIUK
TRAUMA FOREVER

42 PIOTR GOCIEK
UPADKI PANA SCORSESEGO

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

48 AGNIESZKA GOLAŃSKA-BAULT
LICENCJA NA ZABIJANIE
Pseudopsychiatria w służbie aborcji

51 O. JACEK MARIA NORKOWSKI OP
ŚPIĄCZKA TO CHOROBA, A NIE ŚMIERĆ

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
GDZIE JEST W KOŚCIELE MIŁOŚĆ BOGA

56 FILIP MEMCHES
KOGO UWIERA NOBLISTKA Z WENEZUELI?

HISTORIA

58 PIOTR SEMKA
TRZYSTA LAT NAJSŁYNNIEJSZYCH SCHODÓW ŚWIATA
Trzy wieki ozdoby Rzymu

ŚWIAT

62 JAN BOGATKO
GERD, TOWARZYSZ KAPITAŁU
Schröder: od pariasa do lobbysty

66 TERESA STYLIŃSKA
KSIĄŻĘ ODCHODZI W NIESŁAWIE

68 PIOTR WŁOCZYK
SŁYNNE KRADZIEŻE DZIEŁ SZTUKI

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
WĘDRÓWKI LUDÓW W SALONACH MOTO
Ostre starcie gigantów na europejskim rynku

74 ŁUKASZ WARZECHA
JAK „MINISTRA" DZIEMIANOWICZ-BĄK RUJNUJE POLSKĄ GOSPODARKĘ

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (61), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl e52cb26f6a

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Pier Marco Tacca/Getty Images, Adobe Stock**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 684
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

TVP (wreszcie) w likwidacji

Łyso wam? – można by zacząć ten list cytatem z samego premiera Donalda Tuska? Łyso wam wszystkim, którzy mówiliście, że postawienie mediów publicznych w stan likwidacji to jedynie wybieg prawny, mający na celu jako takie usprawiedliwienie ich siłowego przejęcia? Oto czytam na portalu DoRzeczy.pl, że „TVP zamierza zlikwidować osiem kanałów". Może najwierniejsi kibice obecnej ekipy rządzącej nie wiedzą nawet, że aż tyle kanałów TVP miała, bo przecież tylko na jednym, dwóch czy trzech lecą występy największych „kapłanów propagandy". Ale od czego Tusk ma rzecznika? Ten z pewnością zadba o to, by do wszystkich ich wyborców dotarła informacja, że z publicznych pieniędzy utrzymuje się takie kanały jak TVP Kultura, TVP Dokument, TVP Nauka i – o zgrozo – TVP Historia. No nie, moi mili, tak postępując, telewizji publicznej nigdy nie będzie stać na ściągnięcie do Jedynki takich gwiazd jak Kuba Wojewódzki.

Wygląda na to, że ktoś poszedł po rozum do głowy. TVP Historia 2 i TVP Kultura 2 – oczywiście do likwidacji. TVP Historia, TVP Nauka i TVP Dokument mają się zlać w jeden kanał TVP Wiedza. No i pięknie, będzie można puszczać więcej dokumentów o płonącej planecie, a mniej o historii. Albo zorganizować tam, jak w pandemii, szkołę na ekranie. Z tym że w kółko z jedną lekcją – edukacją zdrowotną, bo na tym „przedmiocie" podobno jest taka frekwencja, jakby pandemia wcale się nie skończyła.

O kadrę kierowniczą nie musimy się martwić. Stawiam dolary przeciw orzechom, że liczba dyrektorów w TVP i pula na ich pensje po tych roszadach się nie zmniejszy. Może zaoszczędzi się za to na pensjach pracowników technicznych, bo tych aż tylu do pracy nie będzie potrzeba. Ale jedno martwić musi: pomysł likwidacji TVP Kobieta. Co na to ministry? No, chyba że ten ruch kończy ze staromodnym podziałem na kobiety i mężczyzn, a na to miejsce powstanie – ja wiem – TVP Niebinarni? I czy nie można przy okazji uruchomić TVP LGBT? Na Jedynce znowu rolnik szuka żony. Kiedy obejrzymy, jak szuka męża?

Serdecznie pozdrawiam całą Redakcję i Czytelników

Imię i nazwisko
do wiadomości redakcji

eprasa.pl e52cb26f6a

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Taki mają krajobraz

Od niemal dwóch tygodni trwa w Niemczech szum w związku z wypowiedzią kanclerza Friedricha Merza. Zaczęło się dość niewinnie. We wtorek 14 października, wypowiadając się w Poczdamie, szef rządu RFN i jednocześnie lider CDU zapowiedział utrzymanie zaostrzonej linii migracyjnej swojego gabinetu. „Nasza polityka będzie nadal ukierunkowana przede wszystkim na zwalczanie nielegalnej imigracji". To nic nowego. Koalicja CDU/CSU-SPD pod wodzą Merza od początku swej kadencji zmniejszyła liczbę przybywających do Niemiec nielegalnych imigrantów o ponad połowę. Tyle że na swoje późniejsze utrapienie kanclerz dodał do oświadczenia kolejne zdanie, które szokująco mocno podgrzało emocje: Oczywiście nadal mamy ten problem w krajobrazie miejskim i dlatego minister spraw wewnętrznych pracuje obecnie nad umożliwieniem i przeprowadzeniem deportacji na bardzo dużą skalę". Media liberalne i lewicowe zapłonęły wzburzeniem. Co konkretnie znaczy określenie „problem w krajobrazie miejskim" i czy nie jest to obrażanie imigrantów z krajów pozaeuropejskich?

Nic dziwnego, że w poniedziałek 20 października na kolejnej konferencji Merza w siedzibie CDU w Berlinie kanclerz został już zasypany pytaniami na temat swojej „szokującej" wypowiedzi. Reporterzy dociekali, czy chciałby odwołać tamte słowa albo wyrazić ubolewanie z powodu niezręcznego sformułowania. Niektórzy żurnaliści wprost sugerowali, że kanclerz powinien przeprosić wszystkich imigrantów w Niemczech. Co najciekawsze jednak, Merz wcale nie sprawiał wrażenia kogoś zakłopotanego. Spojrzał na dziennikarzy z uśmiechem i odpowiedział: „Nie wiem, czy ma pan dzieci. A jeśli wśród nich są córki, to proszę zapytać córki, co mogłem przez to powiedzieć. Podejrzewam, że otrzyma pan dość jasną i jednoznaczną odpowiedź. Nie mam nic do odwołania. Wręcz przeciwnie, i to podkreślam: musimy tu coś zmienić. Nad tym pracuje minister spraw wewnętrznych i będziemy to wdrażać".

Polskiego czytelnika cała afera wokół bardzo oszczędnych przecież wypowiedzi Merza musi zdumiewać. To, że w dużych niemieckich miastach młode dziewczyny boją się wychodzić same po zmroku z obawy przed gwałtem, jest rzeczą powszechnie znaną. To, że „osoby z profilem migracyjnym" („Personen mit Migrationshintergrund") zwiększyły liczbę gwałtów, też przebiło się już do świadomości zbiorowej za Odrą. Ale w RFN nawet rzeczy oczywiste ciężko przechodzą politykom przez gardło wobec terroru politycznej poprawności.

Niemiecki rynek medialny jest o wiele bardziej ujednolicony ideowo niż nad Wisłą. Takie media jak tygodnik „Do Rzeczy" czy telewizje Republika lub wPolsce24 tam nie funkcjonują. Pluralizmu medialnego nie ma, jest za to rosnąca konkurencja polityczna dla niemieckiej chadecji ze strony AfD. I to sprawia, że nawet niemiecki kanclerz zaczyna mówić na głos o problemach, które od lat niepokoją zwykłych Niemców. Dla nas to normalne. Dla Niemców to prawdziwy przewrót kopernikański. Dokładnie 10 lat po inauguracji polityki „Willkommenskultur". ©℗

MILIONY INTERNAUTÓW NA DORZECZY.PL

We wrześniu 2025 r. serwis internetowy tygodnika „Do Rzeczy" odwiedziło 2,24 mln realnych użytkowników, co dało portalowi DoRzeczy.pl aż 7,51 proc. zasięgu – wynika z najnowszych danych badania mediapanel opracowanych opracowanych przez Wirtualnemedia.pl. Tym samym nasz portal zwyciężył wśród serwisów informacyjno-publicystycznych określanych jako prawicowe. Każdy realny użytkownik spędził na naszych wirtualnych łamach średnio aż 9 minut i 55 sekund.

Jak zauważył w ubiegłym tygodniu branżowy serwis Wirtualnemedia.pl, portal DoRzeczy.pl wyprzedził we wrześniu stronę Tysol.pl. Drugi w najnowszym zestawieniu serwis „Tygodnika Solidarność" odwiedziło co prawda w ubiegłym miesiącu 2,16 mln użytkowników (7,24 proc. zasięgu). Każdy z użytkowników spędził jednak przeciętnie na Tysol.pl zaledwie 1 minutę i 26 sekund.

Najniższe miejsce na podium zdobył w ubiegłym miesiącu serwis Niezależna.pl. We wrześniu odwiedziło go 1,78 mln realnych użytkowników (5,98 proc. zasięgu), którzy średnio spędzili na tym portalu 12 minut i 28 sekund. ***(jap)*** ©℗

NICOLAS SARKOZY ZA KRATKAMI

70-letni były prezydent Francji Nicolas Sarkozy rozpoczął w ubiegłym tygodniu odsiadkę w więzieniu La Santé w Paryżu. To pierwszy współczesny przywódca Francji, który nie tylko został skazany, lecz także rzeczywiście trafił do celi. W sprawie dotyczącej finansowania kampanii wyborczej Sarkozy'ego z 2007 r. przez Libię Muammara Kaddafiego sąd pierwszej instancji skazał go na pięć lat więzienia i nakazał rozpoczęcie wykonywania kary bez czekania na orzeczenie sądu apelacyjnego. Sarkozy przebywa w jednoosobowej celi o powierzchni 9 mkw. Chroni go dwóch policjantów. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl e52cb26f6a

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

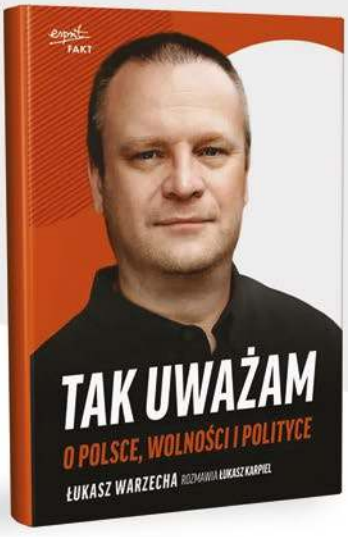

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ŁUKASZ WARZECHA, ROZMAWIA ŁUKASZ KARPIEL: „TAK UWAŻAM. O POLSCE, WOLNOŚCI I POLITYCE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1003~~ ZŁ

466,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 537 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl e52cb26f6a

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Niebezpieczna Polska

Pamiętają państwo lewicowego aktywistę nazwiskiem Arusz? Ja też już o nim zdążyłem zapomnieć, przypomniał mi się w tym tygodniu za sprawą Herty Müller, noblistki, i jej nieprzyjazdu do Krakowa. Arusz to ten, który kiedyś oburzył się na apel berlińskiego rabina, by Żydzi w miejscach publicznych ukrywali swe wyznanie, zrezygnowali z noszenia pejsów i tradycyjnych strojów, a jarmułki ukrywali pod neutralnym nakryciem głowy. Postanowił udowodnić, że rabin przesadza, niemieckie miasta są generalnie miejscem bezpiecznym, więc założył kipę i poszedł w niej demonstracyjnie spacerować po centrum niemieckiej stolicy. Niestety, nie spacerował długo, bo zaraz został pobity przez ubogacających Berlin inżynierów z Bliskiego Wschodu.

Było to dość dawno, więc może teraz Żydom jest w Niemczech lżej? Bynajmniej, liczba „incydentów motywowanych antysemityzmem", odnotowywanych w statystykach niemieckiej policji, stale rośnie – w roku ubiegłym padł kolejny rekord, 4872, o 80 proc. więcej niż rok wcześniej. Oczywiście nie tylko Żydzi padają ofiarą agresji – wedle Eurostatu na 100 tys. Niemców przypada statystycznie 165 brutalnych napaści w miejscach publicznych.

A u nas co? Na polskich ulicach nie zdarza się zostać napadniętym? Statystycznie, według tych samych danych: 17 wypadków na 100 tys. mieszkańców. O 17 za dużo, ale daleko mniej niż w Niemczech.

Tymczasem wspomniana mieszkająca w Niemczech noblistka odwołała zapowiadany wyjazd do Krakowa na festiwal poświęcony twórczości Tadeusza Kantora, wyjaśniając gazecie „Die Welt", że organizatorzy „nie byli w stanie zapewnić jej bezpieczeństwa". Wychodzi na to, że, co skwapliwie rozgłosili Niemcy, w Polsce rządzi Hamas i to tutaj, u nas, strach wyjść na ulicę. Przekaz poszedł w świat.

Cóż, nikogo nie zmuszamy, jeśli pani noblistka woli siedzieć u siebie – jasne. Ale radziłbym jej nie wychodzić z domu. Nie bez koniecznej potrzeby. ©℗

MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Uwiąd nacjonalizmu

Po publikacji „Myśli nowoczesnego Polaka" Dmowski musiał wiele razy, również w przedmowach do kolejnych wydań książki, tłumaczyć się, że nie jest wielbicielem pruskiej przemocy w polityce i że nie porzuca uniwersalnych pojęć moralnych. Bo istotnie, zastrzegając wielokroć, że pamięta o wszystkich pruskich niegodziwościach, o samym tym państwie pisał ze szczerym podziwem. Przypominał, że „w dobie upadku ducha obywatelskiego w Niemczech" jedynie Prusy „składały dowody jakiego takiego patriotyzmu" i dzięki temu „rozumną i konsekwentną polityką" zbudowały „nowe cesarstwo niemieckie, państwo potężne, oparte na dobrych ustawach, w którego ramach naród niemiecki znalazł znakomite warunki szybkiego, gospodarczego i cywilizacyjnego postępu, stopniowo wysuwając się znów na przodujące w świecie cywilizowanym stanowisko".

Tak uważał, bo „Myślom nowoczesnego Polaka" przyświecała idea przygotowania narodu do walki o niepodległość i więcej – stworzenia państwa zdolnego przyszłą niepodległość zachować i umocnić.

Nie pisał zaś tego w początkach Hakaty czy podczas rugów pruskich, ale w okresie najgorszym dla Polaków pod pruskim zaborem, podczas prześladowań Dzieci Wrzesińskich. Dlaczego? Bo odrzucając działania, które „w człowieku prawdziwie cywilizowanym i moralnie rozwiniętym głęboki wstręt budzić muszą", jednocześnie szanował patriotyzm, wyobraźnię i konsekwencję pruskiej polityki.

Dziś zaś, niezależnie od wszystkich krytyk, jakie budzi Państwo Izrael, nie sposób zrozumieć tego kompletnego braku podziwu dla dzieła wskrzeszenia języka narodowego, użyźnienia pustyni i scalenia narodu tak pod wielu względami – prócz antycznej przeszłości – zróżnicowanego. Ten zupełny brak uznania to, niestety, jedno ze smutnych świadectw uwiądu naszego politycznego nacjonalizmu. ©℗

eprasa.pl e52cb26f6a

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O kurtyzanach

Maurizio Landini to szef największej lewicowej centrali związkowej CGIL. Posiada ogromną władzę. Jest w stanie, proklamując strajk generalny, sparaliżować cały kraj. Ostatnio ze swoich prerogatyw korzysta nader często z dość dyskusyjnych powodów. Niedawno ogłosił dwa w związku z tragiczną sytuacją w Gazie, na którą ani Włosi, ani ich rząd żadnego wpływu nie mieli.

Typ wyjątkowo ponury, z agresją wypisaną na twarzy, w nieustannych pretensjach do całego świata, a szczególnie do włoskiego rządu. Ostatnio bardzo się uaktywnił, bo wygasa mu kadencja i gorączkowo szuka miejsca we włoskim panoptikum politycznym.

Niedawno w ultralewicowej stacji La7 wziął się do analizy sytuacji na Bliskim Wschodzie i ogłosił, że „premier Meloni w tej kwestii nie ruszyła palcem i ograniczyła się do roli kurtyzany Trumpa". Czyli zwrócił się do elektoratu napędzanego nienawiścią i pogardą do szefowej rządu. Naturalnie wybuchł skandal. Słownik języka włoskiego (a też polskiego) jest jednoznaczny: „Kurtyzana to kobieta lekkich obyczajów, eufemizm słowa prostytutka". Tego jeszcze w historii włoskiej polityki nie było. Meloni na to: „Sekretarz generalny CGIL nazwał mnie kurtyzaną. Myślę, że dla wszystkich jest jasne, co to słowo oznacza, a jeśli nie, to zachęcam zajrzeć do Internetu. Nazwał mnie prostytutką. Tak zachowują się ludzie, którym zabrakło argumentów w dyskusji. Sięgają po inwektywy".

Postępowcy i ich akolici (a także sam pan sekretarz generalny), tak rzekomo czuli na punkcie godności kobiety, ruszyli z kontrnatarciem: „Przejęzyczenie. Miał na myśli nie kurtyzanę, a damę dworu". Słowem, hipokryzja totalna. Szefowa największej opozycyjnej Partii Demokratycznej Elly Schlein, poproszona o komentarz na zakończenie sympozjum w Senacie Republiki pt. „Kobiety, prawa i męska przemoc", skorzystała z prawa do milczenia. Przeważa przekonanie, że gdyby ktoś nazwał kurtyzaną Elly Schlein, Landini ogłosiłby strajk generalny. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl e52cb26f6a

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

W SUKIENCE CZY W SPODNIACH?

Taneczny show „Taniec z gwiazdami" musi nadążyć za trendami ideologicznymi. W aktualnej edycji występuje więc pierwsza w historii para damsko-damska. W roli gwiazdy wioślarka Katarzyna Zillmann. Po jednym z ostatnich występów jurorka Iwona Pavlović zachęciła sportsmenkę, aby zatańczyła choć raz w sukni. – Ja mam, Kasiu, jedną prośbę. Oczywiście ty nie musisz, bo ja tu nie jestem od tego, żeby coś ci kazać zrobić. Czy dałabyś się namówić, żeby zatańczyć w jakiejś pięknej sukni, twojego projektu nawet, i w butach na obcasie? – zapytała, na co Zillmann odparła: – Ja myślę, że kobiecość możemy definiować my. – Mnie nie chodzi wcale o kobiecość, bo można być w dresie i bez butów, właśnie nie. Tylko skoro tańczą dziewczyny tak i tak, to może byś dała się namówić? – nie odpuszczała Pavlović. Sportsmenka, zadeklarowana lesbijka, postanowiła wejść w spór. – Lubię wyzwania, ale ja odrzucam takie stereotypy kobiecości i męskości, jako wyzwanie mogę to potraktować, ale nie sądzę, że będę się czuć bardziej kobieco niż teraz – stwierdziła. W udzielonym później wywiadzie bardziej szczegółowo wyjaśniała, dlaczego oponuje wobec „stereotypów". – Absolutnie szanuję panią Iwonę, doceniam każdą jej uwagę. Takie pytania o sukienkę, myślę, że to jest dość łatwo wytłumaczalne. Sukienka kojarzy się z kobiecością i może to by było jakieś fajne wyzwanie, ale ja nie chciałabym do tego podejść, że tę sukienkę założyłabym, bo brakuje mi kobiecości. To ja definiuję kobiecość, bo jestem kobietą [...]. Nie mam żadnych kompleksów związanych z brakiem kobiecości – podkreślała Zillmann. – Nie wiem, czy to jest aż tak ważne, bo ubiór nie czyni człowieka. To jest absolutnie drugorzędna sprawa – dodała gwiazda. Skoro ubiór nie czyni człowieka, to skąd tak wielki opór przed sukienką? Czyżby jednak „czynił"?

FOT. PIOTR NOWAK/PAP

KONIEC ZABAWY

Kilka dni przed premierą szóstego odcinka „Tańca z gwiazdami" Maja Bohosiewicz ogłosiła rezygnację z programu. Powody przedstawiła we wpisie na Instagramie. Celebrytka doznała kontuzji, a badanie USG wykazało złamanie żeber. „Bardzo chciałam zatańczyć ten odcinek rodzinny. Naprawdę z całego serca, nawet jeśli ciało wysyłało już inne sygnały, że nie powinnam" – przekazała. „Poszłam na kolejne badania i USG potwierdziło złamanie żeber i uraz okostnej. Muszę się zatrzymać" – wyjawiła. Kilka słów w tej sprawie przekazał Albert Kosiński, taneczny partner Bohosiewicz. „Maja jest drobną osobą i na treningach próbowaliśmy ten współczesny tańczyć i widziałem, ile jej to sprawia dyskomfortu, więc jak najbardziej rozumiem tę decyzję. Dostaliśmy od produkcji zielone światło, że możemy zmieniać choreografię, ale dla Mai to było za dużo w tym momencie" – przekazał portalowi Pomponik. Tancerz zapewnił, że gdy tylko aktorka zdecydowała o odejściu, postanowił ją wesprzeć. „Oczywiście, możemy gdybać, można wrócić do historii »Tańca z gwiazdami«, że ludzie łamali żebra i tańczyli w finałach, ale każdy organizm jest inny" – zauważył Kosiński. „Jeśli stwierdziła, że to jest zbyt duży ból, dyskomfort i nie chce kontynuować tej przygody, ja mówię: »Okej, nie ma problemu«" – zauważył. Tancerz zaznacza, że dla Mai wygrana nie była priorytetem. Szczególnie zależało jej na odcinku rodzinnym, gdzie udało jej się zatańczyć z córką. „Maja przychodziła do tego programu po coś zupełnie innego, w ogóle nie myślała o wygranej. Chciała się dobrze bawić, bardzo jej zależało na odcinku rodzinnym, więc cieszę się, że doszliśmy do tego piątego odcinka, żeby mogła zatańczyć z córką" – podsumował Albert Kosiński.

DZIWNE PRZYPADKI DANIELA

O Danielu Martyniuku, synu Zenka „Przez Twe oczy zielone" Martyniuka, media przypominają sobie raz na jakiś czas, gdy Martyniuk junior „odpali się" na Instagramie. Ostatnio sytuacja nieco się uspokoiła, bo syn gwiazdora disco polo miał skupić się na życiu rodzinnym – wraz z żoną Faustyną doczekali się syna. Zaczęło się jednak robić dziwnie. Trzydziestosześciolatek publikował zdjęcia muszli klozetowej. Później niespodziewanie ogłosił rozstanie z ukochaną, ale oświadczenie szybko usunął. Teraz Daniel wywołał kolejną aferę, tym razem związaną z chrztem dziecka. „Chrzciny Floriana są 26 października. Niestety, mnie na nich zabraknie" – ogłosił. Tymczasem Zenek Martyniuk w rozmowie z Glam Press zapewnił, że syn weźmie udział w uroczystości i Faustyna już wszystko organizuje. „Wspaniale sobie radzi. My z Danusią szykujemy się na tę uroczystość i nasz syn też tam będzie" – zapewnił. Na odpowiedź Daniela nie trzeba było długo czekać. „Szok, żeby nie móc przyjechać na chrzciny syna. Kiedyś mu to wytłumaczę. Zrozumie!" – napisał na Instagramie. „Też tak macie? Żeby tatusiowi PR-u nie psuć? Macie tak? Więc odczepcie się nareszcie, bo będę tym, co to udowodni i dużo zmieni w tym biznesie, który teraz jest kontrolowany przez total imbecyli. Wolę wszystko stracić, byle by zmienić coś dla innych, żeby artysta był artystą! Serio, mówię dość. To jest hardcore. Ja wiem wszystko. Muszę być sobą i nie poddać się bez względu na wszystko" – stwierdził. ©℗

eprasa.pl e52cb26f6a

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Oj, kochani. Pewnie słyszeliście już o tym, bo wszystkie prawackie media o tym trąbią – bez zrozumienia tematu, bez zagłębienia się, bez refleksji, bez rozumu. No jak to prawackie media, nie?

Otósh pan Premier na jednym ze spotkań powiedział, iż skoro dostał 30 proc. głosów, to zrealizował 30 proc. obietnic. Logiczne, prawda? Jednak nie dla wszystkich. Na Premiera wylewa się ogromny hejt za takie postawienie sprawy, podczas gdy miał on pełne prawo, aby to powiedzieć. Porozmawiajmy o tym, czego prawica najbardziej nie lubi, a więc o faktach.

Po pierwsze, wybory parlamentarne w 2023 r. wygrał PiS, a Koalicja Obywatelska zajęła w nich drugie miejsce. PiS jednak jaki jest, każdy wie, to i żadnej koalicji rządowej zawiązać nie mógł. A że KO to partia dialogu i porozumienia w szeroko rozumianym centrum, to udało się zaprosić do współrządzenia w charakterze przystaw… tzn. koalicjantów PSL, marszałka Hołownię oraz którąś z lewic.

Tym samym PiS wygrał wybory i przyjął na siebie odpowiedzialność nie tylko za skład rządu, lecz także za to, w jakich warunkach ten rząd musiał i nadal musi pracować – a są to warunki ni mniej, ni więcej, ale przegranych wyborów!

I teraz przyjmijcie odpowiednią perspektywę: pan Premier rządzi i realizuje obietnice nie dość, że w sytuacji, kiedy PiS wygrał wybory, to jeszcze wbrew całej jego machinie medialno-propagandowej. To jest naprawdę świecki cud, iż w takich okolicznościach udało się wywalczyć realizację 30 proc. programu – jeszcze mając do czynienia przez cały ten czas z pisowskimi prezydentami!

Mając te wszystkie dane, powiedzmy sobie wprost: za 70 proc. niezrealizowanych obietnic rządu w 100 proc. odpowiadają Prawo i Sprawiedliwość oraz osobiście Jarosław Kaczyński. A pan Premier spośród wszystkich języków świata wybrał język faktów i teraz mu się obrywa, bo jak zawsze prawicowa analiza politologiczna nie bazuje na danych i faktach, ale na emocjach i antypatiach. Byleby dokopać, podzielić, zakwestionować, podważyć.

Jak podają media, niedawno na polskim niebie doszło do niecodziennego zjawiska, ponieważ przeleciał na nim meteoryt (taki kamień z kosmosu) z roju meteorytów (czyli kupy kosmicznych kamieni) zaliczany do grupy Taurydów.

Podobno wydarzyło się to wyjątkowo późno, ale to didaskalia. To, co przykuło naszą uwagę, to to, iż meteoryt spłonął – i tak myślimy, iż najprawdopodobniej ze wstydu, kiedy podczas przelotu zobaczył, co się dzieje w tym kraju – jakiego prezydenta Polacy sobie wybrali, jaka jest opozycja, stan praworządności, prokuratury i wszystkich innych aspektów życia publicznego, których rząd nie zdążył jeszcze naprawić.

Dlaczego w ogóle wam o tym opowiadamy? Bo to symptomatyczne, iż meteoryt spłonął już nad Niemcami, do których co prawda ostatkiem sił zdążył dolecieć, ale niestety nie był już w stanie bezpiecznie wylądować. To trochę jak nasze marzenia o dogonieniu Zachodu… ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Wyczyść kuwetę

Janusz, głosowałeś przeciwko zakazowi hodowli na futra!

Jarku, głosowałem, jak uważam. Przecież nie mieliśmy dyscypliny w klubie…

Dyscypliny nie było, ale ja się uważnie przyglądam i odbywam rozmowy wychowawcze.

No, ale kiedy ja uważam, że…

Dobrze się zastanów, co chcesz powiedzieć. Od tego może zależeć, z którego miejsca wystartujesz. I czy w ogóle.

… uważam, że muszę przemyśleć swoje postępowanie.

Dobrze by było. A teraz wyczyść kuwetę i nasyp kotu jedzonka. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Rosja rozpoczęła właśnie operację bardzo podobną do »afery taśmowej« z 2014 roku, mającą na celu pomóc PiS".

ELIZA MICHALIK, *publicystka, w serwisie X*

eprasa.pl e52cb26f6a

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Jako ludzie posunięci w latach, siwiejący tu i ówdzie oraz obserwujący politykę od dawna informujemy, że już nie mamy siły sobie z niektórych rzeczy pokpiwać. Oczywiście najpierw przestaliśmy żartować z „ustawodawczych ofensyw" PO, podejmowanych losowo o różnych porach roku. Chociaż oczywiście wciąż uśmiechamy się na dźwięk słów sprzed lat „ofensywa październikowa". Teraz, po konwencji PiS, dokładamy do naszej listy zmęczenia „największy w historii objazd kraju". Wiele ich pamiętamy, a każdy był największy. Informujemy więc, że jak się raz odwiedziło wszystkie powiaty w Polsce, to już większego objazdu zrobić się nie da. Najwyżej intensywniejszy, jeśli się dokądś pojedzie dwa razy.

Tymczasem Platforma okazała się równie oryginalna, mnożąc się dwukrotnie przez zero, to znaczy jednocząc z Inicjatywą Nowoczesną i partią Polska, czy też może odwrotnie (kompletnie nie ma to znaczenia), i zmieniając nazwę na Koalicja Obywatelska (co też kompletnie nie ma znaczenia). Oznacza to jedno: po ćwierćwieczu istnienia nawet politycy PO odkryli, że szyld PO jest toksyczny i trzeba go zmienić. Cóż, piszemy o tym i mówimy od jakichś 20 lat. Z tym że my marzymy o Polsce, z której zniknie nie tylko szyld.

W koalicji. Głośno jest o dealu: Peezel popiera Sweterek Czarzastego na stanowisko marszałka Sejmu, a Lewica w zamian popiera projekt Peezel w sprawie zniesienia dwukadencyjności w samorządach. Zwracamy uwagę, że emocjonujecie się niewłaściwymi negocjacjami. To, co dzieje się w Sejmie, nie ma znaczenia, bo o wszystkim i tak zdecyduje weto prezydenta Karola Tadeusza lub jego brak. Tu natomiast postępów nie ma, gdyż Peezel chce wiele, ale na razie nic nie daje w zamian.

Dyplomacja. Między Pałacem a Gmachem została zawarta nieformalna umowa w sprawie ambasadorów. Znaczy między prezydentem Karolem Tadeuszem a ministrem Radkiem Sknerusem. Na stole jest opcja fifty-fifty, czyli jeden za jednego. To znaczy, że na każdego wskazanego przez koalicję 13 grudnia ambasadora ma też przypadać jeden ambasador wskazany przez osobę głowy państwa. Informacja ta zapewne najbardziej ucieszy niektórych ludzi w PiS. Nie, nie tych, którzy mają być ambasadorami. Tylko tych, którzy szukają od czerwca okazji, żeby lżyć Nawrockiego jak zdrajcę.

Prezydent Karol Tadeusz nie jest w ciemię bity. Negocjując deal ambasadorski, zastrzegł od razu: każda nominacja koalicyjna będzie akceptowana dopiero po zakończeniu całej procedury prezydenckiego kandydata. To oznacza, że prezydentowi opowiedziano dokładnie o sztuczkach, które można stosować, by odwlec wyjazd na placówkę.

Uważamy, że na tę wiedzę zasługują także nasi czytelnicy. Pierwsza sztuczka: przedłużanie niezbędnych szkoleń. Ich terminy wyznaczają stare wygi z gmachu. Można przejść szkolenie w miesiąc, ale można mieć je przedłużone nawet do pół roku. Druga sztuczka: uzyskanie poświadczenia bezpieczeństwa uprawniającego do zapoznawania się z informacjami niejawnymi. Tutaj pole do popisu ma szczególnie ABW, która pod pozorem czynienia dodatkowych ustaleń może przedłużać procedurę w nieskończoność. Sztuczka trzecia: badania lekarskie, które też ciekawie można ustawiać. Sztuczka czwarta: decyzja o skierowaniu na placówkę. Co leży w rękach Radka. Któremu można ufać mniej więcej tak, jak… no cóż, jak Radkowi.

Skoro już o nominacjach ambasadorskich: na szybką ścieżkę nominacyjną wkroczył były rzecznik MSZ i równocześnie były dziennikarz „GazWyb", Paweł Wroński. Szkolenia przechodzi jak burza, a na dodatek zdał nad podziw dobrze bardzo trudny egzamin na członka służby zagranicznej. Co potwierdza nasze wcześniejsze doniesienie, że nawet po zmianie władzy Pawełka z resortu wyrzucić się nie da: w dodatku w tzw. międzyczasie wejdzie on w ochronę przedemerytalną. Inna sprawa, że ścieżka, którą kroczy Pawełek, została już przetarta przez wielu dziennikarzy „GazWybu". By wspomnieć tylko Bosackiego i Wojciechowskiego.

Kultura i sztuka. Jeden z panów G. wraz z małżonką bawił na koncercie laureatów Konkursu Chopinowskiego. Chłonął go głównie uszami, ponieważ przed nim miała miejsce Omenaa Mensah, która nie dość, że do niskich nie należy, to jeszcze włożyła na głowę turban, który dodawał jej pół metra. Podobny miała siedząca obok dziewczyna, którą podejrzewamy, że jest córką sławnej matki. Znaczenia politycznego ta informacja nie ma wcale, ale podajemy ją, gdyż uważamy, że jest fajna.

Niemniej polityka wdarła się również na koncert laureatów Konkursu Chopinowskiego. Otóż wpadła nam w uszy podczas przerwy koncertu pewna uwaga na temat ludzi o innym kolorze skóry. Otóż jeden z przedstawicieli liberalnej części sceny politycznej dość głośno komentował fakt, że na konkursie zasadniczo nie ma Murzynów, którzy przecież są z natury muzykalni, więc powinni być. Nam to zdecydowanie trąci rasizmem.

Drugi z Panów G. dokonał osobistej wizytacji Miejsca Zbrodni. Miejsce Zbrodni leży w Warszawie, przed kamienicą na Wiejskiej, gdzie znajduje się biuro PO. To tam łatwopalna butelka łatwo się spaliła, za co odpowiada podobno dwóch zamachowców obecnych na Miejscu Zbrodni. I teraz wejścia do siedziby PO pilnuje policja. Co wygląda zabawnie, gdyż po prawej jest wejście do kawiarni Czytelnika, po lewej zaś – księgarnia. A pośrodku stoi policja. Powiedzmy wprost: wygląda to tak, jakby władza wreszcie zwracała uwagę na kulturę. ©℗

eprasa.pl e52cb26f6a

SPÓŁKA AKCYJNA DO RZECZY

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy,

Jesteśmy Wam ogromnie wdzięczni za wsparcie rozwoju naszego tygodnika – zarówno poprzez codzienny kontakt z „Do Rzeczy", jak i zaangażowanie w przygotowania do naszego debiutu na alternatywnym rynku Giełdy Papierów Wartościowych – NewConnect. Wasze ogromne zainteresowanie pierwszą publiczną emisją akcji Do Rzeczy S.A. utwierdziło nas w przekonaniu, że wspólnie bronimy zdrowego rozsądku, wolności słowa, przedsiębiorczości, polskiej tożsamości kulturowej oraz interesu narodowego.

Choć pierwsza emisja spotkała się z dużym odzewem, nie udało się osiągnąć pełnego zakładanego budżetu, co zmusiło nas do rozważenia ograniczonego planu rozwoju. Wraz z Zarządem uznaliśmy jednak, że postawiliśmy sobie ambitne cele, które za wszelką cenę zamierzamy zrealizować.
Dlatego postanowiliśmy dać Wam kolejną szansę na zostanie częścią Do Rzeczy.

Właśnie rozpoczęła się druga publiczna oferta akcji Do Rzeczy S.A., w której każdy z Państwa może wziąć udział jako inwestor indywidualny. Szczegóły dostępne są na stronie: www.dorzeczy.pl/gielda

Paweł Lisicki
REDAKTOR NACZELNY
TYGODNIKA „DO RZECZY"

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl e52cb26f6a

Viktor Orbán i Władimir Putin podczas spotkania w Moskwie, 5 lipca 2024 r. FOT. EVGENIA NOVOZHENINA/REUTERS/FORUM

Wirtuoz z Budapesztu

Michał Krupa

W odróżnieniu od wielu europejskich partnerów Budapeszt nie jest całkowicie zamknięty w jednej linii sojuszu. Daje mu to pole manewru i znaczenie

W zaskakującym posunięciu dyplomatycznym stolica Węgier została 16 października wybrana na miejsce kolejnego bezpośredniego szczytu między Donaldem Trumpem a Władimirem Putinem. Informacja została upubliczniona po telefonicznej rozmowie prezydentów Stanów Zjednoczonych i Rosji, gdy Donald Trump na platformie Truth Social stwierdził, że dojdzie do spotkania w Budapeszcie „w ciągu dwóch tygodni lub nieco później". Kreml potwierdził tę informację, zaznaczając zgodę Putina na propozycję Trumpa. Szczyt ostatecznie wstrzymano kilka dni później z powodu sporów dotyczących zawieszenia broni. Prezydent USA wskazał, że kluczowym punktem spornym pozostała odmowa Moskwy zaprzestania walk na Ukrainie wzdłuż obecnej linii frontu, co Kreml z kolei uważa za nierealistyczną propozycję.

Już samo ogłoszenie organizacji ważnego szczytu USA–Rosja, mimo jego późniejszego wstrzymania, znacząco podnosi prestiż niewielkiego kraju środkowoeuropejskiego – którym są Węgry – długo postrzeganego jako lojalny, choć czasem „kłopotliwy" dla liberalnych elit politycznych Zachodu. Dlaczego Budapeszt? Na pierwszy rzut oka wybór ten mógł wydawać się zaskakujący. Dlaczego planować szczyt USA–Rosja w sercu Europy, w dodatku w kraju, którego premier jest regularnie oskarżany o podążanie „nieliberalną" drogą? Trump uzasadnił pierwotny wybór Budapesztu jako miejsca swojego nadchodzącego szczytu z prezydentem Rosji, podkreślając stabilność i bezpieczeństwo Węgier, a także wzajemny podziw jego i Putina dla premiera Viktora Orbána, którego określił jako „bardzo dobrego gospodarza" i skutecznego przywódcę.

MIĘDZY WSCHODEM A ZACHODEM

Droga Orbána do planowanego, lecz ostatecznie odwołanego (na jak długo?) szczytu w Budapeszcie ujawnia trzy główne przejawy jego polityki zagranicznej, których ukoronowaniem miała być właśnie organizacja tego spotkania: otwartość na Chiny, utrzymywanie dobrych stosunków z Moskwą w obliczu presji Unii Europejskiej oraz bardzo ciepłe, bezpośrednie relacje z Donaldem Trumpem.

Po pierwsze, relacje gospodarcze z Chinami. Orbán od lat rozwija współpracę z Pekinem, czyniąc Węgry jednym z najbliższych partnerów Chin w Europie. W 2015 r. Węgry jako pierwsze państwo UE podpisały umowę o współpracy w ramach inicjatywy Pasa i Szlaku. Do 2024 r. otrzymały niemal ćwierć chińskich inwestycji bezpośrednich w Europie. Budowa fabryki CATL w Debreczynie i zakładu BYD w Segedynie to tylko przykłady chińskich inwestycji w sektorze elektromobilności. Węgry stały się także centrum logistycznym dla Huawei (największy ośrodek dystrybucyjny tej firmy poza Chinami powstał na Węgrzech). Nie ma wątpliwości, że Orbán zdaje sobie sprawę, iż w sytuacji coraz większej stagnacji gospodarczej w Europie i wątpliwej realizacji zamierzeń uczynienia Unii Europejskiej podmiotem o znaczącym ciężarze geopolitycznym karta chińska jest istotnym elementem przetargowym i kluczem do pozostania nawet jeśli nie wielkim, to ważnym aktorem na arenie międzynarodowej.

Pomimo swojej antykomunistycznej i antysowieckiej działalności w młodości Orbán doskonale potrafił się odnaleźć w nowym świecie, w którym Rosja, powstawszy z okresu „smuty" lat 90., zaczęła odgrywać coraz to bardziej znaczącą rolę. W 2014 r., kierując się realistycznym podejściem do bezpieczeństwa ener-

eprasa.pl e52cb26f6a

getycznego Węgier w multipolarnym świecie, podpisał z Putinem umowę na budowę bloku jądrowego przez Rosatom, finansowaną pożyczką z Rosji. To wzmocniło bilateralne relacje gospodarcze i pozycjonowało Węgry jako most między Wschodem a Zachodem, ułatwiając późniejsze mediacje. Paks II doda dwa nowe reaktory (2,4 GW mocy), podwajając zdolności produkcyjne elektrowni Paks, która obecnie dostarcza ok. 50 proc. energii elektrycznej Węgier. To zmniejsza zależność od importu energii, szczególnie gazu, w kontekście niestabilnych rynków globalnych. Projekt, finansowany w dużej mierze rosyjską pożyczką (10 mld euro), zwiększa zadłużenie Węgier wobec Moskwy, co może ograniczać suwerenność decyzyjną. Jednak realistyczna polityka Orbána akceptuje to jako koszt strategicznej autonomii energetycznej, zwłaszcza w obliczu unijnych regulacji klimatycznych. Nowe reaktory, planowane na lata 2030–2032, zapewnią tanią i stabilną energię na dekady, co wzmacnia pozycję Węgier w regionie.

Po aneksji Krymu przez Rosję w 2014 r. UE wprowadziła sankcje, co skomplikowało relacje z Moskwą. Orbán, w duchu realizmu, unikał konfrontacyjnej retoryki, promując dialog i interesy narodowe Węgier. Regularnie spotykał się z Putinem, np. w Moskwie w latach 2016 i 2018, omawiając dostawy gazu, Paks II oraz handel. Węgry stały się jednym z nielicznych krajów UE utrzymujących otwarte kanały dyplomatyczne z Kremlem, a Orbán poparł rosyjskie projekty gazowe, takie jak Turecki Potok, co zapewniło Węgrom dostęp do gazu przesyłanego przez południową Europę z pominięciem Ukrainy. Efektem tej współpracy była zawarta w 2021 r. na 15 lat umowa gazowa z Gazpromem.

Relacje gospodarcze zacieśniały się, a Węgry pozycjonowały się jako pośrednik między Rosją a Zachodem. Orbán unikał ostrych sankcji wobec Moskwy, co budowało zaufanie Putina, ale wywoływało krytykę i wręcz wściekłość w Unii Europejskiej. Po rozpoczęciu wojny na Ukrainie Orbán spotykał się z Putinem, wzywał do zawieszenia broni i negocjacji. Podkreślał, że wojna destabilizuje Europę, a Węgry mogą być neutralnym miejscem rozmów. Węgierski przywódca konsekwentnie wetował lub opóźniał sankcje UE wobec Rosji, szczególnie dotyczące energii, argumentując, że szkodzą one bardziej Europie niż Rosji. Mimo sankcji Węgry utrzymały dostawy gazu z Rosji i kontynuowały projekt Paks II, co było możliwe dzięki osobistym kontaktom Orbána z Putinem.

DIALOG ZAMIAST KONFRONTACJI

Relacje między Donaldem Trumpem a Viktorem Orbánem to jeden z najbardziej trwałych i ideologicznie zbieżnych sojuszy w polityce międzynarodowej ostatnich lat. Oparte na wspólnym populizmie, sceptycyzmie wobec multilateralizmu (jak UE czy NATO), antyimigranckich postulatach oraz realizmie w polityce energetycznej stały się symbolem światowego ruchu przeciwko globalizmowi. Orbán, jako jedyny przywódca UE, który otwarcie poparł Trumpa w wyborach 2016 r., zbudował z nim osobistą więź, którą Trump wielokrotnie nazywał „przyjaźnią" i „szacunkiem dla silnego lidera". Po zwycięstwie Trumpa w 2024 r. relacje weszły w fazę „złotej ery". Orbán odwiedził Trumpa w styczniu 2025 r., tuż przed inauguracją, zapowiadając „fantastyczne relacje". Trwają prace nad bilateralnymi umowami (np. o unikaniu podwójnego opodatkowania) i zacieśniono współpracę w kwestiach bezpieczeństwa.

W tej unikatowej relacji między przywódcami krajów o tak różnym potencjale Orbán wyróżnia się umiejętnością adaptacji argumentów realistycznych do perspektywy Trumpa, który ceni pragmatyzm i interesowność ponad ideologią. Najlepszym przykładem jest polityka energetyczna, gdzie Orbán broni kontynuacji importu rosyjskiego gazu i ropy, argumentując to geografią i ekonomią Węgier jako kraju śródlądowego. Trump, mimo swojej antyrosyjskiej retoryki, zaakceptował te racje, co kontrastuje z jego krytyką innych państw. Orbán podkreśla, że zaprzestanie importu spowodowałoby spadek PKB o 4 proc. „w ciągu minuty", podnosząc ceny energii i zagrażając gospodarce. To wpisuje się w jego realizm: Węgry muszą balansować między Wschodem a Zachodem. Wyjątek dla Węgier wynika z osobistej sympatii i uznania argumentów Orbána – Trump widzi w nim partnera, nie „słabego lidera".

To pokazuje, jak Orbán wykorzystuje empatię prezydenta USA do czynienia wyjątków, co wzmacnia pozycję jego kraju w relacjach transatlantyckich. Tym samym Trump ma europejskiego sojusznika, który nie jest jednocześnie nastawiony antyrosyjsko, a Orbán – ochronę przed izolacją w obozie atlantyckim, gdzie głos Waszyngtonu jest rozstrzygający. Jak widać, kluczem jest świadomie budowana tożsamość Orbána jako wręcz wirtuoza realizmu, który odmawia szufladkowania w konwencjonalne podziały Wschód – Zachód. Węgry prowadzą wielowektorową politykę zagraniczną: utrzymują dobre relacje ze Stanami Zjednoczonymi (w tym przypadku z Trumpem), oferują kanały komunikacji z Rosją (Putinem) i angażują się w intensywną współpracę z Chinami (Xi Jinpingiem). W tym sensie Budapeszt jako potencjalny gospodarz – choć szczyt na razie się nie odbędzie – staje się nie tylko miejscem, lecz także przesłaniem: wielobiegunowy porządek świata istnieje, a Węgry zamierzają w nim aktywnie uczestniczyć bez szukania aprobaty w innych stolicach europejskich. Orbán od dawna podkreśla, że węgierska polityka zagraniczna musi opierać się na interesie narodowym. Według węgierskiego premiera tylko taka polityka zagraniczna łączy w sobie najlepsze elementy idealizmu i realizmu. Jak wyjaśniał w przemówieniu z 2023 r., w tym ujęciu słowo „narodowy" odnosi się do pierwiastka idealistycznego, ponieważ naród jest przede wszystkim ideą. Z kolei słowo „interes" uosabia realizm – jest pojęciem zbiorczym obejmującym wszystko, co konieczne, użyteczne i praktyczne – wyjaśnił. Podkreślił, że najważniejszym zadaniem polityki zagranicznej opartej na interesie narodowym jest w każdej sytuacji właściwe zdefiniowanie tego interesu i konsekwentne działanie zgodnie z nim.

Taka polityka ma wymiar intelektualny, niesie ze sobą zarówno zasady, jak i wartości, ale równocześnie nieustannie zmusza swojego wykonawcę do elastycznego dostosowywania się do zmieniających się okoliczności. Ta formuła nie jest przypadkowa: sygnalizuje, że Węgry nie będą jedynie odzwierciedlać żądań zachodniej liberalnej polityki zagranicznej, lecz będą pragmatycznie ważyć interesy, nawet jeśli jest to niewygodne. Na arenie globalnej ten realizm przekłada się na szeroką łączność z głównymi graczami, a nie na ideologiczne krucjaty. Fakt, że Węgry zachowały więzi z Rosją, pozostając w NATO i UE, jest tego wyraźnym przykładem.

Ta orientacja współgra z jasno wyrażanym przez Orbána odrzuceniem

eprasa.pl e52cb26f6a

liberalnego monizmu – idei, że wszystkie państwa muszą ostatecznie przyjąć demokrację liberalną w zachodnim stylu. Dla Orbána założenie po zimnej wojnie, że istnieje tylko jeden prawidłowy model porządku politycznego, jest wyrazem arogancji i zarzewiem niestabilności. Woli on promować ideę pluralistycznego systemu międzynarodowego: wielu modeli cywilizacyjnych, wielu ośrodków władzy. W praktyce oznacza to, że Węgry swobodnie prowadzą dialog z Chinami, Rosją i Zachodem jako aktywni aktorzy, a nie tylko klienci. To podejście – uznanie wielobiegunowości – stanowi podstawę przydatności Węgier jako potencjalnego gospodarza planowanego szczytu, nawet jeśli ostatecznie się on nie odbędzie. Gdyby Europa pozostawała zamknięta w monolitycznej ortodoksji liberalno-demokratycznej, a Moskwa wykluczona, takie spotkanie w ogóle nie byłoby brane pod uwagę.

W kontekście wojny na Ukrainie postawa Węgier jest doskonałą ilustracją tej strategicznej orientacji. Z jednej strony Budapeszt udziela pomocy humanitarnej Ukrainie i podkreśla konieczność pokoju, pomimo ostrych spięć z rządem w Kijowie. Z drugiej strony, dba o swoje interesy narodowe: dostawy energii (w tym kontynuację relacji z Rosją), ochronę suwerennej przestrzeni polityki zagranicznej i poszukiwanie rozwiązań dyplomatycznych zamiast militarnej eskalacji. Zachodni krytycy ostro atakują Węgry za to, co uważają za łagodniejsze podejście do Moskwy; odpowiedzią Orbána jest traktowanie dyplomacji jako narzędzia, a nie hasła. W rzeczy samej, ta wyważona postawa niesie ryzyko. Wielu europejskich konserwatystów, wraz z liberalnymi internacjonalistami, oskarża Węgry o podkopywanie jedności UE, osłabianie sankcji i brak jednoznacznego wsparcia dla Ukrainy. Rząd węgierski odpowiada, że prawdziwa dyplomacja wymaga zaangażowania, a nie izolacji. Organizacja niedoszłego szczytu USA–Rosja w Budapeszcie według Orbána miała potwierdzić jego przekonanie, że „dialog, a nie konfrontacja" jest drogą do pokoju. W odróżnieniu od wielu europejskich partnerów Budapeszt nie jest całkowicie zamknięty w jednej linii sojuszu. Daje mu to pole manewru i znaczenie. Jeśli szczyt kiedykolwiek się powiedzie, to Węgry zyskają rolę mediatora; jeśli się nie uda, to Węgry zachowają funkcjonalne więzi z różnymi obozami. Ta elastyczność jest geopolityczną dywidendą zdyscyplinowanej polityki wielowektorowej.

WĄSKA DROGA POLSKI

Kontrastuje to z pozycją Polski. Dotychczas pod rządami Donalda Tuska i prezydenta Karola Nawrockiego Warszawa prowadzi zdecydowanie proukraińską i silnie antyrosyjską politykę. Polska dostarcza pomoc Ukrainie, opowiada się za sankcjami, konsekwentnie ostrzega przed odradzającym się zagrożeniem rosyjskim i pozycjonuje się jako państwo frontowe NATO. Jednak ta linia ogranicza pole manewru dyplomatycznego Warszawy i sprowadza polską perspektywę na politykę wschodnią do powtarzania jednego hasła: „Więcej wojsk USA w Polsce". Co więcej, relacje Polski z Niemcami ostatnio się pogorszyły z powodu odmowy ekstradycji Ukraińca podejrzanego o wysadzenie gazociągu Nord Stream 2, co Berlin uważa za bilateralny obowiązek prawny, a Warszawa traktuje jako decyzję w interesie narodowym. Ten impas stawia Polskę między moralnym zaangażowaniem na rzecz Ukrainy a prawnymi oczekiwaniami jej zachodniego sąsiada, Niemiec.

W rezultacie Polska jest zaangażowana, ale ograniczona – i to na własne życzenie, co widać było po kuriozalnych słowach prezydenta Nawrockiego, który niedawno stwierdził, że „tylko Trump może negocjować z Putinem". W przeciwieństwie do tego Węgry nie są zapędzone w kozi róg w ten sam sposób. Odmawiając pełnego zaangażowania w najbardziej agresywną postawę antyrosyjską, Węgry zachowują zarówno wiarygodność, jak i autonomię. Dla Polski droga staje się węższa: silnie zaangażowana, mniej zdolna do adaptacji, pomimo znacznie większego potencjału. Dla Węgier elastyczność staje się atutem. Wybór Budapesztu – nawet jeśli szczyt na razie został odwołany – ma zatem znaczenie zarówno symboliczne, jak i praktyczne. Symbolicznie podkreśla, że w świecie odradzającej się rywalizacji mocarstw miejsca i aktorzy poza tradycyjnymi „zachodnimi stolicami" mogą mieć znaczenie, nawet gdy plany się zmieniają. Jak zauważył jeden z ekspertów, szczyt w Budapeszcie to „ogromny sukces rządu Orbána… celowe wyzwanie dla jedności UE i jej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa" – nawet jeśli ostatecznie się nie odbędzie.

Niezależnie od tego, czy zgadzamy się z tą oceną czy nie, sygnalizuje ona nowe dynamiki w Europie: państwa, które stosują strategie hedgingowe i utrzymują łączność, zyskują na znaczeniu. Krótko mówiąc, Budapeszt nie został wybrany przypadkowo, lecz z rozmysłem – choć na razie pozostaje symbolem tego, co mogło się wydarzyć. Miasto i kraj, które za nim stoją, znajdują się na skrzyżowaniu globalnej rozgrywki, gdzie stary podział na zachodnią hegemonię liberalną i rosyjski rewanżyzm jest kwestionowany przez nowe sojusze, nowych aktorów i nowe miejsca.

Wielowektorowa polityka zagraniczna Węgier, zakorzeniona w realizmie, kalkulacjach interesu narodowego i uznaniu wielobiegunowości, oferuje dokładnie taki rodzaj miejsca, w którym zarówno Moskwa, jak i Waszyngton były skłonne się spotkać – jednocześnie. I choć wielu w Europie obawia się o spójność Zachodu, to z perspektywy Węgier chodzi mniej o dzielenie, a bardziej o nawigowanie w złożoności. Gdy Europa zastanawia się nad kolejną fazą wojny, fakt, że szczyt planowano w Budapeszcie jest równie istotnym komentarzem, co jego potencjalny wynik. Mówi, że świat nie jest schludnie podzielony na „Zachód kontra Wschód", że mniejsze państwa wciąż mogą mieć znaczenie, a prawdziwa gra międzynarodowa oznacza otwieranie kanałów, a nie ich zamykanie. Ryzykowna gra Viktora Orbána jest teraz w pełni widoczna: sceptyków jest wielu, ale dowód przyniosą przyszłe negocjacje – lub ich brak. Jedno jest pewne, dzięki polityce Orbána Budapeszt zachowa swoje znaczenie – będzie punktem przecięcia potęg, miastem, które samo swoją obecnością przypomina, że w epoce przesilenia znaczenie staje się bronią, a równowaga – sztuką przetrwania.

My, Polacy, powinniśmy wyciągnąć z tego wnioski. Bo prawdziwa siła państwa nie rodzi się z odruchów ani z haseł, lecz z umiejętności trwania między biegunami świata, zachowując wewnętrzną spójność i zewnętrzną zdolność adaptowania do zmieniającej się na naszych oczach dynamiki relacji międzynarodowych. Polityka, która potrafi wysłuchać wszystkich – nawet tych, z którymi się nie zgadza – to nie oznaka słabości, lecz dojrzałości, której Europa dziś dramatycznie potrzebuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e52cb26f6a

Kochać i chronić

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

4 listopada 2025 r., Kielce

Wojewódzki Dom Kultury im. Józefa Piłsudskiego

Na Gali nagrodzimy najlepsze inicjatywy, ludzi, organizacje i firmy z województwa świętokrzyskiego działające na rzecz ochrony dzieci i młodzieży, dzięki którym ich dzieciństwo jest harmonijne a świat bezpieczny. Widzimy w naszych dzieciach przyszłość dla wszystkich dzieł naszego życia.
W każdym narodzie istnieje cel nadrzędny, czyli szczęśliwe i bezpieczne dzieci wychowywane przez kochające rodziny, wśród prawdziwych przyjaciół, pedagogów, w przyjaznych placówkach oświatowych i otoczeniu. Wychowanie to musi być osadzone mocno w wartościach bliskich także redakcji tygodnika „Do Rzeczy".

PARTNER GŁÓWNY

URZĄD MARSZAŁKOWSKI WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO

PATRONAT HONOROWY

PATRONAT MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO RENATY JANIK

PARTNER

WDK Wojewódzki Dom Kultury w Kielcach

eprasa.pl e52cb26f6a

Odwaga samodzielnego myślenia

Maciej Szymanowski

Trudno traktować węgierską politykę zagraniczną jako oderwaną od rzeczywistości i racjonalnego myślenia. I to również jest jeden z elementów, który pomaga budować Węgrom swoją pozycję na świecie

Nie Genewa, Londyn czy Paryż, ale Budapeszt został oficjalnie zapowiedziany jako miejsce ewentualnego szczytu pokojowego Trump–Putin, którego gospodarzem stałby się tym samym premier Węgier Viktor Orbán. Ten sam polityk, który w połowie października znalazł się w bardzo wąskim gronie przywódców zaproszonych z wybranych państw świata na towarzyszące porozumieniu Izrael–Hamas rozmowy w Szarm el-Szejk. Jak to się stało, że odmalowywany od lat w najczarniejszych barwach przez tak wielu zachodnioeuropejskich oraz polskich polityków, politologów i większość mediów Viktor Orbán znalazł się w pierwszej lidze polityki międzynarodowej? Dodajmy, stojąc na czele niespełna 10-milionowego państwa położonego na „peryferiach" Europy, które on sam zresztą lubi określać jako „kropkę na mapie świata".

Dałoby się powiedzieć, że Viktor Orbán – jako piastujący nieprzerwanie od 2010 r. funkcję premiera polityk sukcesu, który zbudował w kraju nową klasę średnią, obok tej powstałej po 1989 r. na bazie komunistycznej nomenklatury, przeforsował politykę zrównoważonego rozwoju i solidarności społecznej, czego przykładem jest, chociażby bardzo rozbudowany system wsparcia państwa dla rodzin z dziećmi (skutkujący 200 tys. „dodatkowych" nowo narodzonych) – po prostu teraz „monetyzuje" swoje znaczenie także za granicą. To byłaby jednak tylko część prawdy.

Po pierwsze, za obecną pozycją Węgier i samego premiera na arenie międzynarodowej stoi bowiem ciężka praca. Aby to sobie uświadomić, przytoczmy dane opublikowane na łamach liberalnego tygodnika „HVG" dotyczące aktywności ministra spraw zagranicznych i handlu Pétera Szijártó w 2024 r.: „587 205 przejechanych kilometrów; 63 odwiedzone państwa, 36 dni netto spędzonych w samolocie. Słowem, wszystkiego mamy tutaj mniej więcej tyle, ile wykonują także wyszehradzcy koledzy po fachu węgierskiego ministra z Bratysławy, Pragi i Warszawy – ale razem wzięci. A każdej takiej zagranicznej podróży towarzyszy średnio jedna podpisana albo przygotowana do podpisania umowa…".

Sam premier Orbán, nie wliczając spotkań odbywanych na marginesie obrad Rady UE, ONZ, Organizacji Państw Turkijskich czy europarlamentarnej frakcji Patrioci dla Europy, w tym samym 2024 r. postanowił wybrać się: trzykrotnie do prezydenta Trumpa, trzykrotnie do premiera Rumunii, dwukrotnie do kanclerza Niemiec. Poza tym odbył rozmowy z prezydentem Xi Jinpingiem w Pekinie, prezydentem Macronem w Paryżu, prezydentem Putinem w Moskwie, prezydentem Zełenskim w Kijowie, odwiedził także prezydentów Serbii, Gruzji, Kirgistanu i Uzbekistanu.

Wszystko to dzieje się zgodnie z zasadami tzw. konektywnej polityki zagranicznej, której zasady zostały opisane w dostępnej również w języku polskim książce szefa gabinetu politycznego premiera Balázsa Orbána (zbieżność nazwisk przypadkowa)

eprasa.pl e52cb26f6a

Kwestia polityki migracyjnej i masowej nielegalnej imigracji bez wątpienia zbliżyła do siebie premiera Orbána i prezydenta Trumpa FOT. YOAN VALAT/REUTERS/FORUM

„Tabliczka mnożenia. Rzecz o węgierskim myśleniu strategicznym". Najogólniej rzecz ujmując, w polityce konektywnej chodzi o utrzymywanie możliwie dobrych relacji z możliwie dużą liczbą obecnych i potencjalnych potęg światowego czy regionalnych, a także z państwami dysponującymi wysoko zaawansowanymi technologiami, zasobami nośników energii czy metalami ziem rzadkich. Polityka ta wychodzi z założenia, że żyjemy w świecie coraz bardziej złożonych systemów globalnych, gdzie poszczególne gospodarki stają się ze sobą coraz bardziej zintegrowane, ludność staje się coraz bardziej mobilna, cyberprzestrzeń przenika się z fizyczną rzeczywistością, mają miejsce coraz bardziej rewolucyjne zmiany w kluczowych dziedzinach życia człowieka i narodów. W efekcie wszyscy rywalizują ze wszystkimi: o możliwie najlepsze miejsce w globalnych łańcuchach dostaw, udziały w rynkach energetycznych, w produkcji rolnej i przemysłowej, w dostępie do kapitału i przepływów finansowych, pod względem technologii i wiedzy.

Z tej rywalizacji nie wszyscy wyjdą jako zwycięzcy. Mniej aktywni, myślący schematami przeszłości, nadmiernie skoncentrowani na walce politycznej czy problemach wewnętrznych sami wykluczają się z boju o zbudowanie czy utrzymanie podmiotowości na współczesnej scenie międzynarodowej. Kierunek tego myślenia dobrze oddaje fragment wspomnianej już książki prof. Balázsa Orbána, który warto przytoczyć także z tego powodu, że pośrednio dotyczy Polski: „Naszym celem jest sprawienie, aby region Europy Środkowej nie stał się strefą konfliktów regionalnych czy rywalizacji wielkich mocarstw, ale najdynamiczniej rozwijającym się, spójnym regionem, zdolnym do egzekwowania własnych interesów politycznych […]. Dla Węgrów i narodów sąsiednich Europa Środkowa jest przeznaczeniem, a wzmocnienie regionu – jedyną szansą!".

KONSEKWENTNA POLITYKA

Jakkolwiek paradoksalnie by to brzmiało, istotną rolę w zbudowaniu silniejszej pozycji międzynarodowej Węgier odegrała – i odgrywa, o czym za chwilę – postawa Budapesztu wobec nielegalnych imigrantów, która w latach 2015–2016 wykuwała się w starciu z doktryną „herzlich willkommen" – traktowania wszystkich wyrażających chęć osiedlenia się na terytorium UE jako uchodźców wojennych, ze wszystkimi przynależnymi temu statusowi prawami. W czasie, kiedy ówczesna unijna komisarz do spraw uchodźców Ylva Johansson oficjalnie przekonywała, że „uchodźcy przychodzą do nas po miłość", Węgry w ekspresowym tempie budowały przeszkody graniczne, a prezenterka BBC, która do studia zaprosiła ministra Szíjártó, długo nie mogła uwierzyć w to, co słyszy, kiedy ten spokojnie i dobrą angielszczyzną tłumaczył, że „Węgry chcą pozostać jednorodnym kulturowo krajem, dlatego że mają do tego prawo. Podobnie, jak kiedyś Brytyjczycy mieli prawo postanowić, że staną się społeczeństwem wielokulturowym".

Wiele wody upłynęło od tego czasu nie tylko w Wiśle, zdawałoby się. Proimigracyjni politycy mocno zmienili w tym czasie swoją retorykę, a nawet politykę. Tyle tylko, że przymusowa relokacja migrantów, zwana dziś Paktem Azylowym i Migracyjnym UE, pozostaje wciąż aktualna. Podobnie jak twarda postawa Budapesztu, który z góry odmawia możliwości ubiegania się o status uchodźcy wszystkim tym, którzy nielegalnie przekroczą węgierską granicę. Pomimo grzywny w wysokości 200 mln euro nałożonej na Węgry przez TSUE 13 czerwca ub.r. za „naruszenie unijnego prawa". Plus naliczanego od tego momentu 1 mln euro kary dziennie za dalsze upieranie się przy swoim zdaniu.

A ponieważ kwestia polityki migracyjnej i masowej nielegalnej imigracji w ogóle stała się w tym czasie bardzo gorącym politycznie i społecznie problemem także w USA, sprawa ta bez wątpienia zbliżyła do siebie premiera Orbána i prezydenta Trumpa. Zwłaszcza że Viktor Orbán był jedynym urzędującym premierem UE, który otwarcie wspierał Donalda Trumpa we wszystkich jego kampaniach wyborczych. A także w czasie, kiedy wspomnianemu pobierano odciski palców i stawiano seryjnie prokuratorskie zarzuty. W ostatnich latach chyba nie było jednego miesiąca, aby obaj przywódcy nie rozmawiali ze sobą przynajmniej telefonicznie. Od lat Donald Trump jest też regularnie odwiedzany w swojej rezydencji w Mar-a-Lago na Florydzie przez najbliższych współpracowników węgierskiego premiera. Nie było więc dziełem przypadku, że zapytany w telewizyjnej debacie przez Kamalę Harris o wymienienie choć jednego nazwiska europejskiego przywódcy, z którym ma dobre stosunki, Donald Trump bez wahania wypalił: Viktor Orbán! Nie jest dziełem przypadku, że największe spotkanie przedstawicieli europejskich środowisk konserwatywnych z amerykańskimi republikanami od lat odbywa się każdej wiosny w Budapeszcie pod nazwą CPAC Hungary.

Nie mniejszą konsekwencję premiera Orbána w prowadzonej przez siebie polityce można łatwo prześledzić również na przykładzie innego państwa – Izraela. Pierwszy w ogóle po 1989 r. premier Izraela, który przybył do Budapesztu – a miało to miejsce w 2017 r. – uczynił to na zaproszenie premiera Orbána. Beniamin Netanjahu najwyraźniej musiał uznać to spotkanie za udane, skoro w kolejnych latach jeszcze pięciokrotnie spotykał się z Viktorem Orbánem. Korzystnie odbiło

eprasa.pl e52cb26f6a

się to na współpracy gospodarczej, dzięki której Węgry sprzedają na izraelskim rynku towary za blisko pół miliarda dolarów rocznie, a na samych Węgrzech działa ponad 200 izraelskich przedsiębiorstw. Choć jeszcze bardziej wymowna wydaje się współpraca polityczna. Węgry ze skrajnym dystansem traktują inicjatywy szefowej unijnej dyplomacji Kai Kallas w kontekście Izraela, jak pomysł nałożenia sankcji na żydowskich osadników czy uruchomienia „przeglądu" umowy stowarzyszeniowej UE–Izrael.

Dlatego znowu nie jest dziełem przypadku, że podczas ostatniej wizyty premiera Netanjahu w Budapeszcie w kwietniu br., mogliśmy m.in. usłyszeć, że „bezpieczeństwo Izraela leży także w interesie Węgier"; „Węgry będą bronić Izraela także przed UE i ONZ"; „antysemityzm jest importowany z Europy Zachodniej poprzez masową migrację, której brukselskie elity nie chcą powstrzymać". A ze strony premiera Netanjahu: „antysemityzm nasilił się w Europie, ale nie na Węgrzech"; „dziękuję, że nasza reprezentacja narodowa i inne izraelskie drużyny mogą rozgrywać swoje międzynarodowe spotkania na węgierskich stadionach" i że „Izraelczycy uwielbiają Budapeszt. Zresztą, kto go nie lubi?".

OTWARCIE NA WSCHÓD

Atutem okazała się również polityka Otwarcia na Wschód (Keleti Nyítás), w Polsce z uporem godnej lepszej sprawy kojarzona jedynie z Rosją i okraszana w komentarzach pseudoargumentacją ad Putinum, która w praktyce politycznej zastąpiła socjologiczną kategorię ad Hitlerum. W rzeczywistości Otwarcie na Wschód prymarnie dotyczy kontaktów handlowych, a nie politycznych. Jest próbą wykorzystania wschodniego pochodzenia nieindoeuropejskich, niegdyś koczowniczych Madziarów w stosunkach gospodarczych z Turcją i państwami Azji Centralnej, jak Kazachstan czy Azerbejdżan. Ponadto sprowadzenia do siebie kapitału z dalekowschodnich rynków w obliczu od lat słabnącego strumienia inwestycji z Niemiec czy Francji. Polityka ta, generalnie przynosząca wymierne korzyści węgierskiej gospodarce – które zwłaszcza w przypadku inwestycji Korei Południowej, a także Chin czy Japonii mogą już być liczone w miliardach dolarów – pozwoliła w ogóle na pojawienie się Węgier na azjatyckiej mapie Europy, do tego z opinią dobrego partnera do robienia interesów.

W kontekście Federacji Rosyjskiej Otwarcie na Wschód nie odegrało żadnej istotnej roli. Często przytaczany w omawianym kontekście fakt zlecenia Rosjanom rozbudowy elektrowni jądrowej w Paks – pomijając już fakt, że nie jest to żadna rosyjska inwestycja, ale międzynarodowe przedsięwzięcie z udziałem również amerykańskiego General Electric i szwedzko-fińskiego AFRY – ślimaczy się od lat, jak od lat ślimaczy się budowa każdej siłowni atomowej na terenie UE. Tylko sygnalizując – bo to temat na odrębny artykuł: nie jest też żadnym szczególnym wyróżnikiem polityki Węgier kupowanie ropy i gazu z Rosji, bo tak czyni obecnie wiele europejskich państw, aż po Hiszpanię. Powody, dla których nie zostały do dzisiaj zdemontowane gazociągi Nord Stream 1 czy 2, też nie powinny pozostawiać zbyt wielu złudzeń co do planowanych scenariuszy na przyszłość.

To zresztą jeden z powodów, dla których Węgry – przypomnijmy, że jedno z nielicznych państw, które protestowało u boku Polski przeciw budowie Nord Stream 2, który zaczął być realizowany już po aneksji Krymu i rosyjskiej agresji 2014 r. – zachowują w pewnych aspektach neutralność wobec wojny na wchodzie. Pomoc humanitarna – tak; transporty broni przez swoje terytorium, ale w ramach NATO – tak; sankcje UE – tak; ale własna pomoc wojskowa dla Ukrainy – nie. W wypowiedziach czołowych węgierskich polityków, także tych opozycyjnych, trudno też odnaleźć wezwania w rodzaju: „Wdepczemy Putina w ziemię" – posługując się słowami marszałka Szymona Hołowni. Dominują w nich wezwania do pokoju, a przynajmniej zawarcia zawieszenia broni. To zresztą dosyć typowa obecnie postawa państw i narodów tworzących kiedyś Monarchię Habsburgów, jak Austria, Chorwacja czy Słowacja. Wynik niedawnych wyborów parlamentarnych nad Wełtawą oznacza, że podobnie myśli również większość Czechów.

OBALENIE „NIETYKALNEGO IDOLA"

Jest jeszcze coś, co również pomaga w budowaniu Węgrom własnej pozycji na arenie międzynarodowej, choć nie w samej UE, przynajmniej na razie. Sięgnijmy najpierw do obszernego artykułu Viktora Orbána opublikowanego na łamach dziennika „Magyar Nemzet" w czasach pandemii w 2020 r.: „Nasza walka o suwerenność intelektualną i wolność umysłową, zapoczątkowana wiele lat temu, powoli zaczyna przynosić owoce. Coraz bardziej poszerza się nurt buntu wobec poprawności politycznej, przeciwko dyktatowi liberalnej doktryny, sposobu mówienia i stylu. Coraz więcej ludzi coraz odważniej wychodzi z okowów jedynego poprawnego sposobu mówienia, jedynej poprawnej koncepcji demokracji, jedynej poprawnej interpretacji Europy i Zachodu. Próba wyswobodzenia się sama w sobie oczywiście nie jest łatwa, a ryzyko kary jest znaczne [...]. Ale nurt buntu przeciwko liberalnemu uciskowi intelektualnemu nie tylko się rozszerza, lecz także pogłębia. Coraz więcej jest przekonujących esejów, gruntownych studiów i monografii. Nawet jeśli w brukselskiej bańce jeszcze się do tego nie przyznają, to my już widzimy, że król jest nagi. Doktryna, zgodnie z którą »demokracja może być tylko liberalna« – ten nietykalny idol, ten wielki fetysz – została obalona, musimy tylko poczekać, aż podniesiona chmura kurzu opadnie i będziemy to nie tylko wiedzieć, lecz także widzieć".

Powyższe słowa można oczywiście przypisać politycznemu zadęciu. Jeśli jednak umieścić je w kontekście panującego marazmu, doktrynie nakazów i zakazów, sięgania nawet po cenzurę prewencyjną, co obserwujemy w liberalnych demokracjach na co dzień – a z drugiej strony, wziąć pod uwagę fakt, że Węgrzy zdają sobie oczywiście doskonale sprawę, że zajmują 108. miejsce pod względem powierzchni oraz 94. pod względem liczby ludności na świecie, są więc przysłowiową kropką na mapie – to naprawdę trudno traktować węgierską politykę zagraniczną jako oderwaną od rzeczywistości i racjonalnego myślenia. I to również jest jeden z elementów, który pomaga budować Węgrom swoją pozycję w naszym coraz bardziej zideologizowanym i rozemocjonowanym świecie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest wykładowcą Studiów Europy Wschodniej na Uniwersytecie Warszawskim.

eprasa.pl e52cb26f6a

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

KOSZMAR POTOPU SZWEDZKIEGO

Szarańcza z północy – Karol Gustaw cofnął Rzeczpospolitą do wczesnego średniowiecza. Potop szwedzki oznaczał dla państwa polsko-litewskiego pożogę, rabunek i upust krwi

Niemalowana królowa – Jedną z bohaterek „Potopu" mogłaby być Maria Gonzaga, nazywana „niebiałogłową". Gdyby nie śmiałość, wysiłki i pieniądze królowej, losy Polski mogłyby się potoczyć jeszcze bardziej tragicznie

Panamski łącznik – Francuzi próbowali zbudować w Panamie kanał na podobnej zasadzie jak w Egipcie. Warunki w Ameryce Centralnej były jednak dużo trudniejsze i dopiero Amerykanie byli w stanie zrealizować ten cud inżynierii

Syberyjska epopeja Czechosłowaków – Korpus naszych południowych sąsiadów przeszedł przez całą Rosję, by ewakuować się z Władywostoku. Po drodze Czechosłowacy walczyli nie tylko z bolszewikami

Książę regent – Zdzisław Lubomirski zdobył w latach pierwszej wojny światowej ogromną popularność – widziano w nim reprezentanta narodu – ale raptownie ją utracił

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl e52cb26f6a

Pierwszy po prezesie?

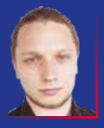

Jan Fiedorczuk

Mało kto w polskiej polityce tak skrupulatnie i skutecznie budował swoją pozycję jak Przemysław Czarnek. W ciągu zaledwie kilku lat przeszedł drogę od bliżej nikomu nieznanego wojewody do najbardziej wyrazistej postaci w PiS, a być może nawet potencjalnego kandydata na urząd premiera

Kiepska pogoda, słaba frekwencja i brak zainteresowania mediów – PiS nie może uznać październikowej manifestacji, która przeszła ulicami Warszawy, za szczególnie udaną. Z protestu, który miał podtrzymać zainteresowanie paktem migracyjnym oraz umową z Mercosur, niewiele wyszło. Wydarzenie co prawda wybrzmiało w debacie publicznej, tylko że nie ze względu na sam charakter przemarszu, a sugestię Jarosława Kaczyńskiego dotyczącą przyszłości Przemysława Czarnka. Zapowiadając go na manifestacji, prezes PiS stwierdził bowiem, że były minister edukacji „nie był dotąd premierem, ale pewnie będzie". Słowa lidera największej partii opozycyjnej wywołały spore poruszenie wśród komentatorów i publicystów. Sam zainteresowany dopytywany przez dziennikarzy zachowuje ostrożność, unikając triumfalizmu. Przyznaje jednak, że w PiS przylgnęła już do niego ksywka „premier".

Jeszcze dekadę temu był praktycznie nieznany, dzisiaj wydaje się jedną z centralnych postaci w partii. Dla liberalnych mediów stanowi uosobienie wszystkiego, co w PiS najgorsze. Dla zwolenników prawicy jest natomiast nadzieją na zachowanie ideowego kursu partii. Z jego głosem liczy się Jarosław Kaczyński, szanuje go nawet konkurencja z Konfederacji. Wielu na taką pozycję musi pracować latami. Skąd wziął się Przemysław Czarnek?

PRAWO I POLITYKA

– Od początku wiedziałem, że jest mu bardzo blisko do polityki – mówi prof. dr hab. Dariusz Dudek, promotor doktoratu Czarnka, w filmie zamieszczonym na profilu polityka na YouTube. Do 2015 r. związki Czarnka ze światem polityki były jednak raczej dość luźne. Co prawda, jeszcze jako student na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim za namową Jadwigi Mach (obecnie zbliżonej do PO) dwukrotnie z sukcesami startował do rady osiedla, a z kolei w 1998 r. otrzymał zaproszenie od wojewody zamojskiego Marka Grzelaczyka do współpracy przy pierwszych wyborach do Sejmiku Województwa Lubelskiego – trudno jednak uznać te historie za zapowiedź jego przyszłej kariery. W 2002 r. bez powodzenia startował do Rady Miasta Lublina z listy KWW „Prawo i Rodzina" z poparciem Ligi Polskich Rodzin Romana Giertycha, a trzy lata później – w 2005 r. – współtworzył w Lublinie Towarzystwo Gimnastyczne Sokół, które promowało kulturę fizyczną, naukę strzelania i walki wręcz.

Dopiero po obronie doktoratu na KUL w 2006 r. jego zainteresowanie polityką zaczyna rosnąć. W 2007 r. poseł PiS Sławomir Zawiślak zaprasza młodego prawnika do współpracy w pisaniu interpelacji oraz projektów ustaw, a w wielką politykę Czarnek wchodzi w końcówce 2015 r., gdy zostaje powołany na stanowisko wojewody lubelskiego. Jak doszło do tego, że w gruncie rzeczy nikomu nieznany wykładowca KUL otrzymał

eprasa.pl e52cb26f6a

FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER

tak prominentne stanowisko? „Winny" był temu sukces wyborczy PiS. Wszyscy potencjalni kandydaci na stanowisko wojewody dostali się bowiem do Sejmu, a partia została z wakatem w samorządzie. Kandydaturę Czarnka mieli promować jego znajomy poseł Zawiślak oraz środowisko Klubu Inteligencji Katolickiej związane z o. Tadeuszem Rydzykiem i Radiem Maryja. Od tego momentu jego kariera nabiera zawrotnego tempa. W 2019 r. Czarnek wchodzi do Sejmu z drugiego miejsca na liście, uzyskując przy okazji najlepszy wynik w historii okręgu lubelskiego, rok później prezydent Andrzej Duda powołuje go na funkcję ministra edukacji, a w czerwcu 2025 r., podczas kongresu PiS, zostaje wybrany na stanowisko wiceprezesa partii.

NA PIERWSZEJ LINII FRONTU

– To pistolet, nie boi się zaatakować, ale robi to nieco subtelniej niż Krystyna Pawłowicz czy Dominik Tarczyński – tymi słowami w rozmowie z „Polityką" opisywał Przemysława Czarnka jego partyjny kolega w 2020 r. Historia tego „pistoletu" zaczyna się jednak wcześniej. Jeszcze jako wojewoda lubelski Czarnek wszedł w ostry spór z środowiskami LGBT. W 2018 r. publicznie określił Marsz Równości w Lublinie jako „obrzydliwy", a związki tworzone przez osoby tej samej płci nazwał „zboczeniami", „dewiacjami" i „wynaturzeniami". Ówczesny rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar w odpowiedzi stwierdził, że wojewoda łamie konstytucyjny zakaz dyskryminacji i postanowienia ustawy o równym traktowaniu.

Przez kilka kolejnych lat to właśnie kwestia sprzeciwu wobec kulturowej rewolucji była głównym tematem, z którym kojarzono młodego polityka. Gdy w 2019 r. dziewięć lubelskich samorządów przyjęło stanowisko w sprawie sprzeciwu wobec ideologii LGBT, Przemysław Czarnek nagrodził samorządowców Medalem Wojewody. – To szatan. Nazywajmy rzeczy po imieniu. Jeśli szatan chce uderzyć w tę wspólnotę, to uderza w rodzinę. Jeśli zniszczy rodzinę, zniszczy naród – mówił w czasie uroczystości.

Odnosząc się do filmu braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu" o przypadkach pedofilii w Kościele, polityk stwierdził, że realna obrona rodziny i dziecka musi zawierać w sobie rozmowę o tym, „dlaczego homoseksualizm jest główną przyczyną pedofilii w Kościele". Tego typu wypowiedzi sytuowały polityka zdecydowanie na prawym skrzydle formacji.

Cała Polska usłyszała o Przemysławie Czarnku krótko po wyborach parlamentarnych w 2019 r. Komentując zdjęcia z parady w Los Angeles, debiutujący poseł apelował, by chronić polskie rodziny przed podobnym zepsuciem. – Brońmy nas przed ideologią LGBT i skończmy słuchać tych idiotyzmów o jakichś prawach człowieka czy jakiejś równości. Ci ludzie nie są równi ludziom normalnym i skończmy wreszcie z tą dyskusją – przekonywał. Nie tylko ówczesny szef PO Borys Budka, który domagał się od Kaczyńskiego wyrzucenia Czarnka z PiS, ale nawet partyjni koledzy krytykowali posła. Cierpkich słów nie szczędzili mu m.in. rzecznik rządu Piotr Müller, europoseł PiS Joachim Brudziński czy wiceminister Marcin Horała. Również władze KUL odcięły się od słów posła. Sam Czarnek jednak nie dał się zakrzyczeć i nie tylko nie przeprosił, lecz także wyraził opinię, że to posłowie PiS dali się zmanipulować. Przetrwał chwilową zawieruchę, a w zamian zdobył rozgłos na prawym skrzydle partii. Właściwie to wtedy powoli rozpoczął drogę do przywództwa w tej frakcji.

Oczywiście ta kariera nie byłaby możliwa, gdyby nie przychylne stanowisko Jarosława Kaczyńskiego. Dla prezesa PiS ktoś taki jak Czarnek – całkowicie lojalny, ale zarazem bardzo wyrazisty na niwie ideowej – był niezwykle użyteczny, gdyż pozwalał zagospodarować emocje po prawej stronie i stanowił konkurencję nie tylko dla rosnącej w siłę Konfederacji, lecz także dla formacji Zbigniewa Ziobry. Kaczyński, pozwalając na wzrost Czarnka, mógł pokazać najbardziej ideowym wyborcom: patrzcie, też mamy swoich „radykałów", ale nie są oni obciążeni wszelkimi ekscentryzmami spod znaku Korwin-Mikkego i Grzegorza Brauna.

MINISTER, IDEOLOG, KRZYŻOWIEC

Przejmując pod koniec 2020 r. połączone resorty nauki i edukacji, Czarnek wyraźnie wskazał na swoje priorytety – przywrócenie szkole misji wychowawczej, oparcie polskiego programu na wartościach patriotycznych oraz radykalny sprzeciw dla jakichkolwiek ideologicznych eksperymentów. Jako minister zainicjował m.in. zmiany w podstawach programowych, kładąc większy nacisk na historię i wartości chrześcijańskie. Wspierał także finansowanie organizacji o charakterze katolickim i narodowym w ramach konkursów ministerialnych. Opozycja zarzucała mu, że część funduszy trafiła do środowisk powiązanych z PiS albo organizacji prawicowych.

Najgłośniejszym i najbardziej kontrowersyjnym projektem w trakcie jego kadencji było tzw. lex Czarnek, czyli nowelizacja prawa oświatowego, która znacząco zwiększała wpływ kuratorów oświaty na życie szkół. Zgodnie z propozycjami ministra kuratorzy mieli uzyskać możliwość reagowania i zatwierdzania treści zajęć dodatkowych, które chce przeprowadzić szkoła. Ostatecznie projekt został

eprasa.pl e52cb26f6a

zawetowany przez prezydenta Andrzeja Dudę, który m.in. argumentował, że w obliczu wojny na Ukrainie należy unikać projektów antagonizujących społeczeństwo. Kilka miesięcy później Sejm podjął ponowną próbę przyjęcia „lex Czarnek 2.0" i kolejny raz prezydenckie weto stanęło na przeszkodzie.

Z prawej strony minister najmocniej był krytykowany za zdalną edukację i zamknięcie dzieci na całe miesiące w domach. Gwoli sprawiedliwości trzeba pamiętać, że sam Czarnek objął resort, gdy te obostrzenia już funkcjonowały jako segment większej całości, czyli „lockdownowej" polityki PiS. Minister od początku nie krył sceptycyzmu wobec zdalnej nauki, stopniowo przywracając stacjonarny tryb nauki. Prawda jest bowiem taka, że był on ministrem w rządzie Mateusza Morawieckiego i dopóki sam premier opowiadał się za polityką obostrzeń, dopóty Czarnek nie miał specjalnego pola manewru.

Po Annie Zalewskiej i Dariuszu Piontkowskim Czarnek jawi się nie tyle jako kolejny minister edukacji, zwykły urzędnik zajmujący się reformowaniem resortu i jego administrowaniem, ile raczej ktoś na kształt konserwatywnego ideologa. Jako minister Czarnek lubił wypowiadać się o powołaniu kobiet do rodzenia dzieci, o protestach proaborcyjnych mówił, że są przejawem zachowań satanistycznych, innym znowuż razem przekonywał, że „jeśli seks traktuje się wyłącznie jako przyjemność, to jest upadek wartości". To wszystko pokazywało go właśnie raczej jako politycznego krzyżowca, kontrrewolucjonistę, a nie urzędnika. Z tej perspektywy przestaje dziwić głośna wypowiedź, w której minister powiązał ruch LGBT z marksizmem oraz nazizmem. – Nie ma wątpliwości, że cała ta ideologia LGBT wyrastająca z neomarksizmu, a ten z marksizmu, pochodzi z tego samego korzenia co niemiecki narodowy socjalizm hitlerowski, który jest odpowiedzialny za wszelkie zło drugiej wojny światowej, zniszczenie Warszawy i zamordowanie powstańców – przekonywał jeszcze przed objęciem funkcji ministra.

Można odnieść wrażenie, że ambicją Przemysława Czarnka było nie tyle wychowywanie dzieci, ile raczej w ogóle Polaków. To właśnie z tej aktywności został zapamiętany Czarnek, a programy takie jak „Laboratoria Przyszłości" czy rozwój infrastruktury szkolnej zostały w gruncie rzeczy w świadomości społecznej „przykryte" ideowymi wypowiedziami ministra.

Czarnek od początku kariery budował swój wizerunek jako polityka dużo bardziej konserwatywnego niż partyjny mainstream

Jednak to, co w percepcji całego społeczeństwa mogło być obciążeniem, dla prawicowego elektoratu jawiło się jako pozytyw. Przez całe lata nauka historii w III RP była traktowana po macoszemu i kończyła się mniej więcej na wysokości drugiej wojny światowej, a z kolei forsowanie wartości chrześcijańskich czy patriotycznych było postrzegane przez liberalny salon jako faux pas. Przemysław Czarnek, który bez kompleksów wchodził do resortu, wdrażając np. przedmiot historia i teraźniejszość z podręcznikiem prof. Roszkowskiego, stanowił pewne novum, które przez konserwatywny elektorat zostało przyjęte bardzo ciepło.

Na tyle ciepło, że akcje samego Czarnka zaczęły gwałtownie rosnąć, a prezes PiS zastanawiał się nawet, czy nie wystawić byłego ministra do walki o prezydenturę. Pomysł „Czarnek 2025" miał wywołać pewien opór w partii, profesjonalne sondaże nie dawały szans takiemu przedsięwzięciu, a i sam zainteresowany w publicznych wypowiedziach wielokrotnie dystansował się od tego projektu w wypowiedziach publicznych, wprost popierając kandydaturę Karola Nawrockiego.

„CZARNEK 2027"?

Już po wyborach prezydenckich przez chwilę dyskutowano o możliwości objęcia przez Czarnka funkcji szefa Kancelarii Prezydenta. Jeden z wymogów dotyczył jednak zrzeczenia się partyjnych funkcji. Dla Czarnka oznaczałoby to zatem utratę wpływów, gdyż wiązałoby się z rezygnacją z pozycji wiceprezesa PiS i szefa lubelskich struktur partii. Ostatecznie polityk odmówił prezydentowi, pozostając w partii.

– Przemek chce być numerem dwa, tuż za prezesem, a wkrótce numerem jeden. On po prostu chce być prezesem za kilka lat, a nawet premierem w rządzie PiS i Konfederacji – komentował w nieoficjalnej rozmowie z „Super Expressem" jeden z polityków PiS.

Taki scenariusz wcale nie jest niemożliwy. Czarnek od początku kariery budował swój wizerunek jako polityka o wyraźnie konserwatywnym rysie, dużo bardziej konserwatywnym niż partyjny mainstream. Polityk, mimo że nie szczędzi krytyki liberalnemu Sławomirowi Mentzenowi, już o Krzysztofie Bosaku wypowiada się albo pozytywnie, albo wcale. Jak donosiły media, to on w 2024 r. miał sprzeciwić się głosowaniu za odebraniem Bosakowi funkcji wicemarszałka. To on jawi się też jako naturalny łącznik dla ewentualnego rządu PiS i Konfederacji. W rozmowie z Radiem Zet były minister zdradził, że „niemal codziennie" prowadzi rozmowy z politykami Konfederacji na temat ewentualnej koalicji. Im mniejsze szanse partii na samodzielne rządy, tym większa będzie rola Czarnka w budowaniu ewentualnego sojuszu w 2027 r. Politycy Konfederacji niemal na pewno nie zgodzą się bowiem na budowanie koalicji z premierem Morawieckim.

Każdy, kto obserwuje polską politykę, wie, że puszczanie plotek na temat „delfina" to ulubiona gra Jarosława Kaczyńskiego. Prezes sugeruje coś w sprawie swego ewentualnego następcy i patrzy na reakcję zarówno zainteresowanego, jak i poszczególnych frakcji. Tak swego czasu Mateusz Morawiecki popadł w niełaskę, gdy podczas jednego z wywiadów przyznał, że chciałby w przyszłości być prezesem PiS. Bez względu na to, czy projekt „Czarnek 2025" faktycznie został przemianowany na „Czarnek 2027", czy też jest to po prostu kolejna zagrywka Kaczyńskiego, to sam Czarnek wydaje się zbyt wytrawnym politykiem, który zbyt skrupulatnie budował swoją pozycję przez ostatnie lata, by wyłożyć się teraz na ostatniej prostej, gdy być może rozpoczyna się właśnie najważniejsza rozgrywka w jego karierze.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e52cb26f6a

Świętokrzyskie

Odwiedź nas jesienią!

www.swietokrzyskie.pro

eprasa.pl e52cb26f6a

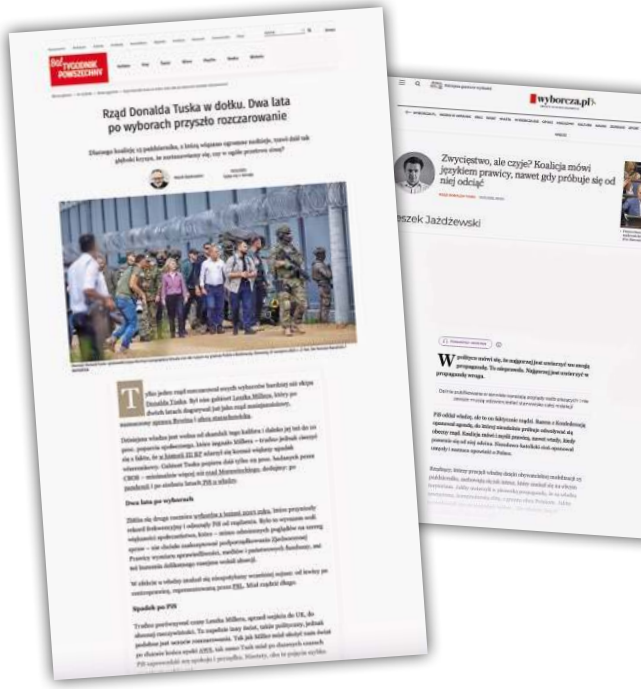

Rocznicowa walka z własnym cieniem

Piotr Semka

Nie zazdroszczę członkom obecnego rządu. Jeśli ma się tak oderwany od rzeczywistości wachlarz publicystycznych kibiców, to trudno nawet wymyślić jakieś remedium na obecne kłopoty

Druga rocznica wyborów 15 października przyniosła w mediach prorządowych wysyp tekstów podsumowujących blisko dwa lata rządu koalicji Platformy, PSL, Polski 2050 i Nowej Lewicy. Prawie wszystkie opinie głoszą jedno – sytuacja „obozu demokracji" jest kiepska, a wygrana Karola Nawrockiego podcięła nogi nadziejom na szybką poprawę sytuacji.

Znacznie ciekawsza jest analiza tego, co autorzy z klubu kibica III RP uważają za przyczyny tego fatalnego stanu rzeczy. Na potrzeby tej analizy wziąłem teksty z trzech mediów wyraźnie przyznających się do tradycji „Jagodna" – tygodnika „Polityka", „Gazety Wyborczej" i „Tygodnika Powszechnego". To bardzo pouczająca lektura.

JERZY BACZYŃSKI, CZYLI AGENCI PIS TKWIĄ GŁĘBOKO

Jerzy Baczyński, naczelny „Polityki", w duecie z Mariuszem Janickim to twórcy tekstu „Połowiczny półmetek".

Autorzy zaczynają od zachwytu dynamizmem pierwszych miesięcy rządów Donalda Tuska. „Początek był mocny: nowej władzy udało się wyjąć z rąk PiS media publiczne, także zwierzchnictwo nad prokuraturą. Od aresztowania Kamińskiego i Wąsika rozpoczęto rozliczenia, ruszyły komisje śledcze. PiS – ironicznie i twardo traktowany w Sejmie przez marszałka Szymona Hołownię – został zepchnięty do coraz bardziej desperackiej, czasem wręcz komicznej defensywy. Jeszcze z rozpędu koalicja wygrała wybory samorządowe i europejskie. A potem coś się zacięło".

Duet Baczyński-Janicki nie zadaje sobie pytań, czy aresztowania ze stycznia 2024 r. lub wkraczanie „mocnych ludzi" do mediów i prokuratury były legalne. O nie. Szybko formują własne wytłumaczenie, dlaczego „coś się zacięło". Odpowiedź brzmi – bo Tusk ma za mało władzy.

„Sojusz 15 października objął władzę tylko w pewnym stopniu. Prezydentem nadal był Andrzej Duda. Trybunał Konstytucyjny, Trybunał Stanu, KRRiT, Krajowa Rada Sądownictwa, Rada Polityki Pieniężnej, Sąd Najwyższy, PKW, IPN i inne zabetonowane prawnymi trikami instytucje znajdowały się w sferze wpływów PiS – i w zasadzie takie pozostaną do końca obecnej kadencji". Ponadto, jak w dramatycznym tonie piszą autorzy „Polityki", „w rozmaitych środowiskach opiniotwórczych, ale także w prokuraturze, służbach specjalnych, ministerstwach, spółkach Skarbu Państwa poprzednia ekipa pozostawiła swoich »kretów«".

Po tych zastrzeżeniach Baczyński-Janicki wyrokują: „Koalicja spinana przez Tuska sprawowała zatem rządy na zaciągniętym hamulcu".

Spróbujmy przeanalizować ten sposób myślenia, bo jest on bardzo znamienny dla obozu III RP. Streszczając wywód Baczyńskiego-Janickiego można wyciągnąć wniosek, że rządzić w Polsce da się jedynie po opanowaniu 100 proc. stanowisk w państwie. Charakterystyczna jest ta mentalność, która przypomina czasy PRL. Każde przetrwanie na stanowisku kogoś spoza obozu Platformy nie skłania Tuska do szukania kompromisu, ale staje się pretekstem do usprawiedliwienia, że „nic nie da się zrobić". A nie daje się nic zrobić, bo nie szuka się kompromisu.

Tyle że przecież z prawicą się nie dyskutuje, tylko szuka się na nią haków. Na początku lat 90. prezydent Lech Wałęsa rozdzierał szaty, że nie ma sukcesów, bo „ma za mało władzy". Prawda była taka, że władzy miał bardzo dużo, ale chciał systemu absolutnej dominacji prezydentury, a gdy to wywoływało opór reszty sceny politycznej – to chwytał się tych sprzeciwów jako usprawiedliwienia dla własnego braku kompetencji.

Tak samo jest teraz, gdy „Polityka" usprawiedliwia Tuska za jego porażki, oburzając się, że nie opanował wszystkich instytucji.

Zwróćmy uwagę też na inny argument Baczyńskiego i Janickiego. Głoszą oni przypominającą stalinizm tezę, że wszelkie niepowodzenia w dzisiejszej Polsce to efekt szkodnictwa bliżej niesprecyzowanych „kretów" Prawa i Sprawiedliwości. Jakich kretów? Czym się zajmujących? W jaki sposób niezauważanych przez mini-

eprasa.pl e52cb26f6a

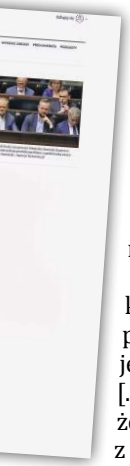

strów i urzędników? – autorzy nie uznają za stosowne udzielić odpowiedzi na wszystkie te pytania. Ale chętnie za pomocą takiej neostalinowskiej kalki tłumaczą buksowanie w miejscu obecnej koalicji.

A teraz kolejna diagnoza „Polityki". „Jeszcze raz ujawniła się znana prawda, że ważne jest nie to, jak jest, ale to, co się ludziom wydaje [...]. Tusk zapewniał wcześniej, że będzie się spotykał regularnie z dziennikarzami, jeździł po Polsce i tłumaczył swoją politykę, ale nic z tego nie wyszło".

I znów Baczyński i Janicki sugerują, że rząd ma liczne osiągnięcia, ale zostały one źle opowiedziane, a rolę narratorów przejęli polityczni przeciwnicy. W domyśle teza brzmi: „Rząd ma sporo sukcesów, ale nikt o tym nie wie". To powtarzanie ulubionego zaklęcia polityków Platformy, którzy jeszcze do niedawna zapowiadali, że wraz z powołaniem Adama Szłapki na funkcję rzecznika rządu nastąpi „nowe otwarcie" gabinetu Tuska. Tymczasem Szłapka rzecznikuje już ponad miesiąc, a o żadnym „nowym otwarciu" nie ma nawet mowy.

NAJSROŻSZA KRYTYKA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

W szacownym krakowskim piśmie Marek Kęskrawiec w tekście „Rachunek za dwa lata" także niepokoi się położeniem rządu. „Tylko jeden rząd rozczarował swych wyborców bardziej niż ekipa Donalda Tuska. Był nim gabinet Leszka Millera, który po dwóch latach dogorywał już jako rząd mniejszościowy, naznaczony sprawą Rywina i aferą starachowicką".

Kęskrawiec zaczyna dosyć drapieżnie. Ale już w następnym zdaniu pokazuje, że ma o ekipie Tuska jakieś wyidealizowane wyobrażenie. W kontraście do wspomnianego już rządu Millera pisze: „Dzisiejsza władza jest wolna od skandali tego kalibru i daleko jej też do 10 proc. poparcia społecznego, które żegnało Millera".

Ekipa Tuska i brak skandali? A co z dręczeniem ks. Olszewskiego w areszcie? A co z obsadzaniem spółek Skarbu Państwa przez rodziny polityków PO? A co ze sposobem rozdzielania dotacji z KPO, np. na kluby swingersów? A co z łamaniem prawa przez ministra Waldemara Żurka, a wcześniej Adama Bodnara? Marek Kęskrawiec zdaje się wszystkiego tego nie zauważać. A potem dziwi się, dlaczego sondaże pokazują aż tak wielkie rozczarowanie wyborców.

W tym samym numerze „Tygodnika Powszechnego" komentarz Przemysława Wilczyńskiego, który zastanawia się, dlaczego minister Barbara Nowacka potknęła się o wprowadzenie edukacji zdrowotnej do szkół. Jak twierdzi Wilczyński, powodem porażki była zgoda na to, by rodzice i dzieci sami decydowali, czy chcą nowego przedmiotu.

„I właśnie ugięcie się przed szantażem opozycji i zgoda na fakultatywność nowego przedmiotu jawi się dziś jako główny błąd rządzących. Błąd [...] kardynalny". Nie wiem, czy minister Nowacka dotarła do komentarza Przemysława Wilczyńskiego, ale mam dziwne podejrzenie, że na pewno przypadłby jej do gustu. Zmuszać, narzucać, kontrolować – to taktyka bardzo bliska obecnej minister oświaty.

OSKARŻYCIEL PUBLICZNY LESZEK JAŻDŻEWSKI

Na łamach „Gazety Wyborczej" znany łódzki liberał podsumowuje dwa lata rządów Tuska bez jakiejkolwiek taryfy ulgowej. Tylko że są to oceny zdradzające bujanie nie tyle w obłokach, ile wręcz w odległych galaktykach.

Leszek Jażdżewski ogłasza, że tak naprawdę rządzi PiS, tyle że wykorzystuje ekipę Tuska. Nie wierzycie? No to dajcie się przekonać Jażdżewskiemu. „PiS oddał władzę, ale to on faktycznie rządzi. Razem z Konfederacją opanował agendę, do której nieudolnie próbuje odwoływać się obecny rząd. Koalicja mówi i myśli prawicą nawet wtedy, kiedy pozornie się od niej odcina. Narodowo-katolicki cień opanował umysły i narzuca opowieść o Polsce".

Leszek Jażdżewski oburza się, że Donald Tusk naśladuje gromkie pokrzykiwania na politykę wyważenia, racjonalności i jednoznacznie europejskiego kierunku. „Wciąż to PiS jest punktem odniesienia dla rządzących. A ostatnio – w jeszcze większym stopniu – Konfederacja. Tylko że nie w sposób, jakiego można by się spodziewać. Nie przez budowanie ideowej polaryzacji, ale przez strategię mimikry, przejmowanie projektów języka, które są z gruntu obce formacjom rzekomo orientującym się na ludzi otwartych i aspirujących".

Trzymając się tej logiki, Jażdżewski wyjaśnia, dlaczego Rafał Trzaskowski przegrał. Według niego nie była to klęska liberalnej strategii, bo nigdy nie próbowano jej realizować. Jak wyjaśnia Jażdżewski, była to porażka nieogarniętej władzy, nieudolnie naśladującej narrację prawicowych przeciwników.

Na swój sposób Jażdżewski jest najbardziej konsekwentnym obrońcą Tuska. Sugeruje, że nie można dziwić się, iż nic się nie zmieniło po odejściu rządu Morawieckiego, bo PiS faktycznie nadal rządzi.

SCHOROWANI LEKARZE I DORADCY

Szczerze mówiąc, nie zazdroszczę członkom obecnego rządu. Jeśli ma się tak oderwany od rzeczywistości wachlarz publicystycznych kibiców, to trudno nawet wymyślić jakieś remedium na obecne kłopoty, ale to nie koniec zmartwień.

W najnowszym numerze „Polityki" wspomniany już Mariusz Janicki zapowiada kolejne wrogie przejęcia ze strony prawicy. Janicki głosi: „Prawica robi z Karola Nawrockiego wielką gwiazdę, co nie dziwi. Jednak także duża część drugiej politycznej strony, co widać w mediach społecznościowych, wykazuje coraz większą fascynację nowym prezydentem [...] i chociaż to chwalenie Nawrockiego ma służyć niby jako przestroga i impuls dla obozu demokratycznego, aby się bardziej starał, widać, że ta troska coraz mniej się różni od autentycznego podziwu dla nowego prezydenta". Wszystko to skłania Janickiego do ponurej refleksji: „Powrócił mit mistrzów z PiS, naturalnych zwycięzców, którzy tylko przez nieuwagę na chwilę oddali władzę".

To bardzo ciekawa huśtawka nastrojów w obozie liberalnym. Publicyści „Polityki", „Gazety Wyborczej" czy „Tygodnika Powszechnego" potwierdzają nienową obserwację, że dla nich każde odejście od liberalnego betonu oznacza de facto realizowanie celów nienawistnej prawicy. I dzieje się to w sytuacji, gdy twarzami tego rządu są Barbara Nowacka, Krzysztof Gawkowski, Katarzyna Kotula, Agnieszka Dziemianowicz-Bąk czy Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz.

Dwa lata po powstaniu tego rządu rozchwiały się punkty odniesienia nie tylko premiera Tuska, lecz także jego najwierniejszych publicystycznych sojuszników.

Słowem: polityczne trzęsienie umysłów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e52cb26f6a

Brukselski Dom Wariatów

Rafał A. Ziemkiewicz

Czy może być coś bardziej odrealnionego niż postawa brukselskich elit? Tak – zachowanie elit polskich, zarówno tych z PO, jak i z PiS, które z kolei wszystkie szanse polskiego rozwoju widzą wciąż wyłącznie w ścisłym związku z Unią Europejską, ignorując wszelkie oczywiste dowody jej rozkładu

„UE ma zostać globalną przemysłową potęgą. Jest nowa strategia klimatyczno-energetyczna" – poinformowały w połowie miesiąca polskie media, przeważnie przepisując depeszę PAP, która powtarzała z kolei słowo w słowo oficjalny unijny komunikat: „Odnawialne źródła energii pozostaną fundamentem unijnej transformacji. UE musi zwiększyć moce produkcyjne w sektorze czystych technologii – poinformowała KE w zaprezentowanej nowej strategii klimatyczno-energetycznej, której celem jest wzmocnienie pozycji Europy na globalnych rynkach".

Nasze media, obchodzące akurat – wbrew elementarnej arytmetyce – drugą rocznicę wyborów parlamentarnych jako półmetek rządów Donalda Tuska, rozpoczętych 13 grudnia 2023 r., i jak zwykle zajęte głównie relacjonowaniem międzypartyjnych połajanek, nie nadały tej informacji szczególnej rangi. Cóż, kolejnych nowych strategii, mających w zapowiedzi „wzmocnić pozycję Europy" i przywrócić jej „należne miejsce" trzeciego, równorzędnego Ameryce i krajom azjatyckim bieguna w światowej gospodarce, było już od czasów osławionej strategii lizbońskiej kilkanaście, a ostatnio pojawiają się one dosłownie co kilka miesięcy – dopiero co mieliśmy Europejski Czysty Ład Przemysłowy, a wcześniej Europejski Kompas dla Konkurencyjności. W dodatku wszystkie te „nowe" strategie, „mapy drogowe" i „kompasy" sprowadzają się wciąż do tego samego: do zapowiedzi jeszcze bardziej agresywnego inwestowania w „zielone technologie" i zaostrzania „celów klimatycznych", co wymusić ma szybsze tempo „transformacji energetycznej". A efekty wszystkich tych unijnych wysiłków, razem wziętych i każdego z osobna, są takie, że gdy w chwili ogłaszania strategii lizbońskiej, która miała „uczynić UE najbardziej konkurencyjną i dynamiczną gospodarką opartą na wiedzy", PKB Unii wynosił 90 proc. produktu krajowego USA, to obecnie, pomimo rozszerzenia, kraje Unii wytwarzają razem niewiele ponad połowę amerykańskiego PKB, choć sama Ameryka nie rozwijała się bynajmniej w tym czasie rewelacyjnie.

Także w najnowszej „strategii klimatyczno-energetycznej", na razie niemającej konkretnej nazwy (podczas prezentacji określona została jako „zewnętrzny wymiar unijnego Czystego Ładu Przemysłowego"), powtarza się to samo co dotąd, tylko bardziej. Podstawą „wzmocnienia pozycji Europy na globalnych rynkach" ma być eksport tzw. zielonych technologii. Przyniesie to sukces, ponieważ UE będzie oferować owe technologie światu po przystępnych cenach, a będzie, bo, po pierwsze, dzięki narzuceniu sobie wyśrubowanych norm klimatycznych wytworzy je szybciej niż inni, a po drugie, wyprodukuje wszystko tanio, dysponując „tanią zieloną energią" ze „źródeł odnawialnych". Już tylko gwoli informacji dodajmy, że „zwiększenie mocy produkcyjnych w czystych technologiach" wesprze „wiele działań mających nadać impuls polityczny globalnej transformacji energetycznej", w tym zwłaszcza „wsparcie dla krajów partnerskich w rozwijaniu systemów handlu emisjami", a wewnątrz UE „działania zwiększające świadomość konsumentów", a synergię tych czynników uzupełni „postawienie na szacunek dla pracy i żywności, wyrażany we wspieraniu obszarów wiejskich", poprzez zapewnienie „godziwych dochodów i silniejszego łańcucha żywnościowego" i inne „praktyki zrównoważone". Jest i nowość, świadcząca, że do twórców dokumentu docierają pewne znaki czasu: osobny punkt strategii mówi o „wzmocnieniu wysiłków na rzecz europejskiej obronności", na razie jednak wysiłki te nie zostały skonkretyzowane – poza oczywiście zastrzeżeniem, że eurozbrojenia będą „niskoemisyjne".

JAK W ZWIĄZKU SOWIECKIM

W którymkolwiek miejscu zaczniemy się z unijną strategią zapoznawać, tak czy owak odesłani zostaniemy do podstawowej, streszczonej wyżej opowieści o „walce o klimat" jako drodze do gospodarczego sukcesu. Tej samej opowieści, którą, wśród wielu innych przywódców, snuł po objęciu władzy w wywiadach dla niemieckiej prasy Olaf Scholz, obiecując swym rodakom, że postawienie na „zielone technologie" pozwoli Niemcom wrócić na ścieżkę dwucyfrowego wzrostu gospodarczego, jak za czasów Konrada Adenauera. Ktoś może powie, że te zapowiedzi się nie sprawdziły? Prominenci UE nie zgadzają się z tym. Raz jeszcze sięgnijmy po sprawozdanie z uroczystej prezentacji strategii: „Unia Europejska udowodniła, że działania na rzecz klimatu mogą iść w parze ze wzrostem gospodarczym – ocenił komisarz UE do spraw klimatu, neutralności klimatycznej i czystego wzrostu Wopke Hoekstra". A występujący

eprasa.pl e52cb26f6a

FOT. ALEXIS HAULOT/EP/EU

po nim komisarz do spraw energii Dan Jørgensen sypnął szczegółami: „Połączymy dyplomację z technicznym wsparciem energetycznym, instrumentami handlowymi, polityką przemysłową i finansowaniem. Będziemy działać bardziej celowo, koncentrując się na wspólnych korzyściach gospodarczych, dekarbonizacji i bezpieczeństwie energetycznym. Wykorzystamy nasze relacje handlowe, by dostarczać więcej czystych technologii i realizować więcej projektów energetycznych – w Europie, w krajach sąsiednich i na całym świecie".

Mojemu pokoleniu nasuwa to nieodparte skojarzenie ze Związkiem Sowieckim, i to tym z czasów Jurija Andropowa czy Konstantina Czernienki. Gwiazdy ówczesnego politbiura podobnie zaczynały wszystkie publiczne wystąpienia, od stwierdzenia, że przodująca gospodarka ZSRS ponad wszelką wątpliwość udowodniła wyższość socjalistycznej gospodarki planowej nad upadającym kapitalizmem, i podobnie obficie szpikowały je ideologicznymi zaklęciami, gdy wszystko dookoła sypało się już w gruzy i nieuchronny upadek systemu był oczywisty nawet dla co bystrzejszych aparatczyków.

Stany Zjednoczone uznały religię klimatyczną za „największą ściemę w dziejach ludzkości"

Tymczasem, mówiąc po prostu: „tania zielona energia", którą kolejne oficjalne strategie UE czynią podstawą wszystkiego, po prostu nie istnieje. Albo energia jest tania, albo, wedle kryteriów unijnych, „zielona" (przypomnijmy, że „zielona" nie jest wedle tych norm energetyka jądrowa, jest natomiast spalanie paliw syntetycznych, choć te chemicznie identyczne są z ropopochodnymi; różnica tylko w tym, że kilka razy droższe i że technologie do ich wytwarzania na skalę przemysłową mają jedynie Niemcy). Energia według UE „zielona" nie tylko nie jest tania – jest najdroższą, jaka istnieje. Dowodem Wielka Brytania, która w ratowaniu klimatu postanowiła wyprzedzić i wyprzedziła UE, jako pierwsza osiągając ponad 50 proc. mocy ze źródeł „odnawialnych" – głównie turbin wiatrowych, ustawionych, co warto dodać, na Morzu Północnym i w miejscu po wyciętych w tym celu lasach Szkocji, gdzie, w przeciwieństwie do Polski, wiatr naprawdę wieje, i to niemal przez cały rok. Skutkiem tej „zielonej transformacji" jest najdroższa energia na świecie, zarzynająca tamtejszą gospodarkę. Drugą najdroższą energię na świecie mają drugie w procesie „transformacji energetycznej" Niemcy, które przed recesją ratują tylko węgiel brunatny i import energii z francuskich siłowni jądrowych. Komisarz Hoekstra, upierając się, że UE udowodniła, iż klimatyczne ideolo idzie w parze ze wzrostem gospodarczym, po prostu bredzi, jak bredził swego czasu o udowodnionej wyższości socjalizmu towarzysz Michaił Susłow.

CHODZI O BUDOWĘ PAŃSTWA EUROPEJSKIEGO

Nie ma także na świecie – i już wiadomo, że nigdy nie będzie – popytu na te „zielone technologie", których opanowanie chce na sobie wymusić „zrównoważoną polityką klimatyczną" UE. Stany Zjednoczone uznały religię klimatyczną za „największą ściemę w dziejach ludzkości", co otwarcie powiedział prezydent USA w siedzibie ONZ, i zarówno rząd, jak i amerykańskie koncerny kasują kolejne „zielone" programy i inwestycje. Chiny i Indie zamiary o inwestowaniu w „zielone technologie", które rodzi z myślą o nich Europa, zarzuciły jeszcze wcześniej. Zresztą jeśli nawet któraś z owych technologii ma szanse sukcesu – jak baterie sodowo-jonowe – to UE już ją straciła na rzecz sprawniejszych gospodarek.

Zresztą gdyby nawet jakiś światowy pies z kulawą nogą chciał europejskie zielone technologie kupić, skuszony taniością osiągniętą dzięki „taniej zielonej energii", to ich produkcja opiera się przecież na metalach ziem rzadkich, których 90 proc. zasobów kontrolują Chiny – a te właśnie zapowiedziały, że będą je bardzo ściśle reglamentować i śrubować ceny.

Słowem, równie dobrze mogliby całą unijną strategię wzrostu oprzeć unijni komisarze na mocy Magicznego Pierścienia, który dzięki „podjęciu energicznych i zrównoważonych działań" i „podniesieniu poziomu świadomości konsumenckiej" zostanie wykuty w kuźniach brukselskiego Mordoru. A przecież zapowiadany gospodarczy sukces jest tylko wstępem, podstawą do ukończenia szerszego procesu politycznego – budowy Państwa Europejskiego, jednolitego, scentralizowanego, koordynującego wszystkie rozproszone dotąd wysiłki. W cytowanym już na tych łamach wywiadzie europejskiego komisarza do spraw sprawiedliwości, demokracji i praworządności Michaela McGratha dla polskiej edycji portalu Deutsche Welle zapowiada on wszak otwarcie, że mechanizm Wieloletnich Ram Finansowych i skupienie w KE każdorazowej zgody na przekazanie członkom części z zaplanowanych 800 mld euro funduszy służyć ma wymuszeniu reform nie tylko w jego działce, „praworządności", lecz także reform ustrojowych, niezbędnych dla „przezwyciężenia egoizmów" państw członkowskich.

Czy może być coś bardziej odrealnionego niż postawa brukselskich elit? Tak – zachowanie elit polskich, zarówno tych z PO, jak i z PiS, które z kolei wszystkie szanse polskiego rozwoju widzą wciąż wyłącznie w ścisłym związku z UE, ignorując wszystkie oczywiste dowody jej rozkładu – nawet gdy przybierają one formę oficjalnych, ogłaszanych z pompą dokumentów programowych Unii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e52cb26f6a

Z Janem Krzysztofem Ardanowskim, posłem koła Wolni Republikanie, byłym ministrem rolnictwa
rozmawia Ryszard Gromadzki

Nie ma niepodległości bez własnej żywności

FOT. KAROL PORWICH/EAST NEWS

RYSZARD GROMADZKI: Sejm uchwalił ustawę o wygaszeniu branży hodowców zwierząt futerkowych w Polsce. Już kilka lat temu mówił pan, że tego rodzaju ustawa może być pierwszym krokiem do zniszczenia hodowli zwierząt gospodarskich w Polsce. Podtrzymuje pan tę opinię?

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI: To zła tendencja, bo pokazuje, że administracyjnie, wprowadzając odpowiednie przepisy prawne, możemy zabronić ludziom hodowli jakiegoś gatunku zwierząt. Tego rodzaju działania „opakowuje" się argumentami etycznymi w rodzaju tych, że zabijanie zwierząt na futra jest barbarzyństwem. Zapomina się przy okazji, że akurat norki zabijane są w sposób najbardziej humanitarny spośród wszystkich gatunków zwierząt hodowlanych. Dla mnie problemem nie jest już nawet sam zakaz hodowli norek, bo ci, którzy się tym zajmują – a jest ich dziś Polsce ok. 300, więc stosunkowo niewielu – są od lat poddawani takiej presji, niszczeniu dobrego imienia i wyzwiskom, że sami są już tak zmęczeni tą sytuacją, że pewnie większość z nich chciałaby się z tej hodowli wycofać. Ale jeżeli państwo podejmuje decyzję, z którą ja się nie zgadzam, choć mam świadomość, że większość parlamentarna nie zawsze kieruje się logiką, czasami górę biorą emocje albo działania różnych lobbystów i zakazuje działalności jakiejś branży gospodarczej, to musi to w 100 proc. zrekompensować.

Tak się nie stało. Hodowcy mogą liczyć na częściowe rekompensaty na początku, ale jeśli będą prowadzić działalność dłużej, to nie dostaną nic. Czy to nie złodziejstwo w majestacie prawa ze strony państwa polskiego?

To jeden z głównych powodów, dla których protestuję przeciw tej ustawie. Jeżeli komuś likwiduje się jego działalność gospodarczą, oferując mu, i to jeśli szybko zrezygnuje, zaledwie 25 proc. wartości jego przedsięwzięcia, to jest to nie do przyjęcia.

Czysta bolszewia...

Tak, to jest bolszewia. Państwo decyduje o prywatnej własności obywateli. To tak, jakby w sytuacji przymusowego wykupu pod cele publiczne, takie jak autostrady czy CPK, powiedzieć chłopu: „Proszę pana, pana działka jest warta 100 tys., ale my zapłacimy 25 tys. i co nam pan zrobi?". To jest dokładnie zasada, jaką zastosowano wobec hodowców zwierząt futerkowych. Protestuję przeciw tej ustawie z dwóch powodów. Po pierwsze, ta ustawa stanowi bezczelną ingerencję państwa w prawo dysponowania własnym majątkiem przez obywateli. Wszystko, co nie jest zabronione, jest dozwolone. Drugi powód, który budzi mój sprzeciw, to motywy pomysłodawców ustawy, którzy w uzasadnieniu do niej napisali wprost, że ustawa rozpoczyna proces zmian gospodarczych w polskim rolnictwie. Zmiany rozpoczyna się od zakazu hodowli zwierząt futerkowych, bo w tej sprawie można łatwiej manipulować opinią publiczną, tłumacząc, że tego nie jemy, a futra to fanaberia. Następne kroki można przewidzieć, obserwując tendencje, które mają miejsce w Europie. Kolejny może być zakaz hodowli drobiu, później być może uboju cieląt.

eprasa.pl e52cb26f6a

Pomimo ewidentnie lewicowej proweniencji ustawy o zakazie hodowli zwierząt futerkowych głosowało za nią 100 parlamentarzystów PiS. Właściwie po doświadczeniach z „piątką dla zwierząt" czy ostatnio z tzw. ustawą łańcuchową nie powinno to dziwić, że PiS idzie w tych sprawach ręka w rękę z Lewicą i Platformą Obywatelską. Czy to przejaw całkowitego oderwania od realiów polskiego rolnictwa, a może, szerzej, polskiej wsi ze strony prezesa Kaczyńskiego?

Czułem się w obowiązku przed tym głosowaniem zwrócić się drogą e-mailową do posłów Prawa i Sprawiedliwości, do których, mimo odejścia z PiS, nie straciłem sympatii, i przedstawić im wszystkie argumenty, które w moim przekonaniu nie pozwalają głosować za takimi rozwiązaniami. Trzeba powiedzieć, że znaczna ich część wzięła to pod uwagę. 55 posłów PiS było przeciw tej ustawie, 18 trochę asekurancko wstrzymało się od głosu, kilku nie głosowało. Ale większość posłuchała lidera partii i jego otoczenia, które żyje w absurdalnym świecie lewackich wyobrażeń. Podejście Jarosława Kaczyńskiego do zwierząt, powtórzę to po raz kolejny, jest absolutnie infantylne, co nie przystoi człowiekowi, który chce uważać się za męża stanu. To, co się wydarzyło w związku z tą ustawą, jest kopaniem coraz głębszych rowów pomiędzy PiS a elektoratem wiejskim. Nie wyciągnięto żadnych wniosków z analogicznego głosowania nad tzw. piątką dla zwierząt, PiS dalej w to brnie. Wykładnia prezesa Kaczyńskiego, według której ci, którzy głosują za ustawami na rzecz zwierząt, to ludzie dobrzy, a ci, którzy przeciw nim, to ludzie źli, jest całkowitym nieporozumieniem. Kiedyś powiedziałem w oczy Kaczyńskiemu, żeby nie stawiał się w roli Pana Boga, bo o tym, kto jest dobry, a kto zły, zdecyduje kiedyś Najwyższy, a nie pan prezes.

Do szefostwa PiS nie przemawiają argumenty gospodarcze? Sektor hodowców zwierząt futerkowych wciąż daje pracę kilkunastu tysiącom ludzi i przynosi zyski branżom, które z nim kooperują.

Konsekwencje tej ustawy będą bardzo poważne dla utylizacji odpadów powstających przy produkcji drobiu i ryb, które w całości były zużywane jako pasza dla norek. Teraz staje się ona uciążliwym odpadem, który musi być utylizowany w odpowiednich piecach w zakładach utylizacyjnych, które zostały przejęte przez niemiecką firmę Saria. Tak się dziwnie złożyło, że kilka lat temu, kiedy już mówiło się w Polsce o zamknięciu branży hodowli zwierząt futerkowych, ten niemiecki koncern przejął praktycznie wszystkie zakłady w Polsce, które się tym dotychczas zajmowały. Zysk związany z utylizacją tego rodzaju odpadów szacowany jest na kwotę od miliarda do półtora miliarda złotych rocznie. Przełoży się to bezpośrednio na wzrost cen drobiu i ryb, bo ci, którzy zajmują się ich przetwórstwem, będą musieli płacić zakładom utylizacyjnym za coś, co dotychczas było paszą dla norek, za którą to im płacili hodowcy.

Polskim rolnikom coraz mocniej doskwiera polityka rolna kreowana w Brukseli. Czy skutkiem umowy Mercosur i niedawnej bardzo preferencyjnej dla Ukrainy umowy dotyczącej handlu artykułami rolno-spożywczymi, zawartej między nią a Unią Europejską, będzie utrata przez Polskę samowystarczalności żywnościowej i wynikającego z niej bezpieczeństwa żywnościowego?

Europa oszalała. Bo jak można wyżywienie prawie 500-milionowej populacji, powiększającej się z powodu napływu migrantów, uzależnić od żywności zewnętrznej, pochodzącej z krajów Ameryki Południowej czy z Ukrainy, a za chwilę pewnie i z Rosji – bo firmy zachodnie, głównie niemieckie chcą z Rosją handlować żywnością? Każdego dnia miliony ton żywności trafiają do konsumentów w całej Europie. Jak można ten proces uzależnić od chimerycznych dostaw zewnętrznych? Pandemia czy tocząca się na Ukrainie wojna pokazały, jak łatwo jest zerwać łańcuchy dostaw. Co będziemy wtedy jeść? Karty magnetyczne? Tylko własne rolnictwo, dobre, nowoczesne, produktywne może zapewnić bezpieczeństwo żywnościowe.

> **Podejście Jarosława Kaczyńskiego do zwierząt jest absolutnie infantylne, co nie przystoi człowiekowi, który chce uważać się za męża stanu**

Unia Europejska je niszczy. Na pierwszy rzut oka to głupota, chyba że jest drugie dno tego przedsięwzięcia, polegające na tym, że żywność, która do tej pory była traktowana jako coś pewnego, wytwarzanego lokalnie tam, gdzie warunki na to pozwalają, stała się elementem gry strategicznej. Jeżeli wyeliminujemy produkcję żywności lokalnej, tak jak dzieje się w wielu krajach w Europie, poprzez różne naciski polityczne, agendę klimatyczną, to tworzy się miejsce dla żywności zewnętrznej, nad którą pełną kontrolę sprawowały będą globalne koncerny. One dążą do tego, żeby produkcję rolną skoncentrować w wybranych miejscach na świecie. Gdzie panują sprzyjające warunki przyrodnicze i klimatyczne. Oczywiście tę żywność będą dystrybuować właśnie te koncerny. Taki model da korporacjom, które zdominują rynek żywności, niewyobrażalną władzę. Społeczeństwa będą musiały godzić się na każde warunki, jeżeli nie będą miały dostępu do własnej żywności.

Oporni będą mogli być „wzięci głodem"?

Tak właśnie będzie. Obalmy od razu mit, że skutkiem nowego globalnego systemu produkcji rolno-spożywczej będzie tańsza żywność. Tańsza żywność będzie tylko dopóty, dopóki będzie miała konkurencję ze strony żywności lokalnej. Jeżeli nie masz żywności własnej, to nie jesteś w stanie sam się wyżywić, musisz przyjąć wszystkie warunki tego, który będzie ci sprzedawał żywność. Z wysokimi cenami i politycznym uzależnieniem. Ten dramat przeżywa dziś wiele brutalnie eksploatowanych krajów Afryki. Europa poprzez działania skorumpowanych polityków zmierza w tym kierunku. Kluczową rolę w tym procesie odgrywają Niemcy. Jak mówią złośliwi, umowa Unii Europejskiej z krajami Mercosur, to układ „żywność za samochody". Oczywiście to skrót myślowy, bo chodzi o szeroką gamę produktów niemieckiego przemysłu, które miałyby trafiać do Ameryki Południowej w zamian za żywność tam wytwarzaną, niepodlegającą żadnej weryfikacji. Niemcy nie ukrywają, że zamierzają stać się centralnym ogniwem systemu dystrybucji żywności z Ameryki Południowej na całą Europę. To, co nie udało się z rosyjskim gazem, ma teraz udać się z żywnością z krajów Mercosur.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e52cb26f6a

Ani kroku w stronę homorewolucji!

Konferencja prasowa Nowej Lewicy i Polskiego Stronnictwa Ludowego dotycząca „związków partnerskich" FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Krystian Kratiuk

Projekt ustawy o „statusie osoby najbliższej" ma za zadanie przekonać Polaków do zrobienia pierwszego kroku ku triumfowi homorewolucji, który stanowić będzie pełne zrównanie małżeństw ze związkami jednopłciowymi

Katarzyna Kotula na konferencji zapowiadającej wprowadzenie nowych udogodnień dla związków jednopłciowych się wygadała. Otóż przyznała, że nowy projekt rządowy stanowi zaledwie „pierwszy krok".

Ale minister chyba się pospieszyła. Bo przecież nie każda narracja środowisk promujących nowe rozwiązanie prawne dotyczące „związków partnerskich", ukrytych dziś pod przykrywką „statusu osoby najbliższej", mówi o tym tak otwarcie jak ona. Wciąż pada bowiem wiele mydlących oczu argumentów – mających zmiękczyć prawicę oraz osoby niezdecydowane i przekonać do poparcia coraz to nowych idei.

SENTYMENTALNE ZWODZENIE

„Chcą tylko odwiedzać się w szpitalu" – to najczęstszy argument. Ileż to razy słyszeli państwo bowiem, że „osoby LGBT" chcą tylko się kochać, odwiedzać się w szpitalu, dziedziczyć po sobie, móc się wzajemnie pogrzebać, zaciągnąć wspólnie kredyt itp.?! Wzruszeniem ramion jednak zbywane są kontrargumenty, przypominające, że osoby żyjące w konkubinacie, również jednopłciowym, mogą już dziś uzyskać dostęp do informacji o stanie zdrowia drugiej osoby oraz wgląd do jej dokumentacji medycznej (któż z nas nie wypełniał ankiety o „osobie do kontaktu" podczas zapisywania się do lekarza?). Konkubenci mogą również już teraz przejąć umowę najmu po zmarłym partnerze. Zupełnie nic nie stoi na przeszkodzie, aby sporządzili testament i powołali się wzajemnie do dziedziczenia, odbierali za siebie wynagrodzenie czy przesyłki pocztowe, prowadzili wspólne konto bankowe albo zaciągali kredyty jako współkredytobiorcy. Setki, jeśli nie tysiące konkubentów od dawna to robią. Mają też prawo odmówić składania zeznań przeciwko partnerowi, podobnie jak małżonkowie, a dzięki pełnomocnictwom mogą reprezentować się wzajemnie w bankach, ZUS, NFZ czy urzędach skarbowych. W razie śmierci jednej z osób partner może otrzymać zasiłek pogrzebowy, wystarczy wcześniej opisać tę wolę w odpowiednich dokumentach.

Piękne słówka mówiące o tym, że „oni chcą tylko się kochać i móc spokojnie żyć", nie są niczym ponad sentymentalne zwodzenie, mające na celu przesłonić prawdziwe cele środowisk homoseksualnych.

Za każdym razem, gdy ktoś przeciwny legalizacji homozwiązków wypowiada się przeciwko uprzywilejowaniu ich, naraz podnosi się klangor, w którym słychać, że oni „nie chcą wcale żadnych przywilejów, tylko równych praw".

Ale w istocie żądają właśnie przywilejów. Bo postulując przyznanie im statusu podobnego małżeństwu, przyznają, że małżonkowie cieszą się przywilejami. Tak! W czasach, gdy sprawy rodzin spychane są na margines debaty publicznej, wielu z nas o tym zapomniało, ale powtórzmy to raz jeszcze – małżeństwa celowo, umyślnie, cieszą się prawnym uprzywilejowaniem. Tego dokładnie chcieli budowniczowie III RP i każdego innego normalnego państwa na świecie, gdy tworzyli prawa pozwalające małżeństwom np. na wspólne rozliczanie, ulgi od dzieci, prawo do renty czy objęcie ubezpieczeniem zdrowotnym małżonka.

Konstytucja RP nie dlatego kilkukrotnie podkreśla i nakazuje ochronę rodziny i małżeństwa, że tak się komuś napisało, ale dlatego, że małżeństwa stanowią o przyszłości państwa i narodu. To trwały związek kobiety i mężczyzny, ukierunkowany na przekazywanie życia, stanowiący naturalne środowisko wychowania dzieci oraz przekazywania wartości kulturowych. Państwo chcące działać w sposób odpowiedzialny i prze-

eprasa.pl e52cb26f6a

widywalny musi wspierać tę instytucję, gdyż od jej trwałości zależy stabilność całej wspólnoty narodowej.

Gdy konserwatyści mówią o konieczności obrony rodziny przed ruchami LGBT, często są wyśmiewani. Używa się wobec nich prześmiewczych pytań typu: „W jaki sposób jakaś jednopłciowa zakochana para miałaby zagrażać twojej rodzinie?". Słyszeli to państwo wielokrotnie, nieprawdaż?

Otóż odpowiedź na to pytanie jest bardzo prosta – pozbawianie małżeństwa wyjątkowego statutu sprawi, że tych małżeństw będzie po prostu coraz mniej. A bez nich nie da się utrzymać ciągłości narodowej. Polska, podobnie jak wiele innych krajów, zmaga się z kryzysem demograficznym, a dane jasno pokazują, że ok. 70 proc. dzieci rodzi się w rodzinach małżeńskich. Pozostałe 30 proc. przychodzi na świat w związkach nieformalnych, ale są to relacje kobiety i mężczyzny, które – jeśli tylko para tego zechce – mogą zostać sformalizowane poprzez ślub. W przypadku związków jednopłciowych możliwość naturalnego przekazywania życia nie występuje, dlatego ich rola w tym kontekście jest odmienna.

Skoro więc rząd chce ustanowienia nowej instytucji, która zyskuje wiele spośród uprawnień małżeństwa, to zwyczajnie osłabia polskie rodziny. To bardzo proste.

Jeszcze jednym, nadzwyczaj irytującym sposobem LGBT-owskiej argumentacji jest zarzucanie przeciwnikom związków partnerskich „obsesji". Gdy zgłaszamy sprzeciw, słyszymy: „Zostawcie ich w spokoju", „Jesteście zafiksowani na jednym temacie", „Co was obchodzi, co tych dwoje robi w łóżku?". Otóż o to właśnie chodzi, że nas nic to nie obchodzi. Nic a nic. Mamy to w głębokim poważaniu. Ale musimy się bronić przed tym importowanym z Zachodu stylem życia.

To przypomina sytuację, w której ktoś przybywa do kraju indiańskiego, kultury tak dziś chronionej i poważanej, i mówi tubylcom: „Ale macie tu głupie zwyczaje! Ale zacofanie! U nas jest lepiej, inaczej. Wyluzujcie trochę! Coście tacy sztywni? Róbcie to inaczej!". Gdy jakiś miejscowy obruszy się i powie, że u nas tak nie będzie, to on obrywa obuchem „fiksacji" i to jemu nakazuje się ustąpić, porzucić swoje zwyczaje i nie narzucać się przybyszom.

Taką właśnie metodę stosuje gejowskie lobby – od dwóch dekad non stop i coraz skuteczniej promuje homoseksualizm w polskich filmach, reklamach, książkach, serialach, polityce, programach publicystycznych, telewizjach śniadaniowych, na festiwalach, koncertach itp., a gdy ktoś odezwie się na ten temat krytycznie, słyszy, że to on jest zafiksowany na tym temacie! Łapaj złodzieja!

KROK NAD PRZEPAŚCIĄ

Wszystkie te argumenty – a także projekt ustawy o „statusie osoby najbliższej" – od wielu lat mają za zadanie przekonać Polaków do zrobienia owego zapowiadanego przez minister Kotulę pierwszego kroku. Ku czemu? Ku triumfowi homorewolucji, który stanowić będzie pełne zrównanie małżeństw ze związkami jednopłciowymi.

W większości państw, które obecnie uznają małżeństwa osób tej samej płci, droga do tego rozwiązania również przebiegała etapami. Zazwyczaj pierwszym krokiem były właśnie regulacje dotyczące tzw. związków partnerskich. W wielu przypadkach do następnego kroku nie potrzeba było nawet 10 lat (rok temu „homomałżeństwa" zalegalizowali Grecy i Estończycy). Projekt przygotowany przez rząd Donalda Tuska stanowi element dokładnie tego samego procesu.

Mechanizm ten został wielokrotnie opisany przez badaczy życia społecznego i politycznego: wprowadzanie zmian etapami pozwala na stopniowe oswajanie opinii publicznej, łagodzenie oporu społecznego i budowanie poparcia dla dalszych reform. W konsekwencji w wielu krajach przejście od związków partnerskich do małżeństw jednopłciowych przedstawiano już nie jako rewolucję, lecz jako naturalny krok naprzód.

Dlatego też każde działanie prawne, które choćby częściowo zrównuje nieformalny związek osób dowolnej płci z przywilejami małżeństwa, musi zostać odrzucone.

Środowiska LGBT od lat twierdzą, że są ich w Polsce miliony, co jest oczywiście wierutną bzdurą. Ale już wkrótce nie musi nią być. Otóż statystyki mówią jasno – od czasu wprowadzenia na Zachodzie małżeństw homoseksualnych nie tylko radykalnie wzrosło poparcie dla pseudomałżeństw, lecz także zwiększyła się liczba… homoseksualistów! Młodzi ludzie w nowej kulturze, również kształtowanej przez prawo, chętnie przyjmują nowy styl życia, bez zobowiązań, które nakłada małżeństwo.

Ale statystyki mówią jeszcze jedno – oto przykładowo w Niemczech po wprowadzeniu związków partnerskich, w latach 2001–2008, zawarto ich ok. 15 tys. przy dorosłej populacji rzędu 66 mln, co daje ok. 0,23 promila dorosłej populacji. W Hiszpanii, w latach 2006–2009, ich liczba wynosiła 4606 – przy dorosłej populacji 35 mln daje to zaledwie 0,13 promila. Więc jak widać, „zainteresowanym" te związki nie są potrzebne do tego, by je zawierać, ale by poprzez prawo kształtować obyczaje. I to się udaje.

NIE ULEC POKUSIE

Czy uda się także w Polsce? Wśród części prawicy może pojawić się pewna pokusa – komuś może się bowiem wydawać, że przyjęcie takiego prawa teraz, gdy rządzi lewica, zamknie (tak niewygodny przed każdymi wyborami dla konserwatystów) temat homozwiązków na długie lata. Że lewica sama sobie wytrąci argumenty z ręki.

Jednak nic z tych rzeczy – po pierwsze, takie dywagacje byłyby po prostu moralnie obrzydliwe.

Po drugie zaś, w ŻADNYM kraju, w którym zalegalizowano „związki partnerskie", presja środowisk LGBT i homopropaganda nie ustały. Wszędzie żądają dalszych przywilejów, pełnego zrównania z małżeństwami, a nawet większego uprzywilejowania związków jednopłciowych. Jak to? Otóż czy słyszeli państwo o kimkolwiek, kto poszedł siedzieć za skrytykowanie na Facebooku instytucji małżeństwa? Nie. A o karach, w tym więzieniu, za krytykowanie gejów? Jak najbardziej.

Między innymi z tego powodu polska prawica, z prezydentem na czele, nie może pójść drogą niemieckiej chadecji czy brytyjskich konserwatystów, którzy przyczynili się do bolesnego upadku nie tylko własnych partii, lecz także własnych państw. Na szczęście zarówno prezydent Nawrocki, jak i prezes PiS wykluczyli taki scenariusz. Będziemy ich trzymać za słowo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl e52cb26f6a

Eric Lu, zdobywca I nagrody w XIX Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina

FOT. KRZYSZTOF SZLĘZAK/NIFC

Triumf perfekcjonizmu

Radosław Wojtas

Eric Lu, zdobywca I nagrody w XIX Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina, nie był faworytem ekspertów i publiczności, a jednak zdaniem jurorów zaprezentował się najlepiej ze wszystkich uczestników. – Moje marzenie się spełniło i jestem głęboko wzruszony – powiedział amerykański pianista, który już raz, przed 10 laty, startował w Konkursie Chopinowskim

Nigdy w blisko 100-letniej historii Konkursu Chopinowskiego nie zdarzyło się tak, by najwyższy laur przypadł pianiście, który już wcześniej był w konkursie nagradzany, a tak właśnie jest w przypadku Erica Lu. Jurorzy ogłosili werdykt po czterech godzinach rozmów. – Długo obradowaliśmy, bo nasza dyskusja na tematy artystyczne była niezwykle ożywiona, ale udało nam się pokonać wszystkie przeszkody, które stały na drodze do osiągnięcia rezultatu końcowego. Wydaje mi się, że mamy wspaniały wynik konkursu – powiedział Garrick Ohlsson, przewodniczący jury, znakomity pianista, pierwszy Amerykanin, który zwyciężył w Konkursie Chopinowskim. Ohlsson sięgał po najwyższy laur w 1970 r., a 55 lat później, gdy kierował pracami jury, wyczyn ten powtórzył jego rodak.

KONSEKWENCJA I RYZYKO

Eric Lu to pianista dobrze w Polsce znany. Nie tylko za sprawą swojego pierwszego występu w Konkursie Chopinowskim w 2015 r., lecz także z licznych późniejszych występów w Polsce, m.in. na organizowanym przez Narodowy Instytut Fryderyka Chopina Festiwalu Muzycznym „Chopin i jego Europa". Podczas tegorocznej edycji Konkursu Chopinowskiego mówił wręcz, że w Warszawie czuje się jak w domu.

Urodził się 15 grudnia 1997 r. w Massachusetts, jego ojciec pochodzi z Kaohsiungu w południowo-zachodnim Tajwanie, matka – z Szanghaju we wschodnich Chinach. Naukę gry na fortepianie zaczął pobierać w wieku sześciu lat. Poszedł w ślady starszej siostry, która pierwsza uczyła się gry na tym instrumencie. Szybko nabrał przekonania, że z koncertowania na całym świecie chciałby uczynić swój zawód. Pierwszy prawdziwy muzyczny zachwyt? „Koncert fortepianowy e-moll" Chopina w wykonaniu Krystiana Zimermana. I choć to nie Fryderyk Chopin jest jego ukochanym kompozytorem – ma, jak sam mówi, obsesję na punkcie muzyki Schuberta – to Polak, obok Mozarta, znajduje się w ścisłym gronie najważniejszych artystów w życiu Lu.

Pytany o nauczycieli, którzy mieli na niego największy wpływ, wymienia m.in. Dang Thai Sona, Jonathana Bissa i Roberta McDonalda. Ten pierwszy zasiadał w jury tegorocznej edycji Konkursu Chopinowskiego. Ten ostatni zapisał się szczególnie w pamięci Erica Lu. – Robert McDonald to jeden z najwspanialszych ludzi, jakich miałem okazję poznać, a przy tym niezwykle wybitny pedagog. Bez jego wsparcia i wskazówek nie znalazłbym się w tym miejscu, w którym jestem dzisiaj – mówił o swoim nauczycielu. Jednak Lu do dziś czuje wdzięczność do wszystkich swoich mistrzów. Kiedy przed czterema laty zmarła jego pierwsza nauczycielka gry na fortepianie, napisał: „Była niezwykle ważną postacią w moim życiu i zawsze będę jej wdzięczny. Jej prawdziwa troska i wsparcie towarzyszyły mi przez całe życie. Nigdy jej nie zapomnę".

Zwycięzca XIX edycji Konkursu Chopinowskiego ukończył jedną z najlepszych amerykańskich uczelni muzycznych – Curtis Institute w Filadelfii. Ma ogromne

eprasa.pl e52cb26f6a

doświadczenie sceniczne. Zdobywał je na całym świecie, współpracował z wieloma orkiestrami, m.in. z Minnesoty, orkiestrą Filharmonii Narodowej w Warszawie, Państwową Młodzieżową Orkiestrą Armenii, BBC Philharmonic, Orkiestrą Symfoniczną w Wellesley, Longwood, Civic Symphony z Bostonu.

Kiedy w 2015 r. pierwszy raz przyłożył palce do fortepianu podczas XVII Konkursu Chopinowskiego, nie miał jeszcze 18 lat. Nie musiał uczestniczyć w eliminacjach wstępnych, bo w tym samym roku zdobył I nagrodę Amerykańskiego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina w Miami. Z Warszawy wyjechał z IV nagrodą.

Od tej pory wracał do Polski. Ale ten najważniejszy powrót to kolejna próba sił w jednym z najważniejszych konkursów muzycznych świata. Doświadczenie pomogło znieść presję. – Wielkie wyzwanie i ogromny stres. Świadomość, że jestem tak obserwowany, nakłada na mnie ogromną presję. Musiałem zmierzyć się z tymi uczuciami i emocjami. Zagrać w tych wszystkich czterech etapach tak różny repertuar – powiedział tuż przed ogłoszeniem wyników w rozmowie z Narodowym Instytutem Fryderyka Chopina.

Mówił, że „Polonez-Fantazja", który wykonywali finaliści, był dla niego dużym wyzwaniem, mimo że to jego ulubiony utwór Fryderyka Chopina. W finale Lu zdecydował się zagrać „Koncert fortepianowy f-moll". To rzadki wybór, pianiści decydują się zwykle na „Koncert e-moll", który daje większe pole do brawurowego zaprezentowania swoich umiejętności. Amerykanin zaryzykował, wbrew statystyce wybrał kompozycję, która wcześniej przyniosła I nagrodę tylko raz. Ryzyko się opłaciło.

ZASKAKUJĄCY WERDYKT

Werdykt jury zaskoczył wielu obserwatorów Konkursu Chopinowskiego. W studiu TVP Kultura, w którym na żywo komentowano ogłoszenie wyników, padły mocne słowa. – Ciekawa była reakcja publiczności. Pierwszy raz nie było entuzjazmu, a przecież zazwyczaj laureata nagrody otacza tłum wielbicieli – zauważyła Joanna Ławrynowicz-Just, pianistka i prorektor Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina. – Jesteśmy bardzo zaskoczeni. Pierwszą nagrodę otrzymał pianista, wobec którego, szczerze mówiąc, nie mieliśmy szczególnych oczekiwań, znając jego interpretacje z poszczególnych etapów. Myślę, że wszyscy jesteśmy tym wynikiem dość zaskoczeni i jeszcze nie mieliśmy czasu, by to wszystko przetrawić.

Z tą opinią zgodził się Karol Radziwonowicz, pianista, który był w jury pierwszego eliminacyjnego etapu XV Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina. – Szczerze mówiąc, trochę zaniemówiliśmy w momencie, gdy ogłoszono werdykt. Eric Lu i jego koncert, mówiąc delikatnie, też pozostawiał wiele do życzenia [...]. Zastanawiam się, czy to rezultat czystej punktacji czy raczej efekt późniejszej dyskusji. Bo jeśli wszystko ma się rozstrzygać punktowo, to po co potem dyskutować? No, chyba że chodzi o to, by coś zmienić, ale wtedy, po co w ogóle punktacja? – powiedział. I dodawał: – Nie mówię, że to zły pianista, absolutnie nie. Ale jednak byli uczestnicy, których poziom czysto pianistyczny był po prostu wyższy. A skoro mówimy o konkursie, to przecież właśnie to powinno być brane pod uwagę.

Pianista i dyrygent Marek Drewnowski zwraca uwagę na to, że konkurs coraz bardziej oddala się od swojego patrona. – W jury są wybitni pianiści, ale żaden z nich nie jest uznawany jako poeta fortepianu. Fryderyk Chopin często przebywał w towarzystwie poetów, artystów, literatów, utożsamiał się z romantycznymi ideałami. Jego delikatność natury i choroba miały istotny wpływ na jego twórczość i występy publiczne. Chopin przede wszystkim był poetą nastroju, jego koncerty wprowadzały publiczność w trans, wspaniale improwizował, za każdym razem grał inaczej. Oczywiście żaden młody pianista nie może sobie na to pozwolić, twarde zasady konkursu i konkurencji zmuszają ich do gry asekuracyjnej i zgodnej z poprawnością muzyczno-profesorską. Przez to nie zauważyłem wielkich indywidualności. Jury było nastawione na precyzję wykonań, a nie na szukanie poetów, artystów i romantyków – co jest odstępstwem od romantycznej idei Chopina. Poza tym nowa punktacja zamieniła jurorów w księgowych – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy".

W jury są wybitni pianiści, ale żaden z nich nie jest znany jako poeta fortepianu. Jury nie szukało poetów, artystów, romantyków, tylko perfekcjonistów

MŁODZI GŁODNI

Te głosy zdziwienia mogą sprawiać wrażenie, że Eric Lu nie jest znakomitym pianistą. To nieprawda, do finału Konkursu Chopinowskiego tacy nie trafiają. Ale w tegorocznej edycji z dobrej strony zaprezentowało się kilkoro innych uczestników, którzy skupili na sobie uwagę publiczności. Na przykład dwie pianistki, które ostatecznie zajęły ex equo IV lokatę: Chinka Tianyao Lyu (najmłodsza uczestniczka tegorocznego konkursu, która 21 października obchodziła 17. urodziny) i najstarsza, licząca 30 lat Japonka Shiori Kuwahara. Najwięcej głosów w plebiscycie na nagrodę publiczności zdobył Piotr Alexewicz, 25-letni wrocławianin, przez jury Konkursu sklasyfikowany na V miejscu. Serca polskiej publiki skradł 27-letni Piotr Pawlak. Ten skromny i budzący sympatię pianista, organista i matematyk odpadł tuż przed finałem, czego żałowało wielu melomanów.

Do kogo powędrowały nagrody specjalne? Nagroda Filharmonii Narodowej za najlepsze wykonanie koncertu do młodziutkiej Tianyao Lyu. Nagrodę TIFC za najlepsze wykonanie poloneza dostał Tianyou Li (Chiny). Nagrodę Polskiego Radia za najlepsze wykonanie mazurków odebrał Yehuda Prokopowicz (Polska). Kolejny Polak, Adam Kałduński, zdobył nagrodę im. Belli Dawidowicz za najlepsze wykonanie ballady. Z kolei nagrodę Krystiana Zimermana za najlepsze wykonanie sonaty przyznano Ziton Wang (Chiny). Brak nagrody specjalnej dla laureata całego konkursu, co jest rzadkością, także otwiera pole do dyskusji nad werdyktem jurorów.

W historii Konkursu Chopinowskiego wielokrotnie zdarzało się, że po najwyższy laur sięgali pianiści mniej znani lub prawie w ogóle nieznani. Zwycięstwo w tym prestiżowym konkursie otwierało drzwi do najważniejszych sal koncertowych na świecie, zapełniało kalendarz na najbliższe lata i zapewniało lukratywne kontrakty. W tym roku za najlepszego pianistę uznano wspaniałego artystę z bogatym dorobkiem, który to wszystko zdążył już zdobyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e52cb26f6a

Projekt ukraińskiego teamu Open Group reprezentował Polskę na Biennale w Wenecji w 2024 r.

FOT. JACOPO SALVII/ARCHIWUM ZACHĘTY

Przekupiona sztuka

Monika Małkowska

Stopniowe pochylanie się twórców nad problemami suflowanymi przez neoliberałów zaczęło się mniej więcej ćwierć wieku temu, po upadku komunizmu. Indywidualizm splótł się z lewacką doktryną, a twórczość zrównała się z elegancko podaną agitką. Artyści zostali spacyfikowani i zniewoleni jednym sprytnym zabiegiem: przekonaniem ich, że są elitą. Och, jak to miło łechce ego!

Kim jest współczesny artysta? Niezależnie od uprawianej dziedziny, umiejętności, skali talentu czy społecznego postrzegania każdy uważa się za członka elity. Nawet więcej – niektórzy obsadzili się w rolach intelektualnych autorytetów, a za swe posłannictwo uznali pouczanie widowni w kwestiach aksjologicznych. Tylko… brak w tym spójności: z jednej strony pochwała sekularyzacji i apostazji, z drugiej – powoływanie się na chrześcijańskie wartości: miłość bliźniego i tolerancję. A w tle brutalne banowanie wszystkiego, co trąci „otwartą konserwą".

Wśród apologetów neoliberalnej ideologii próżno szukać Demostenesów, zamiast filipik mamy agitacyjną nowomowę. Widzowie nie bardzo nadążają za narracjami serwowanymi w instytucjach kultury, lecz potulnie zgłaszają się na kuratorskie/autorskie oprowadzania w nadziei, że coś skumają. Jednak ten teatrzyk służy ich urabianiu, zniewalaniu świadomości. A do szefów „nowoczesnych" placówek napływają benefity, a nade wszystko – do artystów. Bo oni już nie ryzykują twórczością wedle swojej wizji. Tak zwana polska wolność (po roku 1989) wygenerowała w sztuce fałsz i korupcję. Twórcy sami nie wiedzą, jak i kiedy zamienili się w ideologicznych agentów. Nie wierzycie? To sprawdźcie, komu i za co przyznawane są dotacje, stypendia, granty z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Narodowego Centrum Kultury, budżetu obywatelskiego i mnóstwa firm, gdzie prorządowe siły dają zarobić przy rozmaitych imprezach. Sprawdźcie, proszę, komu udostępniane są publiczne przestrzenie ekspozycyjne;

eprasa.pl e52cb26f6a

kto reprezentuje Polskę na międzynarodowych forach; kogo Instytut Adama Mickiewicza wysyła w świat jako narodowych reprezentantów.

Ta miękka agentura jest tym groźniejsza, że niedostrzegalna. Jednak to ona pracuje na rzecz przestrojenia naszej jaźni. Jasne, pokolenie pamiętające komunę pamięta jeszcze dawne sposoby kaptowania tajnych współpracowników bezpieki. Lecz ich dzieci i wnuki są z innej, niewinnej gliny. I to one są najbardziej narażone na demagogię „współczesnej sztuki". Której nie ma, bo zastąpiły ją produkty na zamówienie.

NIEWINNA AGENTURA

Ponad dekadę temu, po opublikowaniu (w „Plusie Minusie" – magazynie „Rzeczpospolitej") artykułu „Mafia bardzo kulturalna" doświadczyłam środowiskowego (a nawet szerszego) ostracyzmu. Tym razem jest bezpiecznie. Ci, którzy są bohaterami niniejszego tekstu, w ogóle nie wezmą do siebie moich słów. Ich prawdą stało się samookłamywanie. Przepraszam tu wszystkich, którzy nie dali się kupić – bo przecież wciąż tacy istnieją, choć media pomijają ich szerokim łukiem. Odszczepienie od mainstreamowego przekazu skreśliło ich z listy obecności. Na „salonach" brylują jednomyślni, konkurujący nie na dzieła, lecz designerskie outfity, na które, rzecz jasna, trzeba mieć fundusze. Czy ktokolwiek widział ostatnio artystę ubranego w wykonane własnym sumptem ciuchy, w rodzaju „more dash than cash"? Nie ma takich nawet na balach przebierańców. Teraz nikt sam się nie trudzi, lepiej opłacić profesjonalistę od wizerunku. Każdy, kto chce pokazać się np. na Top Charity u Brzosków, gdzie pod przykrywką dobroczynności odbywa się targowisko próżności – musi wydać krocie na kreację („Wzrok wszystkich wędrował na Małgorzatę Rozenek, która skradła show spektakularną kreacją. Gosia włożyła czarną suknię z mocnymi prześwitami oraz »wyrastającymi« z dekoltu twarzami kobiet"). Na taki szpan trzeba nakładów.

OBŚMIANY MIT CYGANA

Dawno, dawno temu – prawie dwie setki lat temu – twórcom zachciało się niezależności. Ach, wyrwać się z przymusów realizowania zamówień dla dworu, możnych, a najgorsze, nowobogackich. I stało się, poszli na swoje, czyli na poddasze, gdzie żywili się kitem z okien, popijali alkoholem, umierali na gruźlicę, mieli kochanki z rynsztoka, ale żyli i tworzyli wedle swych reguł. Wyswobadzanie się z kajdan akademickich, oderwanych od realiów i tematów, zaczęło się w romantyzmie; na przełomie wieków XIX i XX twórcy osiągnęli apogeum niezależności co do formy i tematyk. Mit spopularyzowany w mnóstwie filmów, powieści i piosenek (ze sztandarową „La bohème" Charles'a Aznavoura na czele), lansował fałszywą wizję „szczęśliwych biedaków" – tak długo, jak długo trwały młodość, uroda, zdrowie. W czasie pierwszej wojny światowej dadaiści zaproponowali antysztukę, twórczy nihilizm. A po drugiej wojnie, zniechęceni komercją konceptualiści, postawili na kreacje, których (sądzili) nie da się spieniężyć.

Co zabawne, w PRL mit artystycznej bohemy trwał do czasu transformacji, w polskiej wersji zyskując miano „kolorowych ptaków" w opozycji do „szarej" rzeczywistości. Ten fantazmat zespolony z etosem Solidarności był jeszcze kultywowany do końca lat 90. Potem tąpnęło.

Od lat dwutysięcznych stopniowo, acz skutecznie prowadzenie w sztukach wizualnych przejmowali kuratorzy, sprawniejsi w ekwilibrystyce słownej od magistrów (bo taki tytuł uzyskują absolwenci plastycznych uczelni) sztuki. W sukurs przyszli im wykwalifikowani (i dobrze opłacani) „wypełniacze" podań, którzy opanowali słowa wytrychy gwarantujące uzyskanie grantu lub stypendium. Do tego doszła wymiana krytyków sztuki na usługowych PR-owców – i poszło! Dziś dawna cyganeria to elita. I „na kolana chamy, śpiewa Lucjan Pavarotti", nakazał Kazik, zarabiający „12 groszy" w roku 1997.

ARTYŚCI ZNIEWOLENI

Sztuka wizu traciła niezależność i niewinność równolegle do demoralizacji naszego społeczeństwa. Luki prawne, afery, których nikt nie rozliczył, i inne krzywizny w funkcjonowaniu państwa „po powrocie do wolności" zmieniły nam rozumienie dobra i zła. Najlepszy dowód – obecne reakcje na aferę z Krajowym Planem Odbudowy, w ogóle na różne „wałki": kto nie skubnął, ten przygłup. Artyści uważają podobnie: nie brzydzimy się źródłem kasy, byle płynęła. Ale nadal uważają się za etyczne wyrocznie. To schizofreniczna sytuacja: oczekiwanie, że będąc zniewolonymi (w tym przypadku i kasą, i ideologią), przemawiają własnym słowem, zachowają twórczą niezależność. Pogratulować naiwności. Albo siły autoperswazji.

Dysonans poznawczy, którego doświadczają artyści sztuk rozmaitych (o ile doświadczają), ma swe historyczne ukorzenienie. Twórcy wielowiekowo zabiegali o uwolnienie się od jakichkolwiek nakazów, odgórnych wytycznych, mód, konwencji, nawet pieniędzy. W dobie PRL, po kajdanach socrealizmu, wyrywanie się najpierw ku abstrakcji, potem ku innym „nowoczesnym" i „wolnościowym" kierunkom (od konceptualizmu lat 70. do nowych dzikich kolejnej dekady) przerodziło się w legendę undergroundu, narażonego na szykany po stanie wojennym, praktycznie do roku 1989. Buńczuczne „stawianie się" na przekór władzy skończyło się wraz z… nastaniem wolnej Polski. Stopniowe pochylanie się twórców nad problemami „ogólnymi", lecz suflowanymi przez neoliberałów zaczęło się mniej więcej ćwierć wieku temu. Indywidualizm jakoś splótł się z lewacką doktryną, a twórczość zrównała się z elegancko podaną agitką. Artyści zostali spacyfikowani i zniewoleni jednym sprytnym zabiegiem: przekonaniem ich, że są elitą. Och, jak to miło łechce ego!

PRAGMATYZM APLIKACJI

„Do dzieła!". Ten przywołujący czasy komunistycznej rewolucji plakat (a konkretnie afisz Aleksandra Rodczenki z roku 1925) można było do niedawna zobaczyć na słupach ogłoszeniowych stolicy. Chodziło o stypendia artystyczne m.st. Warszawy. Jednocześnie w MKiDN odpalono kolejny nabór stypendialny na rok 2026. Najważniejsze jednak, na co i do kogo popłynie hajs. Na przykład w kategorii „animacja i edukacja kulturalna" na pieniężny zastrzyk może liczyć ten, kto realizuje „działalność na rzecz kultur zagrożonych marginalizacją – mniejszości, niszowych, alternatywnych".

Skąd ten ideologiczno-polityczny zapał u niegdysiejszych błękitnych

eprasa.pl e52cb26f6a

ptaków? Odpowiedź prosta – to się opłaca. Zamiast realizować własne wizje, co związane jest z wieloma trudami, niepewnym bytem, a także dorobieniem się tytułu przegrywa, twórcy wolą płynąć z prądem. Koordynują dokonania z tematyką preferowaną przez publiczne źródła finansowego zasilania.

SŁOWO WYTRYCH

„Stoliczku, nakryj się!" to nie zawołanie z bajki, ale retoryka. Sztuka wycyckania współczesnych sponsorów (władz, organizacji) opiera się na umiejętności posługiwania się słowami kluczami, nieodzownymi w aplikacjach o stypendia, granty, dotacje.

Te słowne wytrychy są na ogół ogólnikowe. Niezorientowanym podam przykłady: ekologia, płciowość z naciskiem na trans, inkluzywność, ekotransgresja, prawo do aborcji, stosunki międzygatunkowe, koniec komfortocenu, zielona transformacja instytucji kultury. Aplikacje często ocierają się o absurd, jeszcze częściej – o hucpę. Mogliśmy się o tym przekonać po wysypie wałków KPO dla kultury, których symbolem stało się dofinansowanie „farfocelków", Techno Balkonu i ekofeminizmu.

W tym przypadku dotacyjne „cymesy" trafiły do sieci. Ujawnione u jednych spowodowały emocjonalne wzmożenie, u innych – wzruszenie ramion. Jak łatwo się domyślić, linia podziału przebiega wedle politycznych preferencji: na „nie" są konserwatyści, na „tak" liberałowie. U tych drugich myślenie jak za komuny: co z budżetu, nie nasza sprawa, nam w kieszeni nie ubywa. Nie ma co drążyć. Przypomina wam to coś? Dla mojego pokolenia to déjà vu – wróciła komuna, a raczej, komunistyczne podejście do własności.

PRZEKUPIENIE AWANSEM

Przepalanie gigantycznych publicznych pieniędzy to jedynie naskórkowy problem. O wiele poważniejszą kwestią jest konformizm artystów. Tak, bieda nie jest dziś sexy. Przynależność do elity wymaga i kosztuje – a chodzenie pod prąd nie przynosi zysków. Więc bohemie już dziękujemy, teraz zapraszamy dyspozycyjnych. Niezorientowani odbiorcy mogą uwierzyć, że teraz właśnie mają do czynienia ze swobodą wygłaszania poglądów i nadawania im wizualnego kształtu. Myślicie, że twórcy tak sami z siebie upatrują postępu ludzkości w tematyce, o której było powyżej? Nie, oni dali się uwieść ideologii – tak jak za stalinizmu było wielu, którzy daliby się pokroić za dogmaty socrealizmu. Tym razem liberolewicowe idee narzucane są delikatniej, bez straszaków w postaci anatemy, braku zatrudnienia i możliwości publicznego zaistnienia. W tym przypadku postawiono na kasę i komplementy. Znacie sztukę Moliera „Mieszczanin szlachcicem"? To jest ta sama metoda: łechtanie próżności.

W parze z tym nadęciem idzie łatwość zdobycia – bo nie zarobienia – pieniędzy. Degeneracja zwana grantozą została zaimplementowana wraz z przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej, a z biegiem lat przybrała na sile.

NUDA, PANIE, NUDA...

Czy ktokolwiek z państwa był/widział ostatnio w Polsce wystawę sztuki współczesnej, która pozostała w pamięci jako znacząca? Prowokująca do myślenia? Diagnozująca stan rzeczywisty? Ja – nie. Odbiorcy też chyba nie mieli podobnego doświadczenia, o czym świadczy dołująca frekwencja w galeriach. Powie ktoś – no, nie, Józef Chełmoński bije rekordy oglądalności, Tamara Łempicka, Mojżesz Kisling czy „Co babie do pędzla" (przegląd autorek z lat 1850–1950 w Lublinie). Nawet podróżny pokaz Giorgia Morandiego w Zachęcie (do 5 października) czy równolegle otwarta ekspozycja „Przestrzenie" (do 21 września br.) – rzecz o polskim environmencie z lat 60. i 70. – gromadzą więcej widzów niż medialnie lansowane wykwity podlane sosem ideologicznym. Bo to już było, się sprawdziło. Zachowało wizualną jakość oraz moc przekonywania o intencji autorów. Ważne: ktoś kiedyś te dzieła zauważył, wystawił, czasem kupił. Ktoś inny podjął trud, żeby wyjaśnić szerokiej publiczności, na czym polega ich ranga.

> **Zamiast realizować własne wizje, co związane jest z wieloma trudami, niepewnym bytem, a także dorobieniem się tytułu przegrywa, twórcy wolą płynąć z prądem**

Jakiego kalibru są umysły współczesnych decydentów od sztuki, przyjdzie ocenić po czasie. Obawiam się jednak, że ostatni koryfeusze dziedziny zwanej kulturą raczej nie zapiszą się we wdzięcznej pamięci potomnych. To raczej „rympałki" od politycznych ustawek – od Bartłomieja Sienkiewicza, poprzez Hannę Wróblewską, do obecnie panującej ministry Marty Cienkowskiej. O żadnej wizji kultury nie ma co tu mówić. A finansowe rozdawnictwo na rzecz ideologicznej „agentury" więcej ma wspólnego z korupcją niż ze wspieraniem artystycznej kreatywności.

FESTIWAL ONOMATOPEI

Przed nami 61. Biennale Sztuki w Wenecji (maj–listopad 2026 r.). Już wiadomo, co będzie można oglądać w pawilonie Pologna, jednym z najstarszych na terenie Giardini (powstał w 1932 r.). Otóż będzie nas reprezentował projekt Bogny Burskiej „Języki z wody", który został wybrany (cytuję uzasadnienie jury) „za podjęcie wyzwania komunikacji inspirowanej życiem więcej-niż-ludzkim. Zgłębiając język migowy głuchych i sposoby porozumiewania się wielorybów, [projekt] stawia pytania o możliwości budowania nowych relacji i wrażliwości, które przekraczają granice niedostępnych sobie światów. Eksperymentując z różnymi formami wypowiedzi, praca poszerza horyzonty wyobraźni społecznej dotyczącej prawa do uczestnictwa we wspólnym świecie. Mówi o marzeniu porozumienia się poprzez gesty i ciało". A co na to walenie?

Jakoś to (dźwiękowo) podobne do projektu, który przedstawiono jako „polski" w mieście na lagunie rok temu, kiedy po wyeliminowanym Ignacym Czwartosie jego miejsce zajął ukraiński team Open Group, proponujący odbiorcom powtarzanie za bohaterami nagranego filmu odgłosy nalotów, wybuchów i alarmów. „Wuu", „buum", „iiii". Czyżby biennale sztuki stało się konkursem onomatopei?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e52cb26f6a

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl e52cb26f6a

Trauma forever

FOT. NATALIA KABANOW

Grzegorz Kondrasiuk

Wrocławski Teatr Pantomimy wystawił adaptację holenderskiej powieści „Niepokój przychodzi o zmierzchu" Marieke Lucasa Rijnevelda. Wyreżyserowany przez Małgorzatę Wdowik spektakl o tym samym tytule powstał według sprawdzonej recepty. Oto ona: wertujemy listy książek nagrodzonych ostatnio prestiżową nagrodą (w tym przypadku Booker), zadając sobie pytanie, czy nie ma tam przypadkiem czegoś zbieżnego z gustami i przyzwyczajeniami koryfeuszy polskiego życia teatralnego. A więc koniecznie – trauma. Polski teatr od dekad zajmuje się głównie wykrywaniem i rozpoznawaniem traum, jest empatyczny do bólu i na tysiąc procent. Traumy są już świetnie rozpoznane, a że wspomniani koryfeusze lubią te piosenki, które już dobrze znają, to na pewno zechcą pokazać na swym festiwalu spektakl, który rozpoznaje traumę na nowo i jeszcze raz.

I tak oto mamy „Niepokój…", spektakl o wrażliwości jednostki. Do jego uruchomienia przydaje się figura dorastającego dziecka, istoty kruchej, wyposażonej w nadświadomość, usytuowanej poza społeczeństwem. Wystarczy osadzić narratorkę – jej oczami patrzymy i tylko ona ma prawo do głębokiego, egzystencjalnego odczuwania rzeczywistości – w nieprzyjaznym środowisku, gdzie wszyscy, poza nią, są skrzywieni i skłonni do przemocy. Rodzina i wiejska mikrospołeczność (w tym przypadku obrywa się holenderskim rolnikom) jest terenem przeróżnych patologii, a na zasadzie pars pro toto służy jako model świata. Dzięki temu mamy odhaczoną obowiązkową rozprawę z konserwatywnym światopoglądem i ocenę historycznych systemów społecznych jako opresyjnych sal tortur. Świat ten jest ułomny i w warstwie eschatologicznej. Nie ma tu nadziei, los potrafi sprowadzać tylko śmierć.

Powieściową i spektaklową historię uruchamia krótka historia o randze przypowieści. Dziewczynka przed Wigilią dowiaduje się, że ojciec zamierza zabić jej ukochanego królika, modli się, żeby zamiast zwierzątka Bóg zabrał jej brata – i oto brat tonie w pobliskim jeziorze. Bohaterka, przepełniona poczuciem winy, zakłada obszerną zimową kurtkę, której od tej pory już nie zdejmie, i ucieka w surrealny świat fantazji. Teatr potrafi, a nawet bardzo lubi takie miejsca wytwarzać: stąd przez cały spektakl jako scenografia (autorstwa Jana Baszaka) na scenie obecne są znakomite, ekspresyjne zwierzęce rzeźby, dlatego nad nią dominuje, opuszcza się i zagraża przypominająca głaz forma, a jeden z aktorów, wyposażony w króliczą głowę, stale towarzyszy bohaterce. Tymczasem okazuje się, że ten mikroświat nie chroni w żaden sposób swoich mieszkańców przed niezawinionym okrucieństwem losu. Ojciec próbuje się schronić za zasłoną wiary i jej obrządków (oczywiście martwych i niepotrzebnych), matka wpada w depresję, głodzi się, mechanicznie wykonując domowe obowiązki. Pozostały przy życiu drugi brat molestuje seksualnie dziewczynkę i jej siostrę, także ojciec, tak jak zostało to zasugerowane w jednej ze scen, nie jest wolny od dewiacji. Tymczasem wiejski weterynarz wykazuje wyraźne skłonności pedofilskie… I tak dalej.

Walcząc o resztki życia, matka bohaterki, powtarza frazę: „Chcę umrzeć, mnie nic innego nie potrzeba" i bezskutecznie odkurza scenę ze zwałów sztucznego śniegu. Jest zima egzystencjalna, więc musi być zimno, ergo pokryjmy cały ten świat bielą – i taki jest właśnie problem z zastosowanym tutaj stylem kreowania świata. Duża reżyseria maszynerii scenicznej, piękna scenografia i mocne efekty sceniczne nie wystarczą. Nie pomoże też sięganie po najmocniejsze, dotykalne tematy – jak śmierć, kazirodztwo, molestowanie – w nadmiernej ambicji wstrząśnięcia widzem. A także schematyczna i tautologiczna struktura dramaturgiczna, natychmiastowe zużywanie mocnych efektów (jak obecność dziecka w tak drastycznym treściowo spektaklu), powtarzanych w kółko tych samych chwytów i rytmów, sceny realistyczne przeplatane onirycznymi, a głośne – cichymi, gdzie po crescendo ambientowej, lodowatej oczywiście muzyki uzupełnionej obowiązkowymi wrzaskami aktorów następuje cisza. Poczucie znużenia już po kilkunastu scenach – gwarantowane.

W wyborze świata bez wartości, obsesji cielesnej w i braku chęci poszukiwania przeciwwagi dla nicości spektakl Wdowik przypomina teatr Mai Kleczewskiej. Z kolei w efekciarstwie i naiwności reżyserka idzie równolegle z Jakubem Skrzywankiem: oboje proponują mało nośne intelektualnie, za to nasycone emocjami meldunki o tym, że świat nie spełnia ludzkich oczekiwań. I mają wzięcie u kuratorów, dyrektorów, krytyków.

„Niepokój…" osiągnął sukces, o ile jego wyznacznikiem są mobilność, wejście spektaklu w obieg festiwalowy i lista pochwalnych recenzji (tylko takie skwapliwie kolekcjonuje strona teatru). Życie w teatrach publicznych dzieli się bowiem na stacjonarne i mobilne. Ofertę stacjonarną zabezpieczają teatry miejskie i przeróżne inne, a ogólnopolski obieg – festiwale. Każde większe miasto ma ambicję organizowania co najmniej jednego festiwalu, co w zamyśle, skądinąd słusznym, ma zapewniać przebijanie się perełek danego sezonu, promowanie talentów. Mówiąc metaforycznie – festiwale zapewniają krwiobieg, niezbędny do zdrowego funkcjonowania organizmu. A teraz zagadka: jeśli organizm jest chory, to jakie jest jego krążenie? ©℗

WROCŁAWSKI TEATR PANTOMIMY, „NIEPOKÓJ PRZYCHODZI O ZMIERZCHU"
REŻ. MAŁGORZATA WDOWIK
SCENARIUSZ: ROBERT BOLESTO (NA PODSTAWIE KSIĄŻKI MARIEKE LUCASA RIJNEVELDA)
PREMIERA: 3 MARCA 2023 R.
PREZENTACJA NA MIĘDZYNARODOWYM FESTIWALU DIALOG WE WROCŁAWIU, 13–14 PAŹDZIERNIKA 2025 R.

eprasa.pl e52cb26f6a

REPUBLIKA

Ewa Bugała i Edyta Lewandowska zapraszają do Republiki na program informacyjno-publicystyczny „W samo południe" – rzeczowe rozmowy na temat bieżących wydarzeń z zaproszonym do studia gościem.

OD PONIEDZIAŁKU DO PIĄTKU

12:00

w Republice

Edyta Lewandowska **Ewa Bugała**

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Republikę oglądać można na multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa typu YAGI ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Nadal można nas oglądać przez satelitę, w sieciach kablowych oraz w lokalnych multipleksach w Katowicach, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku oraz w części woj. opolskiego i małopolskiego. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl e52cb26f6a

Upadki pana Scorsesego

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Gociek

Nie ma drugiego twórcy we współczesnym kinie, który tak dobrze jak reżyser „Wściekłego byka" rozumiałby współistnienie w ludzkiej duszy tego, co złe i dobre, grzeszne i święte

Czy naprawdę wysadziłeś skrzynkę pocztową?" – pyta autorka serialu. „Tak". Dopytuje zatem: „Dlaczego?". „Nie wiem" – odpowiada przyjaciel z dzieciństwa Martina Scorsesego, pierwowzór postaci Johnny'ego Boya z filmu „Ulice nędzy" („Mean Streets", 1973). Niejedyny to raz, gdy widzimy na ekranie pierwowzory postaci, które Scorsese unieśmiertelnił w filmach. Reżyser „Taksówkarza" siedzi przy stoliku z facetami, którzy wraz z nim dorastali w nowojorskiej Little Italy. Wspominają: tu chadzaliśmy grać w bilard, tu urzędował lokalny mafijny boss, tam chodziliśmy do kościoła. Z tych wspomnień wyłaniają się obrazki na kształt pierwszych scen z „Chłopców z ferajny" („Goodfellas", 1990).

Jeśli chodzi o filmową ferajnę Scorsesego, to na ekranie w pięcioodcinkowym dokumencie „Pan Scorsese" (Apple TV+) meldują się wszyscy najważniejsi. Jest Robert De Niro, jest Joe Pesci, jest Leonardo DiCaprio. Nie brakuje Jodie Foster czy Sharon Stone. Nawet skryty, stroniący od dziennikarzy i żyjący już na filmowej emeryturze Daniel Day-Lewis wpuszcza kamerę do swego domu, by mówić o Martym. Oczywiście nie mogło zabraknąć przyjaciół i rywali, znaczy innych reżyserów: Briana De Palmy i Stevena Spielberga. Są najważniejsi scenarzyści w życiu Scorsesego, czyli Paul Schrader i Nicholas Pileggi. Jednak to nie tylko targowisko próżności, to nie tylko rutynowy hołd. Serial, którego twórczynią jest Rebecca Miller, szybko zamienia się w coś więcej.

Historii zza kulis kręcenia głośnych filmów słyszeliśmy wiele, zwłaszcza ci, którzy oglądają dodatki do rozmaitych edycji DVD czy Blu-ray wzbogacanych o liczne dodatki. Pogląd Scorsesego na kino też znamy, a szczególnie znają go widzowie jego dokumentalnych filmów „A Personal Journey with Martin Scorsese Through American Movies", „My Voyage to Italy" (o kinie włoskim) czy „A Letter to Elia" (którego bohaterem jest reżyser Elia Kazan). Serial „Pan Scorsese" może więc ominąć kwestię fascynacji filmowych reżysera, odnotowując je tylko tam, gdzie jest to niezbędne i kluczowe.

RODZINA ZESZŁA NA DRUGI PLAN

Ciekawiej ma się sprawa, gdy idzie o stopień intymności, który widzimy na ekranie. Scorsese sam nie wahał się pokazać własnej rodziny (w dokumencie „Italianamerican" z 1974 r.), w wielu swych filmach obsadzał matkę (Catherine Scorsese), a czasem i córki. Rebecca Miller dostała niczym nieograniczony dostęp do rodzinnych archiwów, ale – co ważniejsze – udało się jej nakłonić do występu przed kamerami także kolejne żony reżysera (łącznie było ich pięć – te, których nie nagrano specjalnie dla serialu, poznajemy z materiałów archiwalnych) oraz jego dzieci. Szczególne wrażenie robi obdarzona eteryczną urodą i niezwykłą charyzmą Domenica Cameron-Scorsese, która urok odziedziczyła po matce, Julii Cameron (pisarce i dziennikarce, która była przez rok drugą żoną Scorsesego).

Wszyscy się tu uśmiechają, ale nie są to radosne opowieści rodzinne. Od momentu, gdy reżyser znalazł się na drodze ku sławie, kwestie rodzinne schodziły na drugi plan. Mamy więc żony, które w pewnym momencie miały dość zaniedbywania i samotności, córki, które widywały

eprasa.pl e52cb26f6a

ojca od wielkiego dzwonu. Mocno porusza scena, w której wspomniana Domenica opowiada, że najszczęśliwsze chwile jej dzieciństwa to dni, gdy grała małą rolę w filmie taty „Wiek niewinności" (1993). Była szczęśliwa nie dlatego, że występowała w filmie, ale dlatego, że tato zwracał na nią tak wiele uwagi. Bo, widzicie, Scorsese miał tej uwagi zawsze dużo więcej dla swoich aktorów niż dla bliskich.

Wszystko na ołtarzu sztuki, znamy tę kliszę. Pełne poświęcenie, bezkompromisowość, sam Scorsese mówi: artysta musi być bezlitosny. Znaczy geniusz, ale prywatnie potwór? A gdzie tam, ciepło wspominają go i Laraine Brennan (żona numer jeden), i Isabella Rossellini (żona numer trzy). Wytykają jego wady, ale pamiętają o zaletach. Zatem uroczy potwór? A gdzie tam, twórca „Kasyna" sam padł ofiarą własnego zaangażowania, więc raczej nie do końca dojrzały dzieciak, który odpowiedzialności i prawdy o życiu uczył się, tak jak my wszyscy, w trakcie. W trakcie czego? No, życia właśnie.

Życie to mogło zakończyć się przedwcześnie, kiedy po sukcesie „Taksówkarza" (1976) i Złotej Palmie w Cannes kariera Scorsesego zaczęła układać się aż za dobrze. Naraz stał się gorącym nazwiskiem, nagle wszyscy go chcieli, oto otwierały się rozmaite możliwości, a Scorsese wszystkie je chciał wykorzystać. A żeby dać radę i nie zwalniać tempa, coraz częściej sięgał po narkotyki. Szalona jazda obejmowała pracę na planie filmu „New York, New York", reżyserowanie musicalu na Broadwayu, kręcenie dokumentalnego „The Last Waltz", zdjęcia do dokumentu o Elvisie, imprezowanie (mocno przyprószone) z Robbiem Robertsonem, chaos w życiu osobistym. Wreszcie organizm się poddał i Martin Scorsese trafił do szpitala z ciężkim krwawieniem wewnętrznym, a walka o samo utrzymanie go przy życiu trwała dwa tygodnie. „Umarłem" – wspomina reżyser, dodając: „I narodziłem się na nowo".

Terapią, wyznaniem grzechów, ostatnim filmem w karierze (Scorsese myślał tak naprawdę, uważając, że jako artysta jest skończony) miał być film „Wściekły byk" („Raging Bull", 1980). Jego bohater, bokser Jack LaMotta, nie budził sympatii przyszłych producentów i dystrybutorów. „Czemu chcesz nakręcić film o takim karaluchu?" – pytali. „Bo nim nie jest"

Miał być księdzem, od dzieciństwa czuł, że jedynie w kościele odnajduje spokój duszy. Ale zarazem przeszkadzał mu temperament, wyrywał się ku czemuś innemu

– odpowiadał Scorsese, który poprzez postać zagraną przez De Niro spowiadał się z własnej głupoty i słabości. Zresztą to właśnie De Niro namówił Scorsesego na kręcenie „Wściekłego byka". Zrobił to, czuwając przy szpitalnym łóżku przyjaciela. Wyjątkowa relacja między reżyserem a aktorem też jest ważnym wątkiem serialu „Pan Scorsese".

PARIAS ZE WSCHODNIEGO WYBRZEŻA

Upadek i wysiłek, by powstać, nieustanne umieranie i zmartwychwstanie to powracający wzór w karierze Martina Scorsesego. Widzimy to wyraźnie, obserwując kolejne zakręty jego filmowego życia. Nigdy przeciętny, nigdy letni, zawsze budzący wielkie emocje: albo wyzywany i wyklinany (jak po „Ostatnim kuszeniu Chrystusa"), albo wynoszony pod niebiosa (jak po „Chłopcach z ferajny"). Cierpiący za nie swoje winy: zamachowiec, który strzelał do Ronalda Reagana, twierdził, że robił to z inspiracji „Taksówkarzem", we Francji doszło do ataku bombowego na kino, które miało wyświetlać „Ostatnie kuszenie Chrystusa". Dwukrotnie w karierze reżyser musiał poruszać się po Nowym Jorku ze stałą ochroną. A w Los Angeles wciąż pozostawał pariasem, obcym, dziwakiem ze Wschodniego Wybrzeża, kojarzonym z mafijnymi klimatami. Pewnego razu przed ceremonią wręczania Oscarów siwowłosy członek Akademii Filmowej prosił go, żeby powstrzymał się na scenie od przekleństw – najwyraźniej przekonany, że Scorsese wiedzie życie podobne do tego, jakie pokazywał w „Ulicach nędzy" czy „Chłopcach z ferajny".

Grzech, pokuta, odkupienie, ofiara, zmartwychwstanie – powraca to wszystko w filmach i życiu twórcy. „Czerpię przyjemność z grzechu" – mówi bez ogródek Scorsese, gdy Rebecca Miller pyta go o to, jak stał się twórcą eksplorującym moralne dwuznaczności. A jednocześnie chce być kimś lepszym, podnosi się, próbuje zrozumieć naturę nauk Jezusa, jest ostatnim chyba – obok Paula Schradera – twórcą w Hollywood, który kręci moralitety, i pewnie jednym z ostatnich – oprócz Terence'a Malicka – który tak otwarcie mówi o swoim katolicyzmie. Miał być księdzem, od dzieciństwa czuł, że jedynie w kościele odnajduje spokój duszy. Ale zarazem przeszkadzał mu temperament, wyrywał się ku czemuś innemu, wreszcie drogę artysty wskazał mu mądry ksiądz z Little Italy (także występuje w filmie), który Scorsesemu i jego kolegom z ulicy kazał czytać dobre książki i których zabierał do kina na mądre filmy. Więcej na ten temat znajdziecie w książce „Dialogi o wierze", którą napisali wspólnie Scorsese i ks. Antonio Spadaro; polecałem ją rok temu na łamach „Do Rzeczy" (nr 47/2024).

Rebecca Miller pracowała nad swoim dokumentem kilka lat, niektórych z jej rozmówców nie ma już na tym padole (zmarli m.in. Brian De Palma i Robbie Robertson). Martin Scorsese, który w listopadzie ukończy 83 lata, pozostaje tymczasem jak zwykle niesłychanie aktywny. Jego dorobek jako reżysera, autora dokumentów i producenta już jest oszałamiający, ale twórca nie zwalnia tempa, pracując zwykle nad kilkoma projektami naraz (obecnie jest ich bodaj siedem). Ćwierć wieku temu mówił o sobie „upadły katolik", dziś po prostu: katolik, próbujący wykorzystać, jak umie najlepiej, swoje drugie życie, to, które dostał niemal pół wieku temu. Nie ma drugiego twórcy we współczesnym kinie, który tak dobrze jak on rozumiałby współistnienie w ludzkiej duszy tego, co złe i dobre, grzeszne i święte. A serial o nim to jeden z najlepszych dokumentów o wielkich postaciach kina, jakie kiedykolwiek widziałem.

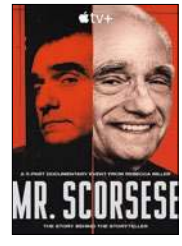

★★★★☆☆
REŻ. REBECCA MILLER
„PAN SCORSESE"
USA 2025

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e52cb26f6a

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Król świata

★★★★☆☆

REŻ. CYPRIAN T. OLENCKI
„DRUGA FURIOZA"
POLSKA 2025

wyst. Mateusz Damięcki, Weronika Książkiewicz, Łukasz Simlat

W sercu filmu „Furioza" były kwestie honoru, lojalności i męskiej przyjaźni. Kumple z chuligańskiej załogi wybierali różne drogi: ktoś został lekarzem, kto inny policjantem (a właściwie policjantką), inni nadal chadzali na ustawki do lasu, żeby łomotać się do krwi, ale był to świat, w którym istniały pewne granice. Ten świat ziszczony został, gdy u jednego z bohaterów (Golden – Mateusz Damięcki) żądza pieniędzy wzięła górę nad wszystkim innym i zamiast kibolem stał się gangusem. Skończyło się to źle dla większości bohaterów całej historii.

W „Drugiej Furiozie" Cyprian T. Olencki serwuje nam nietypowy ciąg dalszy: to właściwie dopowiedzenie rozmaitych wątków i faktów, które uzupełniają oryginalny film. „Furioza" równoległa. Dużo więcej miejsca poświęca Goldenowi, nadając mu rys tragiczny i idąc znanym z amerykańskiego kina noir tropem bandziora, któremu wydaje się, że jest królem świata („Kupię ci to morze" – mówi Golden do dziewczyny, w której się zadurzył). Więcej dowiadujemy się o prowadzących śledztwo Dzikiej (była chuliganka – Weronika Książkiewicz) i komisarzu Jacku Bauerze (świetny Łukasz Simlat). Na drugim planie błyszczy Szymon Bobrowski jako gangster Mrówa, akcja w pewnym momencie przenosi się do Irlandii.

Nie ma to wszystko rytmu i spójności pierwszego filmu, ale to wciąż dobre kino sensacyjne, ciekawsze niż sentymentalne powtórki z rozrywki Pasikowskiego („Zamach na papieża", trzeci sezon „Gliny"). Znów mocną stroną są dialogi, choć żaden nie dorównuje genialnej scenie z jedynki, kiedy oglądaliśmy montaż bandziorów wykręcających się na różne sposoby podczas przesłuchania.

Ktoś może powiedzieć, że to kolorowa bajka o przemocy. Odpowiem pytaniem: A hollywoodzkie filmy i seriale takie nie są? Ostatecznie liczy się, czy narracja wciąga nas w ten świat i czy gdzieś kryją się prawdziwe emocje. Znajdziemy je w „Drugiej Furiozie", choć chwilami balansuje ona na granicy, którą łatwo niepostrzeżenie przekroczyć: pastiszu, w którym wszystko jest tylko grepsem, zabawą. Chętnie obejrzę trzecią „Furiozę", bo historia Dzikiej i Bauera czeka na domknięcie. A co do ściganych przez nich gangusów, cóż, pamiętacie: zawsze znajdzie się większa ryba. ©℗

GRA TYGODNIA: „GHOST OF YOTEI"

Kto się zakochał w „Ghost of Tsushima", temu serce skradnie „Ghost of Yotei". Inne są czas, miejsce (choć, rzecz jasna, nadal Japonia), historia i bohaterowie, ale rozwiązania, które sprawdziły się w „GoT", sprawnie wykorzystano i rozwinięto. Jeśli chodzi o historię, to jest bardziej osobista: córka zbrojmistrza staje się wojowniczką i pragnie dopaść morderców jej rodziny. Sama gra – piękna, klimatyczna, wciągająca, pełna zawartości dodatkowej, które stanowią o jej sile. Długie godziny dobrej zabawy w malowniczej Japonii w sam raz na jesienne szarugi w kraju nad Wisłą. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

- ***Gatunek:*** *akcji, TPP*
- ***Platforma:*** *PS5*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Sucker Punch Productions; Sony*

eprasa.pl e52cb26f6a

Powiedz: „Franz”

KINO

Polskim kandydatem do Oscara został film o mieszkającym w Czechach niemieckojęzycznym Żydzie. Absurd, godny autora „Zamku”. Nie jest to biografia sensu stricte, lecz raczej wariacja na temat Franza K. i jego twórczości. Fizyczne podobieństwo aktora do pisarza robi wrażenie, Weiss wygrałby konkurs na sobowtóra, nawet gdyby startował w nim oryginał. Inna sprawa, że bez wtrętów o ludobójczych praktykach III Rzeszy ten film byłby lepszy i prawdziwszy. Kafka nie żył wszak w cieniu Holokaustu, a jego twórczość nie była ani trochę profetyczna. Cóż, chór znawców z maniakalnym uporem zapewniających, że człowiek przez całe swoje krótkie życie stroniący od polityki przewidział totalitaryzm, wie lepiej.

Wiek XX wzgardził producentem krzywych luster (w których mogły się przejrzeć nie tylko instytucje pamiętające czasy Przedlitawii) tudzież mizoginem lgnącym do kobiet, ponieważ potrzebował Kasandry. Garniak, sztywny kapelusz i zalęknione spojrzenie – takiego i tylko takiego Kafkę chcemy pamiętać. Agnieszka Holland z właściwą sobie bezkompromisowością podważa ów ikoniczny wizerunek. Dopuszcza możliwość, że literat outsider prywatnie może być w miarę normalnym człowiekiem. Owszem, nieśmiałym i przewrażliwionym, lecz wcale nie smutasem. Ekranowego Franza śmieszą życie i jego rytuały. Widzi rzeczy, na które inni nie zwracają większej uwagi. Słabeusz i hipochondryk, ale żaden męczennik. Nieodrodne dziecko epoki, dba o formę fizyczną: gimnastykuje się i trenuje wioślarstwo. Traumy? Aleksander Macedoński miał ojca despotę i na wypłosza jakoś nie wyrósł.

Do zalet filmu zaliczam również jego zwichrowaną strukturę. Oczami wyobraźni już widzę lamenty, że postmodernistyczna bestia znowu podnosi łeb, choć wbito jej w serce osinowy kołek. Na koniec: mam wrażenie, że pani Agnieszka zawiodła się na prażanach prawie tak samo jak jak na Polakach. No cóż, jeśli o Kafkę chodzi, to nasi sąsiedzi rzeczywiście nie mają czystego sumienia. Najpierw go przemilczali, bo istnienie takich indywiduów przeczyło tezie o jednorodności kultury czeskiej. Potem zaś uczynili zeń globalny produkt turystyczny. Żadnemu z polskich literatów to na szczęście nie grozi. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★★★☆☆

REŻ. AGNIESZKA HOLLAND „FRANZ KAFKA” CZECHY/NIEMCY/POLSKA

wyst. Idan Weiss, Peter Kurth, Jenovéfa Boková

WINDĄ DO PIEKŁA

Popularny piosenkarz zniknął, nie wywiązując się z kontraktu. Patron, który oszustwem się brzydzi, chce z nim wyrównać rachunki – i to z nawiązką. Wynajmuje więc detektywa z Brooklynu, tytułowego Henryka Anioła, choć od początku widać, że ta sprawa przerasta tropiciela zdrad małżeńskich i leszczy wyłudzających ubezpieczenia. Trup ściele się gęsto, akcja przenosi się z Nowego Jorku do Nowego Orleanu. Harry poniewczasie zaczyna żałować, że wziął tę robotę. Film, będący hybrydą horroru i neo-noir, udać się nie powinien. A jednak Parker, mając na pokładzie przystojniaka Mickeya Rourke'a, mistrza kamery Michaela Seresina tudzież muzycznego oprawcę formatu Trevora Jonesa, zdołał wykrzesać z tej historii ogień, który do dziś parzy. Morał? Uważajcie na typków mówiących: „Mam wrażenie, że już się wcześniej spotkaliśmy”. ©℗

★★★★★☆

REŻ. ALAN PARKER „HARRY ANGEL” („ANGEL HEART”) USA/KANADA/WIELKA BRYTANIA 1987

wyst. Mickey Rourke, Robert De Niro, Lisa Bonet

KINO

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Szata zdobi człowieka

Wystarczy kilka sekund – jak wskazują badania od czterech do siedmiu – abyśmy na podstawie pierwszego wrażenia wyrobili sobie wstępną ocenę o nowo poznanym człowieku. Jak duże znaczenie odgrywa ubiór? Ogromny. „Ubiór to język – piszą autorzy wystawy »Niech nas widzą!«. – Nieustannie sygnalizuje tożsamość, władzę, status społeczny, gust i poglądy. Potrafi mówić wprost, ale i zdradzać więcej, niż byśmy chcieli”.

Na ekspozycji zgromadzono ok. 250 eksponatów z różnych epok – od XVI w. do współczesności. Przedstawiono modę jako społeczną grę, w którą gra – czy tego chcemy czy nie – każdy z nas. „Odkąd tylko nagość stała się dla naszych odległych przodków problematyczna, strój pełni funkcję nie tylko praktyczną, ale też symboliczną […]. Odnosząc się kolejno do historycznych figur: władcy, rycerza, myśliwego, strojnej kobiety czy filozofa, wystawa odsłania bogactwo znaczeń zawarte w ubiorach na przestrzeni wieków” – piszą autorzy. ©℗

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

GDZIE? Zamek Królewski w Warszawie
KIEDY? do 8 lutego 2026 r.

eprasa.pl e52cb26f6a

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Bolesław Niewsławiony

Jeśli kiedykolwiek osobowość panującego wpłynęła decydująco na losy podległego mu kraju, to na pewno było tak w wypadku Bolesława II. Można w nim podziwiać męstwo, energię i wielki talent. Ale gniew jego nie znał hamulca, a pycha granic. Jeśli patrzeć na główne linie polityki, umieszczając je na tle zagadnień europejskich – to wolno uznać Bolesława za umysł niemal genialny. Ale wykonanie szczegółów godne bywało szaleńca i ostatecznie wszystko popsuło" – tak bohatera najnowszej książki Elżbiety Cherezińskiej podsumował swego czasu Paweł Jasienica.

Cherezińska, jak czytelnikom dobrze wiadomo, już dość dawno temu zakochała się w Piastach, co udowodniła cyklem „Odrodzone Królestwo" z „Koroną Śniegu i Krwi" na czele. Musiał więc nadejść czas na pierworodnego syna Kazimierza Odnowiciela i prawnuka Bolesława Chrobrego, który miał przejść do historii jako Śmiały lub Szczodry. Pisarka na razie zaprezentowała nam jego w tym pierwszym wcieleniu, zapowiadany drugi tom opowieści o Bolesławie II nosić będzie oczywiście tytuł: „Szczodry".

„Gdy wspominamy króla Bolesława Szczodrego – powiada Cherezińska – dodajemy: »To ten, który zabił biskupa«. To nie było jego największe osiągnięcie". Z całą pewnością, ale choć politykiem był zręcznym, to skończył na wygnaniu, najzwyczajniej przeliczając się z siłami. Od ludzi, którymi się otaczał, z którymi współpracował wymaga tylko jednego: lojalności. Bezwzględnej. A o taką nawet w piastowskiej Polsce nie było łatwo.

W opowieści o Bolesławie Śmiałym, która nie dotarła jeszcze do jego koronacji, przyszły biskup krakowski, męczennik, święty Kościoła katolickiego i patron Polski – Stanisław ze Szczepanowa – powraca dopiero z Liege, z nauk. Późniejsi antagoniści na razie przypatrują się sobie. A Bolesławowi dążącemu do przywrócenia na ziemiach polskich królestwa problemów nie brakuje. Wewnętrznych i zewnętrznych. Jednego z braci – Władysława (Hermana) – wysyła na Mazowsze, drugiego – Mieszka – na Pomorze. No właśnie: „Krwią Pomorza byli Pomorcy, a ci nawet jeśli widzieli wodę chrztu w zamierzchłych czasach Chrobrego i biskupa Reinberna, to dawno ją z siebie zmyli. Żyli z morza. Z jego darów i łupów. Pierwsze łowili w sieci, drugie w łupieskich wyprawach, na które skrzykiwali się niewidocznym dla oczu Mieszka sposobem. Nie był głupi, domyślał się, skąd brało się bogactwo ich domów i siedzib. W pierwszych latach, gdy tu przybył, naiwnie wierzył, że ich odmieni. Że przyprowadzi ich, niczym zbłąkane owce. Do owczarni Pana. Dzisiaj nie był pewien wierności nawet tych, co przed nim klękali, za to zyskał przekonanie, że w znaku krzyża robionym trzema palcami jest drwina z Trójcy Świętej i ukryty bunt przeciw Piastom i religii, którą tutaj przynieśli. Był pewien, że niejeden krzyż na ścianie ich świetlic pochodzi ze zrabowanych podczas wypraw kościołów". Czyżby naprawdę – jak czytamy – „tutaj być albo nie być Kościoła zależy wyłącznie od księcia". A książę? Cóż, „książę nie ma braci. Książę ma rywali".

Ima siostrę – Świętosławę, żonę Wratysława II, pierwszą królową Czech, tyle że w wizji dziejów, którą roztacza przed nami Elżbieta Cherezińska, wierną Piastom, nie komu innemu. To zresztą, jak się okazuje, szerszy problem: „Jesteśmy tylko żonami – czytamy – lecz bez nas zabrakłoby im zapłaty za wojska i sojusze. To my rodzimy następców. Nas wysyłają z domów i to my nie mamy dokąd wrócić. Wreszcie, powiedz mi, który z domów jest naszym? Ten, z którego wyszłyśmy, czy ten, do którego nas przywiedzono?".

Kobiety w tej książce grają pierwszorzędne role. Na pewno należy im się rekompensata za lata pomijania w historii, czasem jednak można w trakcie lektury odnieść wrażenie, że to one naprawdę sprawowały władzę w lokalnych społecznościach, które opornie, bo opornie stawały się państwami. A już pierwsze kilkadziesiąt stron powieści (bo jest to powieść, przypominam, i to z wieloma elementami zgoła fantastycznymi) z relacją o przyjściu na świat Bolesława II przynależą jakby do zupełnie innego rodzaju literatury. A jak to było z cudownymi narodzinami kolejnego, trzeciego już Bolesława zwanego Krzywoustym? „Bolesław, książę wsławiony, / Z daru Boga narodzony, / Modły świętego Idziego / Przyczyną narodzin jego". Krócej.

Są w „Śmiałym" sceny znakomite, jak te z wyprawy Bolesława Śmiałego do Kijowa w 1069 r. Rzecz cała jest zresztą mocno podbudowana historycznie, a że dotykamy spraw, które niezwykle trudno zweryfikować, przed autorką o takiej wyobraźni jak Elżbieta Cherezińska otwiera się ogromna przestrzeń. Jak usytuuje w niej swojego bohatera i jak ukaże jego konflikt z „patronem chrześcijańskiego ładu moralnego", jak nazwał św. Stanisława Jan Paweł II, przekonamy się z drugiej części tej książki, dającej się niekiedy odczytywać zadziwiająco współcześnie. ©℗

★★★★★

ELŻBIETA CHEREZIŃSKA „ŚMIAŁY"
ZYSK I S-KA, POZNAŃ 2025

eprasa.pl e52cb26f6a

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Bagna Legnicy

Komisarz Eberhard Mock jedzie do Legnicy. Ma trzy tygodnie na odnalezienie żony miejscowego barona – żywej lub umarłej. A dodatkowo zająć się ma osobnikami należącymi do dziwnego pragermańskiego kultu dzikogłowych. Jednak najważniejszą postacią w tej opowieści jest młody student psychiatrii z Tybingi: Herbert Anwaldt. Pamiętamy go z powieści „Śmierć w Breslau" – tu jest o dziewięć lat młodszy i nie zna się jeszcze z Mockiem.

Marek Krajewski rozszerza uniwersum Mocka o spin-off – zapowiada bowiem kilka powieści, których bohaterem będzie Anwaldt, występujący, na razie, pod pseudonimem Herbert May. Pierwsza sprawa długimi chwilami przypomina horror: mamy opętanie, egzorcyzmy, dziwne głosy zza grobu itd. Podejście scjentystyczne zderza się ze spirytualistycznym. Młody adept psychiatrii reprezentuje to pierwsze.

Ciekawe jest nie tylko miejsce (mokradła pod Legnicą), lecz także czas akcji. Mamy rok 1925 i Niemcy wciąż nie doszły do siebie po klęsce w wielkiej wojnie. Kraj jest zrujnowany, gospodarkę ratują najmowani za grosze Polacy (obiekt powszechnej nienawiści, zwykłego rasizmu), pielęgnowane jest rozgoryczenie (tyle poświęceń na nic!), mnożą się teorie spiskowe i sekty religijne. Wszystko to tworzy idealne podglebie pod przyszłe nadejście nazizmu oferującego proste wytłumaczenia, jeszcze prostsze rozwiązania i wielkie nadzieje.

Nie jest to najlepsza z powieści Krajewskiego, ale i daleko jej do tych najsłabszych. Od lat twierdzę, że jeśli chodzi o konstrukcję i poziom literacki autora serii o Mocku i Popielskim, to staje się twórcą coraz bardziej wytrawnym. Research jak zwykle jest olśniewający, zanurzenie się w atmosferę epoki przychodzi czytelnikowi bez trudu.

Zarzucano niegdyś Krajewskiemu, że pisząc cykl „Breslau", wychwala germanizację miasta i buduje jego złotą legendę. Bzdura, „Głos z piekła" jest doskonałym przykładem, że jest inaczej: za pięknym obrazem zbudowanym z wykwintnych restauracji, pięknych kamienic, luksusowych wagonów niemieckiej kolei i pałaców arystokratów kryje się bagno. Moralne, a w przypadku tej książki – także realne. Postimperialne Niemcy są piekłem w porównaniu z odbudowującą się sąsiednią Polską, która może nie jest jeszcze bogata, ale przede wszystkim nie jest chora. ©℗

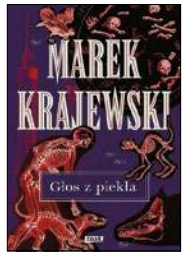

★★★★☆☆
MAREK KRAJEWSKI „GŁOS Z PIEKŁA" ZNAK 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Znany reżyser („Noce i dnie", „Hrabina Cosel", „Chopin. Pragnienie miłości") w centrum powieści stawia siostrę Fryderyka, Ludwikę – to ona przywiozła do kraju serce Chopina i walczyła o jego pochówek. Ma być z tego nowy film.

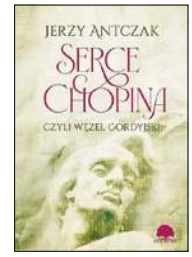

JERZY ANTCZAK „SERCE CHOPINA" AXIS MUNDI

Dominacja liberalnej lewicy w latach 90., narodziny TVN i przechyły innych komercyjnych mediów, wojna o „Rzeczpospolitą", rewolucja w sieci, od mediów społecznościowych do fenomenu Kanału Zero – kawał historii III RP.

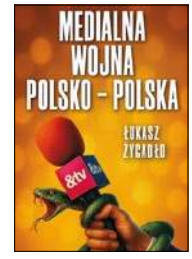

ŁUKASZ ŻYGADŁO „MEDIALNA WOJNA POLSKO-POLSKA" ZONA ZERO

Nie bez powodu polska przedwojenna szkoła sowietologiczna uchodziła za najlepszą na świecie. Matuła w swej pracy analizuje publikacje z lat 1929–1939 ukazujące się na łamach najważniejszych pism konserwatywnych.

ADRIAN MATUŁA „OBRAZ ROSJI SOWIECKIEJ" IPN

Wbrew oczywistym skojarzeniom nie jest to ciąg dalszy słynnej powieści SF Haldemana, czyli „Wiecznej wojny", lecz osobna fabuła – niepokojąco realistyczny obraz przyszłych konfliktów zbrojnych świata wielobiegunowego.

recenzuje Piotr Gociek

JOE HALDEMAN „WIECZNY POKÓJ" REBIS

KOMIKS TYGODNIA: SAMA RADOŚĆ

Fascynujący obraz sekretów pracowni mistrza: oglądamy nie tylko, jak krystalizowały się pomysły, gdy Janusz Christa pracował nad kultową serią albumów komiksowych o Kajku i Kokoszu. Arkadiusz Salamoński odrestaurował także szkice, które posłużyły do projektowania gry komputerowej, animowanego filmu czy puzzli. Gratka dla fanów plus zaskakujące dodatki.

Piotr Gociek

JANUSZ CHRISTA „KAJKO I KOKOSZ. SZKICE I RYSUNKI" EGMONT 2025

eprasa.pl e52cb26f6a

Licencja na zabijanie

Agnieszka Golańska-Bault

Zgodnie z wytycznymi urzędników Donalda Tuska ciężar decyzji i odpowiedzialności moralnej oraz prawnej za zabicie dziecka w fazie prenatalnej zostaje złożony na lekarzy psychiatrów. Stają się oni de facto panami życia i śmierci

Dnia 15 października br. na spotkaniu z wyborcami w Piotrkowie Trybunalskim premier Donald Tusk zapewniał, że „aborcja nie budzi [w nim] entuzjazmu" i nie lubi, „kiedy ktoś mówi, że to jest prawo kobiety". Słowa te miały zabrzmieć prawdopodobnie jako głos rozsądku i dowód umiarkowania w tej budzącej ogromne społecznie emocje kwestii. Nie pierwszy to jednak raz, gdy słowa Donalda Tuska stoją w jaskrawej sprzeczności z podejmowanymi przezeń działaniami i polityką jego ministrów. Oto zaledwie pół roku wcześniej polską opinią publiczną wstrząsnęła historia Felka, chłopca zabitego w łonie matki w dziewiątym miesiącu ciąży zastrzykiem w serce z chlorku potasu w szpitalu w Oleśnicy. U dziecka zdiagnozowano w fazie prenatalnej wrodzoną łamliwość kości. Jego matka nie umiała poradzić sobie z informacją o nieuleczalnej chorobie syna, mimo że w Szpitalu Klinicznym Uniwersytetu Medycznego w Łodzi zaoferowano im specjalistyczną pomoc oraz sugerowano ewentualne oddanie dziecka do adopcji, odmawiając aborcji, zgodnie z obowiązującym prawem. Matka Felka, za namową aborcyjnych aktywistów z organizacji Federa, ze skierowaniem wystawionym przez psychiatrę, zaświadczającym o jej złej kondycji psychicznej ze względu na chorobę dziecka, udała się do gabinetu znanej z aborcjonistycznych poglądów i praktyk Gizeli Jagielskiej. Aborcjonistka „uwolniła ją" od „problemu" zagrażającego rzekomo jej zdrowiu i życiu, zabijając zdolnego do życia chłopca tuż przed datą planowanego porodu.

Ten zatrważający, choć niejedyny potwierdzony przypadek późnej aborcji jest jaskrawą ilustracją postępującej degradacji systemu ochrony życia dzieci nienarodzonych pod rządami tego samego, „zmartwionego" aborcją Tuska. Polska, do tej pory uznawana za wzór prawodawstwa pro-life, staje się de facto krajem nieskrępowanego dostępu do aborcji bez żadnych ograniczeń czasowych, jak to ma miejsce w niewielu krajach na świecie: w Korei Północnej, Chińskiej Republice Ludowej, Wietnamie i Kanadzie.

POGWAŁCENIE PRAWA

Jak to możliwe? Stało się to za sprawą bezprawnych, niezgodnych z konstytucją i ustawami „Wytycznych w sprawie obowiązujących przepisów prawnych dotyczących dostępu do procedury przerywania ciąży" wydanych 30 sierpnia 2024 r. przez ówczesną minister zdrowia Izabelę Leszczynę oraz, co gorsza, na skutek deklaracji i praktyk części lekarzy, w tym w szczególności wprzęgniętych w ideologiczną wojnę o najszerszy dostęp do aborcji lekarzy psychiatrów.

To, że wytyczne nie są w Polsce źródłem prawa i nie wpływają na jego kształt, nie jest wiedzą zarezerwowaną dla ekspertów. Od dwóch lat żyjemy jednak w państwie, w którym sam premier zadeklarował, że prawo będzie stosowane, tak jak „my je rozumiemy", a pani Leszczyna „wywnioskowała" z art. 4a Ustawy o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży, mówiącego, iż ciąża może zostać przerwana, gdy stanowi zagrożenie dla życia lub zdrowia kobiety ciężarnej, że należy go interpretować szeroko i rozciągnąć na zdrowie psychiczne matki. Nie była zresztą zbyt odkrywcza, gdyż podobny pogląd głosił pod koniec rządów PiS minister zdrowia Adam Niedzielski. Jego resort, przejęty pod koniec rządów PiS przez Katarzynę Sójkę już latem 2023 r., pracował nad podobnymi instrukcjami, ciesząc się w tym zakresie wsparciem rzecznika praw obywatelskich Marcina Wiącka i samego Jarosława Kaczyńskiego, który „zagrożenie dla zdrowia psychicznego kobiety w ciąży" nazwał „furtką do legalnej aborcji". Pisałam o tym w artykule „Zakamuflowana legalizacja aborcji na życzenie" opublikowanym w „Do Rzeczy" nr 33/2023.

Prawna ocena wytycznych Leszczyny jest miażdżąca. Prawnicy Instytutu Ordo Iuris w „Analizie Wytycznych w sprawie obowiązujących przepisów prawnych dotyczących dostępu do procedury przerywania ciąży" piszą o wytycznych jako o dokumencie zredagowanym bez żadnej podstawy prawnej, a tym samym

eprasa.pl e52cb26f6a

FOT. ADOBE STOCK

mocy prawnej nieposiadającym, wybiórczo traktującym przepisy i dokonującym ich proaborcyjnej interpretacji. Czytając go, można bowiem dojść do wniosku, że każda kobieta odczuwająca w ciąży dotkliwe dla niej dolegliwości, zwłaszcza dolegliwości psychiczne, ma prawo domagać się aborcji na podstawie uzyskanego od jednego psychiatry zaświadczenia. Wskazaniem do aborcji może być zatem cokolwiek, np. zaburzenia adaptacyjne dotykające wiele kobiet w stanie błogosławionym, a nie – jak chciał tego prawodawca, który traktował tę przesłankę wąsko – jako bezpośrednie zagrożenie dla utraty zdrowia czy życia w wyniku pogłębiającej się w czasie ciąży poważnej choroby.

Co gorsza, dokument sugeruje, że w przypadku zagrożenia stanu lub zdrowia matki aborcja jest czasowo nieograniczona. Skutkiem takiej właśnie interpretacji wytycznych jest sprawa Felka, zabitego w łonie matki w 37. tygodniu życia. Autorzy wytycznych zdają się całkowicie zapominać, że w Polsce obowiązują także ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty oraz Kodeks Etyki Lekarskiej, które nakładają na medyków obowiązek troski o dzieci poczęte, zwłaszcza te, które osiągnęły zdolność do życia poza organizmem matki (za granicę tę przyjmuje się 22. tydzień życia).

Prawnicy wskazują także na brzemienne w skutki dla ochrony nienarodzonych pomieszanie pojęć używanych w dokumencie. Sformułowanie „przerwanie ciąży" nie jest tożsame z pojęciem „aborcja", które w ogóle nie jest używane w polskich aktach prawnych. Przerwanie ciąży to w zamyśle ustawodawców „przerwanie relacji biologiczno-osobowościowej pomiędzy kobietą a dzieckiem poczętym" (przez cesarskie cięcie, wcześniejszy poród) po to, by ratować dziecko zdolne do życia lub objąć dziecko śmiertelnie chore opieką paliatywną. Aborcja oznacza natomiast intencjonalne zabicie dziecka i w przypadku dzieci zdolnych do życia poza łonem matki jest w Polsce co do zasady zakazana. Dlatego też 9 września br. Instytut Ordo Iuris złożył – jak sam pisze na swojej stronie internetowej: „po wnikliwiej analizie »wytycznych aborcyjnych« w świetle polskiego prawa" – zawiadomienie do prokuratury „o uzasadnionym podejrzeniu popełnienia przestępstwa podżegania do zabójstwa człowieka przez premiera Donalda Tuska i byłą Minister Zdrowia Izabelę Leszczynę". I to tym bardziej że – jak tłumaczy Ordo Iuris w owym zawiadomieniu – „Wytyczne" dopuszczają możliwość pozbawienia życia dziecka również na etapie, kiedy przysługuje mu już pełna ochrona życia na bazie przepisów Kodeksu karnego.

W wytycznych Leszczyny łamane są jednak nie tylko prawa nienarodzonych pacjentów. Próbuje się nimi ograniczyć wolność sumienia lekarzy, używając do tego finansowego szantażu, poprzez nakładanie na szpitale nieświadczące usług aborcyjnych ogromnych kar finansowych lub pozbawiając ich finansowania z NFZ, co stoi w całkowitej sprzeczności z polską konstytucją, definiującą wolność sumienia jako wartość pierwotną i niezbywalną każdego człowieka, czy np. rezolucją zgromadzenia parlamentarnego Rady Europy z 7 października 2010 r., w której podkreśla się, że nie wolno prawnie przymuszać szpitali do świadczenia usług aborcji i karać ich za odmowę ich wykonywania.

PANOWIE ŻYCIA I ŚMIERCI

Zgodnie z wytycznymi urzędników Donalda Tuska ciężar decyzji i odpowiedzialności moralnej oraz prawnej za zabicie dziecka w fazie prenatalnej zostaje zatem złożony na lekarzy psychiatrów. Stają się oni de facto panami życia i śmierci, a ich orzeczenia nie podlegają ani obowiązkowej konsultacji z innymi lekarzami, ani odwołaniu. Praktycznym poradnikiem, jak stosować zapisy ministerialnych wytycznych skierowanym do samych psychiatrów, ma być inny dokument: opublikowane przez Polskie Towarzystwo Psychiatryczne i krajowego konsultanta w dziedzinie psychiatrii „Wytyczne dla lekarzy psychiatrów, dotyczące wydawania orzeczenia stwierdzającego zagrożenie dla życia lub zdrowia kobiety ciężarnej jako przesłanki legalnego przerwania

eprasa.pl e52cb26f6a

ciąży" z 16 października 2024 r. Niestety, utrwalają one niezgodne z prawem i zasadami wykonywania zawodu lekarza tezy.

Jego krytycy podnoszą, że przy jego opracowaniu zabrakło szerokich konsultacji w środowisku psychiatrów, które jest mocno podzielone co do jego zawartości. Polemizujący z treścią psychiatrycznych wytycznych lekarze (treść udostępniono 30 kwietnia br. na stronie internetowej kwartalnika „Psychiatria") zarzucają mu wiele logicznych sprzeczności, jak np. to istniejące między wskazaniami, iż „poświęcenie życia dziecka poczętego musi być uzasadnione poważnym zagrożeniem dla zdrowia kobiety", zestawione z zaleceniem, iż zagrożenie to nie musi być bezpośrednie, i nie jest nawet konieczne, „by zagrożenie dla zdrowia kobiety ciężarnej w najbliższym czasie się urzeczywistniło ani też urzeczywistnienie to nie musi być nieuniknione choćby w dalszej perspektywie czasowej". Autorzy lekarskich wytycznych przyznają wręcz, że „nie da się z całą pewnością stwierdzić związku przyczynowo-skutkowego (zaburzenia psychicznego) z ciążą, gdyż zaburzenia psychiczne (zwłaszcza te ciężkie, np. psychotyczne) mają wieloczynnikową etiologię". W swoim pseudonaukowym tekście lekarze nie wskazują, jakimi narzędziami należy ustalać związek między przyczyną psychicznych problemów a ciążą. Kobieta zdeterminowana zabić swoje nienarodzone dziecko może zatem bez trudu manipulować oceną swojego stanu zdrowia przez psychiatrę, deklarując np. (zgodnie z sugestią autorów wytycznych), że w związku z podejrzeniem choroby u swojego dziecka ma uporczywe myśli samobójcze.

Lekarze psychiatrzy z Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego wskazują przede wszystkim na brak odwołań do „jakichkolwiek badań naukowych, w których przerywanie ciąży badane jest jako środek do zażegnania zdiagnozowanego zagrożenia, czyli w tym przypadku – wystąpienia czy nasilenia zaburzeń psychicznych". Co więcej, zwracają uwagę, że przeprowadzenie takich badań jest niemożliwe, ponieważ należałoby uznać „aborcję" za środek terapeutyczny w leczeniu zaburzeń psychiatrycznych, a na to zgody nie udzieli żadna komisja bioetyczna. Niedopuszczalna w rzetelnym wykonywaniu zawodu lekarza jest również presja, jaką wywiera się na psychiatrów, którzy decyzję o pozbawieniu człowieka życia w jego prenatalnej fazie mają podejmować jednoosobowo i niezwykle szybko, a także – jak zdaje się sugerować dokument – zgodnie z oczekiwaniami zainteresowanej takim orzeczeniem pacjentki.

Proaborcyjna ofensywa trwa. W dokumencie WHO z 2022 r., zawierającym zalecenia dla rządów w tej materii, czytamy m.in., że aborcja powinna być możliwa do końca ciąży na życzenie, że lekarze nie powinni móc korzystać w tym przypadku z klauzuli sumienia

Wszystkie te zapisy łamią polskie prawo i uniemożliwiają dochowanie staranności w wykonywaniu zawodu i stawianiu skomplikowanych, psychiatrycznych diagnoz, a lekarze stosujący się do nich narażają się na poważne konsekwencje z tytułu odpowiedzialności zawodowej i karnej. Mgliście zdefiniowana „przesłanka zagrożenia zdrowia psychicznego" jest zdaniem cytowanych medyków furtką do traktowania typowych, związanych z fizjologią ciąży, łagodnych i przejściowych zmian stanu psychicznego jako wystarczających do domagania się aborcji, która jest w tym przypadku po prostu aborcją „na życzenie".

PROABORCYJNA OFENSYWA

Jak sugerowałam to w moim artykule sprzed dwóch lat, Polska idzie śladem krajów, które z aborcji motywowanej ratowaniem zdrowia psychicznego matki uczyniły nie tyle furtkę, ile bramę do nieskrępowanej aborcji. Hiszpania, w której do 2010 r. aborcja była możliwa do końca ciąży z przesłanki zagrożenia zdrowia psychicznego kobiety, stała się celem aborcyjnej turystyki w Europie. Około 95 proc. ze 100 tys. aborcji rocznie było motywowanych właśnie przesłanką zagrożenia zdrowia psychicznego matki, ale odkąd wprowadzono w Hiszpanii prawo do aborcji na życzenie do 14. tygodnia, 90 proc. wszystkich przypadków aborcji motywowane jest już po prostu „niechęcią do bycia matką". W Wielkiej Brytanii z kolei, gdzie w 1967 r. poprawka wprowadzona do ustawy teoretycznie zakazującej aborcji dała prawo do przerwania ciąży w przypadku zagrożenia dla zdrowia psychicznego lub fizycznego matki, możliwość tę również traktuje się jak „aborcję na życzenie" legalną do 24. tygodnia ciąży, uzasadniającą 98 proc. z ok. 200 tys. aborcji każdego roku. Co więcej, na skutek skandalicznej i społecznie niepopularnej decyzji Izby Gmin z maja bieżącego roku kobieta, która dokona aborcji nawet w ostatnim dniu ciąży, nie będzie mogła być już pociągnięta do odpowiedzialności karnej za swój czyn. Paradoksalnie Francja, czyli kraj, który wpisał prawo do aborcji do swojej konstytucji, gdzie aborcja na życzenie jest legalna do 14. tygodnia ciąży, zdaje się wykazywać w tej materii większą wyobraźnię i wrażliwość. Poprawka forsowana przez skrajnie liberalne środowiska polityczne w czasie prac nad ustawą bioetyczną w 2020 r., zgodnie z którą przerwanie ciąży z powodów medycznych stałoby się możliwe ze względu na „trudności społeczno-psychiczne" ciężarnej, została ostatecznie odrzucona ze względu na subiektywność i nieostrość proponowanego kryterium. Przeciwnicy tej poprawki, często zwolennicy legalnej aborcji w innych przypadkach, wskazywali przede wszystkim, że jej przyjęcie doprowadziłoby do faktycznej legalizacji aborcji na życzenie do dziewiątego miesiąca ciąży.

Proaborcyjna ofensywa jednak trwa. W dokumencie WHO z 2022 r., zawierającym zalecenia dla rządów w tej materii, czytamy m.in., że aborcja powinna być możliwa do końca ciąży na życzenie, że lekarze nie powinni móc korzystać w tym przypadku z klauzuli sumienia, a tabletki poronne powinny być wysyłane do osób zainteresowanych pocztą po konsultacji telefonicznej…

„Mówię to z całym przekonaniem: aborcja musi pozostać wyjątkiem, ostatecznością w sytuacji bez wyjścia" – deklarowała 50 lat temu Simone Veil, autorka pierwszej ustawy dopuszczającej aborcję na życzenie we Francji. Miała rzekomo dobre intencje, ale tymi podobno wybrukowane jest piekło. Według danych WHO w roku 2024 aborcja stała się przyczyną śmieci ok. 73 mln dzieci nienarodzonych na całym świecie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e52cb26f6a

Śpiączka to choroba, a nie śmierć

o. Jacek Maria Norkowski OP

Władza nie może nakazać wszystkiego – np. może wprowadzać czas letni i czas zimowy, nie może jednak spowodować, żeby nie zmieniały się pory roku. Podobnie jeśli chodzi o życie i śmierć: nazywanie żywego organizmu martwym jest wykroczeniem poza zakres przynależny władzy, nie może obronić się na dłuższą metę

Na co dzień nie zastanawiamy się nad tym, co to jest śmierć. Wręcz przeciwnie, prawie każdy obywatel naszego kraju, wyłączając oczywiście małe dzieci i podobne grupy ludzi, zapytany o to, czy wie, co to jest śmierć, raczej wzruszy ramionami ze zdziwienia. Jak mógłby tego nie wiedzieć? Gdyby jednak zapytano go, czy wie o tym, że jest prawdopodobnie traktowany przez polskie państwo jako osoba, która chce być dawcą narządów, zdziwiłby się jeszcze bardziej. Ogromnej większości z nas nikt o to wcześniej nie pytał, więc skąd mogłaby się pojawić taka opinia, dotycząca każdej z tych osób, w tak ważnej sprawie i to bez jej wiedzy?

Problem w tym, że taka jest sytuacja prawna większości dorosłych obywateli naszego państwa. Jeśli ktokolwiek z nich będzie miał wypadek lub jakieś komplikacje zdrowotne, które spowodowały u niego utratę przytomności połączoną z wyłączeniem czynności nerwów w obrębie głowy oraz bezdechem, wtedy, w bardzo krótkim czasie, może być mu postawiona diagnoza śmierci na podstawie kryteriów neurologicznych, a następnie jego narządy mogą być pobrane w celu transplantacji. To prowadzi nas do następującego pytania: Skąd się wzięły nowe kryteria i definicje śmierci?

Lekarze przez wieki i tysiąclecia stosowali kryteria śmierci, które obecnie nazywamy krążeniowo-oddechowymi: uważano, że śmierć następuje w wyniku ustania czynności oddechowej i ustania czynności serca. Dokonuje się to w jakiś czas po ustaniu tych czynności. Aby mówić o śmierci pacjenta, zmiany zachodzące w jego organizmie w wyniku ustania krążenia i oddychania muszą stać się nieodwracalne. Znany amerykański neurolog, Alan Shewmon, jest zdania, że „jeśli chodzi o problem nieodwracalności zmian w organizmie, to czas trwania zatrzymania krążenia wymagany do wywołania całkowitej nieodwracalności jest bez wątpienia dramatycznie zależny od temperatury ciała. Z pewnością następuje przed wystąpieniem plam opadowych – livor mortis – lub stężeniem pośmiertnym – rigor mortis, które przy normotermii zwykle rozpoczynają się odpowiednio od ok. trzech minut do dwóch godzin i od dwóch do czterech godzin po zatrzymaniu krążenia… Nikt nie potrafi zgadnąć, o ile wcześniej". Powyższe prawdy nie są znane ogółowi ludzi, jednak nawet nie to jest problemem najważniejszym.

Istotne jest co innego, a mianowicie to, że wiele osób uważa, że skoro narządy pobiera się od dawców po ich śmierci, jak to zawsze publicznie twierdzą w mediach głównego nurtu oraz licznych publikacjach autorytety medyczne, moralne i wszelkie inne, to nie ma powodu, aby mieć jakiekolwiek zastrzeżenia do takiej praktyki. Pacjent zmarły „nie zabiera swoich narządów do nieba", jak to się górnolotnie stwierdza, lub też – już mniej górnolotnie – jego narządy się nie marnują i mogą posłużyć komuś innemu. Czy można tu mieć jeszcze jakieś zastrzeżenia?

Otóż tak. Nowe kryteria śmierci stosujemy bowiem wobec osób, które mają bijące serce i cały organizm działający normalnie, pomimo wystąpienia u nich śpiączki, braku odruchów z pnia mózgu, w tym – odruchu oddechowego. Osobnym problemem jest to, że kryteria te bywają stosowane w sposób mało restrykcyjny. Trzeba jednak zadać pytanie: Czy człowiek, którego organizm żyje, może być uznany za zmarłego? Praktyka stosowana w Polsce i prawie na całym świecie, z ważnymi jednak wyjątkami, do tego się sprowadza. Tu jednak musimy wyjaśnić, że oficjalna doktryna medyczna w Polsce i na świecie bardzo długo twierdziła, że ciała dawców są martwe i że są to „zwłoki z bijącym sercem". Określenie to, podobnie jak sama koncepcja tzw. śmierci mózgowej (ang. brain death), przyszło do Polski ze Stanów Zjednoczonych.

PRZEŁOMOWE ZNACZENIE „RAPORTU HARWARDZKIEGO"

Na pierwszej stronie tzw. raportu harwardzkiego z roku 1968 znajdujemy takie stwierdzenie: „naszym głównym celem jest zdefiniowanie nieodwracalnej śpiączki jako nowego kryterium śmierci". Oznacza to, że zgodnie z tym postulatem osoby będące w stanie nieodwracalnej śpiączki należy uznać za osoby zmarłe. W „raporcie harwardzkim" nie podano medycznego ani żadnego innego uzasadnienia tej tezy poza jednym – czysto utylitarnym. Zawarto je w następujących zdaniach: w szpitalach jest „rosnąca kategoria pacjentów, którzy »cierpią na trwałą utratę intelektu« z powodu »nieodwracalnego uszkodzenia« mózgu, co stanowi ogromne obciążenie »dla pacjentów […], ich rodzin, szpitali i tych, którzy potrzebują łóżek szpitalnych już zajętych przez tych pacjentów

eprasa.pl e52cb26f6a

w śpiączce«" oraz „przestarzałe kryteria definicji śmierci mogą prowadzić do kontrowersji w uzyskiwaniu narządów do przeszczepu". Domyślny argument zawarty w tych stwierdzeniach był czysto utylitarny: nie mamy miejsca w szpitalach dla przewlekle chorych w śpiączce (obecnie dotyczy to również chorych w stanie wegetatywnym, który po takiej śpiączce często występuje), a ponadto chcemy od tych chorych pobierać narządy bez zagrożenia oskarżeniem o pozbawienie ich życia. Taka utylitarna argumentacja, służąca popieraniu mózgowych kryteriów śmierci, jest ciągle aktualna i stosowana również w Polsce.

Zwróćmy jednak uwagę na jeszcze jeden problem. Wśród członków Komitetu Harwardzkiego, który liczył 14 osób, było tylko czterech neurologów, a żaden z nich nigdy nie zajmował się wybudzaniem pacjentów ze śpiączki, nie mówiąc już o tych członkach tego komitetu, którzy lekarzami nie byli. Od takiego gremium pochodzą neurologiczne kryteria śmierci i jej nowa koncepcja, które do dziś uważane są w kręgach medycznych nie tylko za obowiązujące, lecz także wręcz niepodlegające krytyce. Często zwraca na to uwagę w swoich wypowiedziach prof. Jan Talar, który jako lekarz wybudził kilkaset osób z ciężkich śpiączek i stanu wegetatywnego i który został ukarany zawieszeniem na rok prawa wykonywania zawodu przez sąd lekarski za publiczną krytykę prawdziwości koncepcji śmierci mózgowej.

Wszystko to wskazuje na spory problem w tak ważnej dziedzinie życia, którą jest medycyna. Jest ona sztuką, a także nauką, więc powinna się kierować wymogami nauki. Tymczasem „raport harwardzki" nie podał żadnego naukowego uzasadnienia nowych kryteriów śmierci, które wprowadził, lecz je po prostu zadekretował. Jak podkreśla wybitny logik, Józef Maria Bocheński, przedstawicielom nauki przysługuje autorytet epistemiczny, który posługuje się zdaniami, mówiącymi, że zachodzi taki a taki stan rzeczy. W naukach przyrodniczych stwierdzenia te mają charakter zdań obserwacyjnych oraz teorii, które na nich się opierają. Natomiast w „raporcie harwardzkim" znajdujemy dyrektywę głoszącą, że jego autorzy wyłącznie na mocy swojej decyzji będą od tej pory uważać pewną grupę pacjentów za osoby nieżyjące. Komitet Harwardzki zachował się tym samym jak autorytet zupełnie innego rodzaju niż autorytet naukowy, czyli epistemiczny. Takim autorytetem jest autorytet organów sprawujących władzę. Władza posługuje się autorytetem deontycznym, który polega na wydawaniu nakazów, mających charakter stwierdzeń, jak ma być. Żaden z tych autorytetów nie może zastąpić drugiego, ale też nie wolno mu udawać, że nim jest. Władza nie może nakazać wszystkiego – np. może wprowadzać czas letni i czas zimowy, nie może jednak spowodować, żeby nie zmieniały się pory roku. Podobnie jeśli chodzi o życie i śmierć: nazywanie żywego organizmu martwym jest wykroczeniem poza zakres przynależny władzy, nie może obronić się na dłuższą metę; nauka już dawno wypracowała kryteria, aby te dwa stany rzeczy od siebie odróżnić. Tutaj dochodzimy do głównego problemu, związanego z neurologicznymi kryteriami śmierci, zawartymi w „raporcie harwardzkim". Pretendują one do bycia naukowymi, ale nimi nie są.

KRYTYKA NEUROLOGICZNYCH KRYTERIÓW ŚMIERCI

Neurologiczne kryteria śmierci oraz koncepcja śmierci mózgowej od samego początku ich sfomułowania w „raporcie harwardzkim" spotkały się z krytyką pewnej grupy lekarzy, filozofów, etyków i teologów. Nie przeszkodziło to jednak w ich uznaniu za obowiązujące – i to zarówno w medycynie, jak i w systemach prawnych poszczególnych państw – kryteria śmierci, pomimo braku ich naukowego uzasadnienia. Brak tego uzasadnienia to nie tylko problem akademicki. To zarazem wielki problem moralny. Pacjenci, którzy są uznawani za zmarłych na podstawie kryteriów neurologicznych, mają żywe i zintegrowane organizmy, co musiała przyznać w USA w 2008 r. w swoim raporcie Rada Prezydencka do spraw Bioetyki. Rada odrzuciła nawet samo pojęcie śmierci mózgowej jako niesłuszne i zaproponowała na jego miejsce pojęcie całkowitej dysfunkcji mózgu (total brain failure). Przyczyniły się do tego liczne prace naukowe opublikowane przez Alana Shewmona i innych autorów, w których dowiedli oni, że ciała przyszłych dawców narządów są żywe i wewnętrznie zintegrowane jako organizmy, cała zaś koncepcja śmierci mózgowej nie wytrzymuje naukowej krytyki. Najsilniejszym argumentem są tu jednak historie pacjentów, którzy mieli orzeczoną śmierć, zgodnie z obowiązującymi w ich krajach wymogami medycznymi i prawnymi, a którzy potem, podobnie jak wielu pacjentów prof. Talara w Polsce, wybudzili się i powrócili do aktywnego życia. Notabene jeden z nich – Zack Dunlap – nie tylko przeżył, mimo postawionej mu diagnozy śmierci, lecz także potrafił powtórzyć to, co mówili członkowie komisji lekarskiej, którzy stwierdzili jego zgon.

Do takich faktycznych zdarzeń, które brzmią jak barwne opowieści, należy pewna historia ze Stanów Zjednoczonych. Oto ojciec George Pickering, obywatel stanu Teksas, z pistoletem w dłoni obronił swojego syna, który miał postawioną diagnozę śmierci mózgowej i dlatego respirator wspomagający jego oddychanie miał być odłączony. Po pewnym czasie synowi zaczęły powracać odruchy, co spowodowało, że przestał on spełniać kryteria śmierci mózgowej i dzięki temu przeżył. Ilu jednak pacjentów czegoś takiego nie przeżyło i zostało dawcami narządów lub po prostu umarło po wyłączeniu respiratora, za pomocą którego oddychali? Takich pacjentów są tysiące w każdym kraju i w każdym roku.

SYTUACJA PRAWNA W POLSCE

Ustawodawstwo ogromnej większości krajów świata zaakceptowało neurologiczne kryteria śmierci, uznając je za prawomocne. W Polsce pobieranie narządów do przeszczepów jest regulowane ustawowo. Regulują to następujące akty prawne: Ustawa z dnia 1 lipca 2005 r. o pobieraniu, przechowywaniu i przeszczepianiu komórek, tkanek i narządów, Ustawa z dnia 5 grudnia 1996 r. o zawodach lekarza i lekarza dentysty oraz dyrektywy Komisji Europejskiej. Definicja śmierci znajduje się w Załączniku do obwieszczenia Ministra Zdrowia z dnia 4 grudnia 2019 r. w sprawie sposobu i kryteriów stwierdzenia trwałego nieodwracalnego ustania czynności mózgu, którego autorów nie podano i który nie spełnia kryteriów źródła prawa, choć tak jest traktowany. Definicja ta brzmi następująco: „Śmierć jest to trwała utrata przytomności oraz trwała utrata wszystkich funkcji pnia mózgu. Może być spowodowana trwałym ustaniem krążenia lub krytycznym uszkodzeniem mózgu. W kontekście stwierdzania śmierci określenie »trwałe« oznacza utratę funkcji, która nie

eprasa.pl e52cb26f6a

może powrócić spontanicznie i nie będzie przywrócona na drodze interwencji".

Zauważmy, że w tej definicji, która ma uchodzić za naukową, śmierć utożsamiono z trwałą utratą przytomności. Jest to niewątpliwie odzwierciedleniem mentalności naszych czasów, w której życie ludzkie jest utożsamiane ze świadomością, a jej utrata – ze śmiercią. Ów postulat filozoficzny wywodzi się od Kartezjusza, Johna Locke'a oraz innych filozofów nowożytnych. Nie jest to jednak wniosek oparty na przesłankach z obszaru nauk przyrodniczych, do których zalicza się medycyna, a które ujmują fenomen życia dużo szerzej. Z punktu widzenia tych nauk życie to zdolność do przeciwstawiania się entropii, czyli chaosowi, przez układ zwany organizmem, co prowadzi do utrzymania w nim homeostazy, czyli wewnętrznej równowagi. Cechę taką posiadają dawcy narządów, którzy są pod opieką szpitalną, reagują na leki i mają stabilne krążenie, co stanowi warunek, aby można było pobrać od nich narządy. W celu poprawienia jakości tych narządów podaje się dawcom środki przeciwbólowe, co chyba jest najlepszym dowodem, że oni żyją i mają zdolność odczuwania bólu. Ponadto trzeba zauważyć, że poziomu świadomości u dawców narządów się po prostu dokładnie nie bada, gdyż z reguły nie stosuje się u nich nawet zwykłego badania EEG ani jego odmian, takich jak badanie ERP (event related potentials) czy też czynnościowego rezonansu magnetycznego. Warto też zauważyć, że z punktu widzenia wiary katolickiej człowiek jest osobą od momentu poczęcia aż do śmierci, i to oczywiście nie dlatego, że od początku swojej egzystencji posiada świadomość, lecz dlatego, że jest stworzony na obraz i podobieństwo Boże i od początku swojego istnienia posiada duszę nieśmiertelną, która stanowi o jego godności, określa wszystko to, czym on jest, i wszystkie jego działania.

W powyższej prawnej definicji śmierci zawarty jest jeszcze inny termin, czyli „ustanie wszystkich funkcji pnia mózgu". Przeczy temu jednak fakt, że u dawców narządów czynny jest ośrodek temperaturowy w pniu mózgu, ośrodek naczynioruchowy, tamże ulokowany, oraz zachowana jest czynność hormonalna podwzgórza i przysadki mózgowej. Od strony naukowej definicja śmierci, której podstawą są kryteria neurologiczne obowiązujące w Polsce, jest więc w rzeczywistości oparta na oczywistym fałszu.

Jeszcze bardziej zafałszowana jest rzekoma śmierć pacjentów, którzy mieli zachowany jakiś stopień świadomości, ale mają uszkodzony mózg i dlatego muszą korzystać z pomocy respiratora. Pacjenci ci niekiedy sami się zgadzają, lub też ktoś robi to w ich imieniu, na pozbawienie ich życia przez pobranie narządów. Następuje to po uprzednim odłączeniu respiratora i spowodowaniu zatrzymania akcji serca na pewien czas, który waha się od kilkudziesięciu sekund do kilku minut. W tym czasie komisja lekarska orzeka śmierć pacjenta, po czym z zastosowaniem aparatury ECMO przeprowadza się reintubację w celu uruchomienia na nowo wentylacji płuc. To z kolei może doprowadzić do resuscytacji (przywrócenie krążenia krwi i oddychania u osoby, u której wystąpiło nagłe zatrzymanie krążenia, oraz odzyskanie przez nią świadomości) dawcy podczas pobierania narządów i aby temu zapobiec, stosuje się podawanie środków znieczulających lub/i zatyka się tętnice wieńcowe oraz mózgowe w celu zablokowania dopływu krwi do serca i do mózgu. Widzimy więc, że u tych dawców zespół lekarski przywraca krążenie i oddychanie oraz aktywnie walczy o to, aby funkcja mózgu, zwłaszcza świadomość, nie została przywrócona. W takiej sytuacji trudno jednak poważnie mówić o śmierci dawcy.

Mentalność naszych czasów charakteryzuje się tym, że życie ludzkie jest utożsamiane ze świadomością

CZY WOLNO NAM MILCZEĆ?

Zachodzi pytanie, czy w takiej sytuacji wolno nam nie reagować. Badania socjologiczne wykazały, że w krajach Zachodu 20–40 proc. obywateli nie wierzy w słuszność nowych kryteriów śmierci, pomimo stałej propagandy medialnej głoszącej co innego. Niemniej jednak nowe kryteria śmierci mogą być wobec nich stosowane. Jedyne wyjątki od tej reguły to stan New Jersey w Ameryce oraz Japonia. W tych krajach ustawodawstwo nie zezwala na stosowanie innych niż tradycyjne kryteria śmierci, jeśli dany chory lub jego rodzina nowych kryteriów nie uznają. Odmienność sytuacji prawnej w tych krajach w stosunku do reszty świata jest wynikiem wielkiej mobilizacji społecznej, która spowodowała powstanie oporu wobec nowych koncepcji śmierci, którego motorem byli ortodoksyjni żydzi w stanie New Jersey i wyznawcy religii shinto w Japonii.

Takiego oporu nie było natomiast ani wśród protestantów, ani wśród katolików, choć to właśnie Kościół katolicki ma wypracowaną doktrynę filozoficzną i moralną, na podstawie której jasno widać, że nowe kryteria śmierci są fałszywe i nie powinny być stosowane. Jan Paweł II zaakceptował warunkowo neurologiczne kryteria śmierci w roku 2000, ale de facto odrzucił je dwa miesiące przed swoją śmiercią w roku 2005, w przemówieniu do uczestników sympozjum Papieskiej Akademii Nauk pt. „The Signs of Death". Efektem tego sympozjum jest książka wydana pod auspicjami Roberta de Mattei „Finis Vitae. Is »brain death« true death?", której autorzy odrzucili nowe kryteria i definicje śmierci.

Pozostaje nam apelować, aby zagadnienie to wróciło do świadomości współczesnych Polaków wraz z wiedzą o tym, jak można skutecznie leczyć osoby w śpiączce, u których z reguły rozwijają się obrzęki mózgu, z zastosowaniem kraniektomii i hipotermii terapeutycznej, gdy nie wystarcza leczenie farmakologiczne. O tym pisali prof. Jan Talar w swoich publikacjach książkowych oraz autor niniejszego artykułu, nie mówiąc już o licznych publikacjach na ten temat w piśmiennictwie światowym.

Przywróćmy chorym w śpiączce – a towarzyszy jej brak zdolności samodzielnego oddychania – status chorych, którym należy się leczenie. Może ono przywrócić do aktywnego życia ponad 60 proc. z nich i nie składajmy ich na ołtarzu transplantologii. Postarajmy się o ustanowienie klauzuli religijnej i etycznej, zabraniającej stosowania nieprawdziwych kryteriów wobec tych obywateli i członków ich rodzin, którzy je negują. Nie wolno nam poświęcać jednej grupy chorych dla ratowania innej, chyba że odmawiamy tej pierwszej praw przysługujących wszystkim ludziom. Komu jednak wolno tak postąpić?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dominikaninem, doktorem nauk medycznych.

eprasa.pl e52cb26f6a

Gdzie jest w Kościele miłość Boga

Paweł Chmielewski

Kościół to w oczach wielu postsekularnych niewierzących wielka i dziwaczna organizacja charytatywna. Źle się dzieje, kiedy staje się taki sam również we własnych oczach – zapominając, że oprócz troski o ubogich musi też głosić miłość do Pana Boga

FOT. ALESSIA GIULIANI/HANS LUCAS AGENCY/FORUM

Papież Leon XIV 9 października opublikował pierwszą adhortację apostolską, „Dilexi te". Dokument jest specyficzny, bo w części napisał go papież Franciszek – to on wymyślił jego tytuł i to on określił zasadniczą treść tekstu. Adhortacja mówi o miłości względem ubogich. Tekst został zasadniczo dobrze przyjęty na całym świecie, nawet przez środowiska konserwatywne i tradycjonalistyczne. Inaczej niż w przypadku wielu dokumentów wychodzących spod ręki samego Franciszka nie zawiera żadnych wątpliwych teologicznie miejsc. Rodzi się jednak pytanie: Czy Kościół nie skupia się za bardzo na ubóstwie? Choć w pierwszej chwili może to brzmieć dziwnie, to wytłumaczę, w czym rzecz.

Troska o ubogich zawsze stanowiła istotny element życia chrześcijańskiego. Już w pierwszych wiekach po Chrystusie Kościół szeroko rozwijał działalność charytatywną, czemu poganie najpierw się dziwili, a czego później zazdrościli. Kiedy cesarz Julian Apostata próbował dokonać restytucji dawnych kultów, zaczął tworzyć system pomocy dla biednych i cierpiących, alternatywny względem chrześcijańskiego. Miłość bliźniego przybierała strukturalne formy charytatywne w świecie chrześcijańskim również w kolejnych wiekach i tak jest aż do dzisiaj. Jak się popularnie mówi, post, modlitwa i jałmużna są „filarami" pokornego życia, co znajduje swój wyraz w praktykach podejmowanych przez wierzących w okresach postnych, adwencie czy wielkim poście. Niemniej jednak pomoc bliźniemu nie może zastępować jeszcze bardziej pierwotnego powołania chrześcijanina – miłości samego Boga. Chrystus uczył wyraźnie, że miłowanie Stwórcy jest najważniejszym z przykazań. Z tego napięcia zdaje sobie sprawę również Leon XIV, kiedy w „Dilexi te" pisze krytycznie, że niektórzy chrześcijanie lekceważą działalność charytatywną, mówiąc, że zadaniem Kościoła jest „modlić się i nauczać prawdziwej doktryny". Papież słusznie zauważa, że to absurdalne zawężenie, które kryje w sobie niekatolicką „światowość". Problem w tym, że – jakby wbrew jego słowom – dziś chrześcijaństwo bywa coraz częściej sprowadzane do wyłącznie charytatywnego wymiaru. Miłość Boga, modlitwa i nauczanie prawdziwej doktryny zdają się tracić wartość.

Przyczyny tego stanu rzeczy, jak zwykle, są bardzo złożone. Nade wszystko chodzi o błędne założenia filozoficzne, które przeniknęły również do teologii. Oświecenie ze swoim skrajnym racjonalizmem nie chciało widzieć w religii niczego, co nadprzyrodzone. W efekcie wyprodukowało chrześcijaństwo naturalistyczne – wszystko, co niewidzialne, wkładano między bajki jako mity, mniej lub bardziej żywotne, ale ostatecznie pozbawione znaczenia. Pozostawały tylko namacalne przejawy religii. W przestrzeni osobistej stały się nimi emocje – doznania i przeżycia, które są łatwo uchwytne. W przestrzeni publicznej religia została sprowadzona do funkcji socjalnych – gwarantuje spójność społeczną, poprzez groźby kar wiecznych zmniejsza skalę przestępczości, a dzięki obiecywanym nagrodom promuje

eprasa.pl e52cb26f6a

wzajemną pomocniczość. Wprawdzie naturalizm w religii został potępiony przez wielu papieży, razem z innymi błędami tzw. modernizmu, ale faktycznie nie został wcale przezwyciężony.

Po drugiej wojnie światowej wkraczał do Kościoła wraz z fascynacją marksizmem, której uległa znaczna część duchownych i świeckich w bardzo wielu krajach o katolickiej tradycji. Swój skrajny wyraz znalazło to w latynoamerykańskiej teologii wyzwolenia, czyli prądzie, który sprowadzał chrześcijaństwo do rewolucyjnego czynu społecznego. Tak rozumiana teologia wyzwolenia została odrzucona przez Kościół. W 1984 r. kard. Józef Ratzinger opublikował obszerną instrukcję, która wskazywała na konkretne błędy, podkreślając również kilka aspektów w myśli teologów wyzwolenia, które – po odpowiednim oczyszczeniu – mogłyby zostać włączone do szerszej katolickiej refleksji. Papieże zdecydowali, że jednym z nich będzie tzw. opcja preferencyjna na rzecz ubogich, oparta na dorobku spotkań konferencji Episkopatu Ameryki Łacińskiej w Medellin (1968) i Aparecidzie (2007). Proces włączania „opcji" do katolickiego nauczania bywa krytykowany, bo część komentatorów uważa, że w praktyce nie da się jej oddzielić od jej marksistowskich korzeni.

Nie są to obawy bezpodstawne. Problem dotyczy już samego postawienia sprawy: Czy ubodzy naprawdę mogą być „preferowani" względem innych? Dlaczego to właśnie materialne ubóstwo powinno być tym, co niejako priorytetowe w działalności Kościoła? Czy takie wyjątkowe docenienie biedy w życiu chrześcijan nie jest jednak nieusuwalnie zakotwiczone w materialistycznym marksizmie i stąd strukturalnie niekatolickie? Jan Paweł II, Benedykt XVI, Franciszek i Leon XIV uznali najwyraźniej, że nie. Z teologii wyzwolenia pozytywne aspekty starał się też wydobywać zwykle niepodejrzewany o żadne skłonności progresywne kard. Gerhard Ludwig Müller, były prefekt Kongregacji Nauki Wiary. Sprawa pozostaje jednak sporna. W tym aspekcie adhortacja „Dilexi te", która przyjmuje opcję preferencyjną na rzecz ubogich bez żadnych zastrzeżeń, będzie niewątpliwie prowokować intensywne spory.

Dalece istotniejszy wydaje mi się jednak drugi, jeszcze szerszy problem. Od dłuższego czasu nauczanie Kościoła katolickiego niemal całkowicie skupia się na pomocy materialnej – zarówno w aspekcie wsparcia ubogich, jak i np. troski o środowisko naturalne, co w takich dokumentach jak „Laudato si" Franciszka jest zresztą ściśle powiązane z problemem biedy i wykluczenia ekonomicznego. Kiedy jednak jako Kościół zwrócimy się z równym zaangażowaniem ku miłości Boga? To niebezpieczne zawężenie może wiązać się z wpływem, który wywarła na teologię posoborową myśl niemieckiego jezuity, Karla Rahnera (zm. 1984). Teologia Rahnera przez długi czas uchodziła za niezwykle nowatorską i jakby uszytą na miarę trudnych pod względem kultury duchowej czasów, w których przyszło funkcjonować Kościołowi katolickiemu. Oprócz elementów intelektualnie ciekawych zawiera jednak niemałą liczbę myśli po prostu głęboko błędnych.

Do jednej z nich można chyba zaliczyć koncepcję identyczności miłości bliźniego z miłością Boga. Rahner uważał za możliwe przyjąć, że człowiek niewierzący – i to niewierzący na skutek świadomej decyzji, np. zadeklarowany ateista – wchodzi jednak w przestrzeń zbawienia właśnie ze względu na miłość bliźniego. W praktycznym akcie takiej miłości, niechby była nim jałmużna czy inna forma pomocy charytatywnej, jeżeli tylko jest on spełniany rzeczywiście ze względu na drugiego człowieka, zawierałaby się w sposób konieczny miłość Boga. Ten zatem, kto odrzuca wiarę katolicką, ale pełni mimo tego dzieła miłosierdzia, mógłby uzyskać zbawienie, bo miłość bliźniego byłaby nieuświadomionym, ale faktycznym otwarciem na miłość Boga. Nie potrzeba zatem wprost spełniać Chrystusowego przykazania miłości Boga – wystarczy miłość bliźniego. Domyślana do końca ta koncepcja teologiczna musi siać wielkie spustoszenie.

Dlaczego troszczyć się o nawracanie kogokolwiek, skoro idea Boga i tak jest niepopularna? Wystarczy przekonać ateistów czy agnostyków do humanistycznej etyki odpowiedzialności społecznej i wszystko załatwione. Po co głosić Ewangelię żydom, buddystom albo muzułmanom? Jeżeli pełnią dzieła miłosierdzia w zgodzie z nakazami swojej religii i chcą szczerze pomóc biednym, to jakoby otwiera się dla nich zbawienie, choćby Chrystusa nie tylko nie znali, lecz także nawet świadomie odrzucali. Rahnerowska koncepcja wiele ułatwia: dialog międzyreligijny może kwitnąć, sprowadzany do wspólnych inicjatyw w dziedzinie ochrony środowiska dla dobra przyszłych pokoleń czy walka z głodem w Afryce. Na jej gruncie łatwo pogodzić się z tym, że państwa na Zachodzie budują system społeczny, tak jakby Boga nie było – o ile tylko obowiązuje w nich szeroko zakrojony system redystrybucji, który w zadowalającym stopniu niweluje nierówności ekonomiczne. Zbawienie staje się dostępne dla każdego, kto jest „dobry", a „dobrym" jest ten, kto pomaga, choćby w nic nie wierzył. Nietzscheański człowiek obłąkany z „Wiedzy radosnej" może biegać po ulicach i wołać, że ludzie zabili Boga. Ale na co komu Bóg – odpowie mu humanistyczny chrześcijanin – skoro są świadczenia socjalne?

Ktoś powie, że to jakaś nadinterpretacja i miłość bliźniego nie przysłania wcale miłości Boga. Czy na pewno? W jakim stanie jest dziś doktryna katolicka? W jakim stanie znajduje się liturgia? Kiedy papież Franciszek w 2020 r. ogłosił encyklikę „Fratelli tutti", znany włoski ateista i filozof Salvatore Natoli napisał, że tekst bardzo mu się podoba – jest tak bardzo etyczny i charytatywny, że mógłby się pod nim podpisać. Dziwił się jednak, że nie ma w nim Boga – tak jakby chrześcijaństwo całkowicie zrezygnowało z głoszenia prawdy o zbawieniu. Sądzę, że żaden wyznawca radykalnej teologii wyzwolenia ani żaden szczery rahnerysta nie zgodziłby się z krytyką włoskiego myśliciela. Uznałby raczej, że Natoli nie zrozumiał, na czym polega „prawdziwe chrześcijaństwo" – bo to jakoby wcale nie wiara, modlitwa, liturgia ani kult. To po prostu postawa miłosiernego Samarytanina, nic więcej.

Nie twierdzę, że adhortacja „Dilexi te" wchodzi w ten groźny strumień pewnym krokiem, ale jestem pewien, że wielu na Zachodzie tak ją zinterpretuje. Mam dlatego nadzieję, że Kościół w naszych czasach w nieco większej mierze będzie „modlić się i nauczać prawdziwej doktryny", nie zaniedbując oczywiście nakazanej przez Ewangelię troski o ubogich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl e52cb26f6a

Filip Memches

RYS. NIKLAS ELMEHED © NOBEL PRIZE OUTREACH

Spośród polskich reakcji na tegoroczny werdykt dotyczący Pokojowej Nagrody Nobla warto odnotować tekst zamieszczony na portalu Więź. Laureatce, którą jest wenezuelska opozycjonistka, dostało się w tym medium za „kontakty ze środowiskiem ekstremalnej i faszystowskiej prawicy”

Kogo uwiera noblistka

Decyzje dotyczące tego, kto zostaje laureatem Pokojowej Nagrody Nobla, nieraz wywołują kontrowersje. Tak się stało i w roku bieżącym. Norweski Komitet Noblowski uhonorował wenezuelską polityk opozycyjną Maríę Corinę Machado. Śledząc pierwsze reakcje na ten werdykt, można było odnieść wrażenie, że liberalny mainstream polityczny i medialny jest zadowolony. Prztyczek w nos dostał bowiem szwarccharakter wszelkiej maści progresistów – Donald Trump. Prezydent USA liczył bowiem na to, że jego inicjatywy dyplomatyczne w sprawie konfliktu bliskowschodniego zostaną docenione na tyle, że dołączy on do grona pokojowych noblistów. Musiał się jednak obejść smakiem.

Szkopuł w tym, że wielu osobom zadowolonym z tego, że Trump nagrody nie dostał, przyszło również przełknąć gorzką pigułkę, gdy się dowiedziały, kim jest tegoroczna laureatka pokojowego Nobla (sporo z nich wcześniej nie miało o niej żadnego pojęcia). 58-letnia María Corina Machado jest byłą deputowaną do wenezuelskiego Zgromadzenia Narodowego. W roku 2014 została pozbawiona mandatu parlamentarzystki po tym, gdy potępiła łamanie praw człowieka w Wenezueli na forum Stałej Rady Organizacji Państw Amerykańskich. Następnie straciła bierne prawo wyborcze. Machado występuje przeciw socjalistycznemu reżimowi, ustanowionemu ćwierć wieku temu przez Hugona Cháveza, którego następcą po jego śmierci został Nicolás Maduro. Choć formalnie system wenezuelski zachowuje mechanizmy demokratyczne, to faktycznie jest to autorytaryzm.

Bogactwo Wenezueli stanowi ropa naftowa. Chávez upaństwowił więc przemysł wydobywczy, tym samym mocno ograniczając wpływ na tę gałąź gospodarki zagranicznych koncernów – zwłaszcza tych ze Stanów Zjednoczonych. Tym samym zademonstrował, że zamierza być całkowicie niezależny od USA. Maduro kontynuuje tę linię. Wenezuela geopolitycznie gra po stronie państw Globalnego Południa. Popiera na arenie międzynarodowej Chińską Republikę Ludową i Federację Rosyjską.

Polityka Cháveza i Madury nie uczyniła Wenezueli krajem dobrobytu. Hiperinflacja, bezrobocie, ubóstwo stały się tam zarzewiem masowych protestów społecznych, włącznie ze starciami ulicznymi. Opozycja podejmowała również próby zmiany władzy siłą. Bez powodzenia.

Wracając do Maríi Coriny Machado, jej stanowisko rozmija się z agendą lewicowo-liberalnych środowisk Zachodu. Znamienne było to, co napisała ona na X po tym, gdy obwieszczono, że to jej przypadnie laur przyznawany przez Norweski Komitet Noblowski: „Nagrodę tę dedykuję cierpiącemu narodowi Wenezueli oraz prezydentowi Trumpowi za jego zdecydowane wsparcie naszej sprawy!”.

Tak więc można powiedzieć, że Machado to w jakimś sensie (bo – jak się okaże dalej – nie w każdym) trumpistka. Uchodzi za konserwatystkę, choć w kwestiach światopoglądowych – takich jak prawo do aborcji czy instytucjonalizacja związków jednopłciowych – wydaje się elastyczna. Jest rozwiedzioną matką trojga dzieci. Niemniej deklaruje katolicyzm.

Natomiast co do innych spraw stanowisko Machado kojarzy się z okresem zimnej wojny, gdy Ameryka Łacińska była polem geopolitycznej i ideologicznej rywalizacji USA ze Związkiem Sowieckim. Noblistka jest zwolenniczką prywatyzacji wenezuelskiego przemysłu wydobywczego i otwarcia Wenezueli na współpracę ekonomiczną ze Stanami Zjednoczonymi. Taki prywatyzacyjny kurs w gospodarce obrał choćby pół wieku temu prezydent Chile Augusto Pinochet, gdy zaczął sprzątać swój kraj po socjalistycznych reformach Salvadora Allendego. Jeśli chodzi o podejście do zagadnień ekonomicznych, to Machado podąża śladami premier Wielkiej Brytanii z lat 1979–1990 Margaret Thatcher. Dlatego wenezuelską polityk porównują do Żelaznej Damy.

TRUMPIZM TO NIE THATCHERYZM

Spośród polskich reakcji na tegoroczny werdykt Norweskiego Komitetu Noblowskiego warto odnotować tekst zamieszczony na portalu Więź, w medium związanym z warszawskim Klubem Inteligencji Katolickiej. I tak dla dwojga autorów – socjologów: Moniki Kostery i Jerzego Kociatkiewicza – przyznanie lauru Machado to „upadek Pokojowej Nagrody Nobla”.

eprasa.pl e52cb26f6a

z Wenezueli?

Przypuszczalnie to nie pierwsza i nie ostatnia decyzja Norweskiego Komitetu Noblowskiego, która spotyka się z taką oceną. Można się domyślać, że Wenezuelka po prostu reprezentuje opcję polityczną – mówiąc delikatnie – nieodpowiadającą dwojgu polskich uczonych. Zresztą swoim lewicowym poglądom dali oni wyraz choćby w tym fragmencie tekstu: „Aktywistka nie odmówiła przyjęcia nagrody, mimo że nie zajmuje się budowaniem pokoju. Przeciwnie, wielokrotnie wzywała Stany Zjednoczone, a także Izrael [sic!], do użycia siły wobec swojego kraju. Popiera izraelskie ludobójstwo na Palestyńczykach i ogłosiła, że jest wdzięczna za to, co prezydent Trump czyni dla światowego pokoju […]. A jej ruch polityczny utrzymuje kontakty ze środowiskiem ekstremalnej i faszystowskiej prawicy”.

Kostera i Kociatkiewicz oznajmili, że nie trzeba być zwolennikiem reżimu Madury, żeby uważać przyznanie Machado pokojowego Nobla za problematyczne. Przytaczają oni opinię „szanowanej przez polskich liberałów” amerykańskiej publicystki i eseistki Rebekki Solnit, która oświadczyła, że wolałaby, żeby nagrodzona została „osoba działająca na rzecz klimatu” lub jakaś „opozycyjna wenezuelska feministka”.

Kiedy autorzy tekstu wskazują, że Machado nie działa na rzecz pokoju, to trudno ich zdaniu zaprzeczyć. Zasługi wenezuelskiej polityk odnoszą się do tego, co się dzieje wewnątrz jej kraju, a nie w stosunkach międzynarodowych. Oczywiście trzeba oddać Machado sprawiedliwość, że dzielnie walczy z socjalistyczną dyktaturą. Wojuje jednak o demokrację podporządkowaną interesom podmiotów czerpiących polityczne i ekonomiczne zyski z globalnego kapitalizmu, który, paradoksalnie, w USA jest ostro krytykowany przez Donalda Trumpa i jego zwolenników – z nacjonalistycznych czy, precyzyjniej rzecz ujmując, suwerenistycznych pozycji, za szkody wyrządzone gospodarce Stanów Zjednoczonych.

W II RP komuniści próbowali uwodzić katolików, odwołując się w bałamutny sposób do idei sprawiedliwości społecznej i egalitaryzmu

Prawicowość Machado nie tylko kojarzy się zatem z zimną wojną, lecz także stanowi wręcz relikt drugiej połowy XX w., kiedy prym na Zachodzie wiedli tacy politycy, jak wspomniana Margaret Thatcher. A trumpizm to przecież nie thatcheryzm. W latach 80. amerykańscy republikanie (jak ówczesny prezydent USA Ronald Reagan) i brytyjscy konserwatyści byli zwolennikami otwartej globalnej wymiany handlowej. Wdrażali rozwiązania deregulacyjne. Z upływem czasu spowodowały one jednak, że wielką produkcję przemysłową korporacje zachodnie zaczęły przenosić do krajów Globalnego Południa. Wzmocniło to zwłaszcza Chiny komunistyczne, które na tych przenosinach się wzbogaciły. Teraz Trump chce odkręcać ten proces, wprowadzając elementy protekcjonizmu ekonomicznego. Co nie znaczy, że byłby przeciwny nowemu thatcheryzmowi w Wenezueli. Gdyby USA miały na prywatyzacji wenezuelskiego przemysłu wydobywczego gospodarczo skorzystać, gospodarz Białego Domu tylko by temu przyklasnął, powtarzając swoje hasło: „Drill, baby, drill” („Wierć, kochanie, wierć”). Nie czarujmy się, Trump ma do Wenezueli nastawienie kolonizatora, a Machado chce mu wyjść naprzeciw.

MANOWCE DIALOGU Z RADYKALNĄ LEWICĄ

Jeśli zaś chodzi o tekst Moniki Kostery i Jerzego Kociatkiewicza, to jest to jedyny komentarz do tegorocznej Pokojowej Nagrody Nobla, który opublikował portal Więź. Można zatem wnioskować, że redakcja owego medium zgadza się z lewicowym przesłaniem dwojga socjologów. I to jest kolejne świadectwo tego, do czego prowadzi otwartość części środowisk katolickich na progresywne narracje – takie jak klimatyzm czy feminizm – wychwalane przez autorów tekstu. Więź – choćby i mimowolnie – przejmuje agendę, którą serwują środowiska wrogie Kościołowi katolickiemu, postrzeganemu przez nie jako „patriarchalna” instytucja konserwatywna.

To, rzecz jasna, nie jest problem nowy. W Polsce owo zjawisko sięga okresu międzywojennego, choć oczywiście w II Rzeczypospolitej była inna sytuacja niż dziś. Zagrożenie dla Kościoła stanowił przede wszystkim sowiecki komunizm. Kwestię tę poruszał w swoich esejach choćby filozof Marian Zdziechowski. W II RP kręgi katolickie były infiltrowane przez będących sowiecką agenturą komunistów. Podatny grunt dla tych działań stanowiły naiwne, pięknoduchowskie interpretacje Ewangelii. Komuniści próbowali uwodzić katolików, odwołując się w bałamutny sposób do idei sprawiedliwości społecznej i egalitaryzmu. Przed takimi właśnie zabiegami ostrzegał Polaków Zdziechowski.

Z perspektywy redakcji Więzi porównywanie sowieckiego komunizmu z klimatyzmem czy feminizmem jest przypuszczalnie czymś kuriozalnym. Zachodnia radykalna lewica nie ma przecież na swoim koncie masowych okrutnych zbrodni, które obciążają wschodni czerwony totalitaryzm. Rzecz w tym, że nie o metody forsowania swoich projektów toczy się spór, a o mieszanie ludziom w głowach. Poza tym, jeśli się weźmie pod uwagę bojowanie feministek o prawo do aborcji, to ich działalność nie może być uznawana za niewinną. Katolicy powinni dzieciobójstwo prenatalne nazywać po imieniu.

Tymczasem połajanki Więzi pod adresem Maríi Coriny Machado to sugestia, że jedyną drogą wyzwolenia Wenezueli spod socjalistycznej dyktatury jest aktywność ruchów dążących do obalenia „patriarchatu”, który zresztą Kostera i Kociatkiewicz wskazują wprost jako zło. A więc jedną lewicę ma zastąpić inna. I w tym kontekście wenezuelską noblistkę – przy wszelkich zastrzeżeniach do jej anachronicznego thatcheryzmu i dość względnego konserwatyzmu – wypada wziąć w obronę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e52cb26f6a

Trzysta lat najsłynniejszych schodów świata

Piotr Semka z Rzymu

Zbudowali je Francuzi, zgodę na budowę wydali włoscy papieże, zdobią Rzym, a i tak wszyscy nazywają je Schodami Hiszpańskimi, choć z Hiszpanią nie mają wiele wspólnego

Scalinata di Trinità dei Monti, czyli Schody Hiszpańskie, mają 300 lat. Podziwiali je ze swego domu w Wiecznym Mieście angielscy romantycy John Keats i Percy Shelley. W ich pobliżu mieszkała w Rzymie nasza królowa Marysieńka Sobieska, a nieco dalej, na via Sistina 123, swoją rzymską pracownię rzeźbiarską miał Cyprian Kamil Norwid. Malownicze schody opiewali w swej poezji Cesare Pavese, Richard Wilbur i Malcolm Guite. Federico Fellini oddał im hołd w swoim filmie o Rzymie i śpiewał o nich Bob Dylan.

A MOŻE SCHODY ANGIELSKIE?

Z balkonu domu Johna Keatsa można oglądać leniwy ruch przechodniów i turystów w górę i w dół. Tylko schody w Odessie są wyższe. Za to te rzymskie są najbardziej oblegane przez przybyszy z całego świata.

I właśnie w domu Keatsa-Shelleya na Piazza di Spagna 28 podziwiać można ekspozycję sztychów, grafik i obrazów podsumowujących trzy stulecia tej mistrzowskiej kompozycji przestrzennej. W sumie to logiczne. Każdy wykształcony Brytyjczyk pielgrzymuje tu zobaczyć to muzeum i zachowane do dziś łóżko, na którym Keats umarł 23 lutego 1821 r. Poeta miał z okna widok na plac Hiszpański i jego słynne schody.

Tuż obok znajduje się czynny do dziś salon herbaciany Babington. To prawdziwa oaza angielskości dla synów Albionu błądzących po Wiecznym Mieście. Założycielkami firmy w 1893 r. były Isabel Cargill i Anna Maria Babington. Dwie Angielki z zamożnych rodzin wcieliły w życie zamiar otwarcia herbaciarni i czytelni z londyńską prasą dla licznych Anglosasów mieszkających w stolicy Włoch.

W „Rzymskich wakacjach" Audrey Hepburn jako księżniczka na wagarach zajada na Schodach Hiszpańskich wspaniałe włoskie lody FOT. PARAMOUNT PICTURES

eprasa.pl e52cb26f6a

Wzgórze Pincio w XVII w.
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Anna Maria była potomkinią Anthony'ego Babingtona, katolika formalnie udającego protestanta, który w 1586 r. zawiązał spisek dla zgładzenia królowej Elżbiety, osadzenia na tronie Marii szkockiej i przywrócenia katolicyzmu jako państwowej religii w Anglii. Spisek wykryto, a „papista" Babington został powieszony.

Przedsiębiorcza Anna Maria uczciła przodka, nazywając lokal rodowym nazwiskiem, i Anglicy zyskali w Rzymie miejsce, gdzie można było raczyć się ich ulubionym naparem. Przedtem herbatę sprzedawano w Rzymie wyłącznie w aptekach, jako lekarstwo na dolegliwości żołądkowe. Pierwotnie herbaciarnia znajdowała się przy Via Due Macelli (bocznej uliczce Piazza di Spagna), ale jej nieoczekiwany sukces zmusił dwie młode Angielki do przeniesienia jej do obecnej lokalizacji na Piazza di Spagna numer 28, na parterze XVIII-wiecznego budynku.

Co ciekawe, herbaciarnia działała bez przerwy nawet w czasach drugiej wojny światowej, gdy Anglia formalnie była wrogiem imperium Mussoliniego.

FRANCUSKA PYCHA, PAPIESKA DUMA

A z hiszpańskością placu i schodów to było tak… Obie nazwy wzięły się od Palazzo Monaldeschi – ambasady Hiszpanii przy Stolicy Apostolskiej, która działała na Piazza di Spagna nieprzerwanie od 1647 r. aż do 1947 r., czyli dokładnie trzy stulecia. Dyplomatyczne przedstawicielstwo królów Hiszpanii dało nazwę placowi, a ten z kolei nazwie schodów.

Ale schody tak naprawdę wymyślili i ufundowali Francuzi. Tyle że w szczegółach zaprojektował je Włoch. To przybysze z Galii upatrzyli sobie rzymskie wzgórze Pincio jako swoje włości nad Tybrem. Wybudowany na szczycie wzniesienia kościół Trinità dei Monti, czyli Świętej Trójcy na Wzgórzu, został ufundowany przez francuskiego króla Karola VIII i po jego śmierci stał się dziedziczną własnością władców z Paryża. Nawet dziś formalnie świątynia jest własnością Republiki Francuskiej. Cały szczyt wzgórza nazywany był przez rzymian z tego powodu Francją. Potem na tym samym wzgórzu powstanie w XIX w. kolejna instytucja ufundowana ze szkatuły królów spod znaku lilii – Akademia Francuska mająca kształcić w Rzymie malarzy i drzeworytników.

Ale wróćmy do francuskiego kościoła w papieskim Rzymie. Do końca XVII w. świątynia ta stała na wysokim wzgórzu porośniętym krzakami. Szlachetnie urodzeni narzekali, że ryk wypasanych na wzgórzu krów zakłóca podniosły charakter nabożeństw. Na dodatek Francuzi mieszkający w stolicy papiestwa, aby dojść z centrum miasta na swoje nabożeństwa, musieli nadkładać kawał drogi poprzez Via Sistina lub Via Gregoriana.

Długo trwały spory, jak zagospodarować stok wzgórza Pincio. W końcu zadecydowała hojność francuskiego posła w Rzymie – Etienne'a Gueffiera (1573–1660). Ten wytrawny dyplomata, akredytowany jako chargé d'affaires przy Stolicy Apostolskiej, reprezentował francuskich Burbonów wobec papieża w latach 1615–1621, a potem od 1623 r. aż do śmierci w 1660 r. Nie był jedynie dyplomatą, lecz także człowiekiem głębokiej wiary. Był aktywny w Pobożnych Instytucjach Francji w Rzymie i Loreto, które wspierały francuskich pielgrzymów przybywających do Wiecznego Miasta. W swym apartamencie na placu Hiszpańskim przyjmował wiele wybitnych osobistości, w tym Claude'a le Lorraina, który namalował w pałacu Guefiera złotego orła, obecnie przechowywanego w Narodowym Instytucie Grafiki w Pałacu Poli .

Część swojego majątku Gueffier zapisał na budowę monumentalnych schodów, które wiodłyby do kościoła Trinité-des-Monts. Testament Gueffiera został skutecznie zakwestionowany przez jego bratanka, który rościł sobie prawo do połowy majątku. Projekt przez kolejne 40 lat pozostał więc uśpiony. Potem inwestycję zamroził ambicjonalny spór.

W pomysł budowy schodów zaangażował się kard. Jules Mazarin, ówczesny francuski minister stanu, czyli ktoś w rodzaju premiera. Kształcił się on niegdyś w Rzymie i kochał to miasto. Ale jednocześnie był lojalnym sługą króla Ludwika XIV. Mazarin zainteresował się osobiście projektem zawartym w testamencie Gueffiera i powierzył go swojemu agentowi w Rzymie. Plan obejmował wzniesienie pomnika Ludwika XIV na koniu. Tak bezczelne zamiary lansowania „Króla Słońce" na papieskim podwórku wywołały oburzenie w Rzymie. Projekt uległ zamrożeniu na kolejne cztery dekady.

Sprawy ruszyły z miejsca dopiero za rządów pontifexa Klemensa XI, wybitnego „upiększacza" Rzymu, który po objęciu papieskiego tronu w 1700 r. na nowo zainteresował się budową schodów prowadzących na wzgórze Pincio.

W końcu projektem nowej inwestycji zajęli się dwaj znani architekci: Alessandro Specchi i Francesco de Sanctis. Byli oni uczestnikami długich i burzliwych dyskusji z kard. Pierre'em Guérinem de Tencinem, reprezentującym króla Francji, na temat tego, jak zagospodarować strome zbocze po stronie Pincio i jak połączyć je

eprasa.pl e52cb26f6a

z kościołem. W końcu w 1717 r. wybrano rozwiązanie proponowane przez popieranego przez Francuzów De Sanctisa. Zaproponował on rozmach połączony z idealnym poczuciem proporcji. Wielkie, liczące 136 stopni schody z licznymi tarasami ogrodowymi, które wiosną i latem byłyby bogato zdobione wieloma kwiatami, zwłaszcza azaliami. Wspaniała, arystokratyczna inwestycja, umieszczona u kresu długiej drogi prowadzącej w kierunku Tybru. Genialny de Sanctis zaprojektował schody tak, aby w miarę zbliżania się do wzgórza efekty widokowe stopniowo narastały. Typowe dla wielkiej architektury barokowej było tworzenie długich, głębokich perspektyw, kulminujących się w monumentalnych skrzydłach lub tłach.

Ale nadal pycha galijska zderzała się z papieską dumą. Chargé d'affaires króla Ludwika XV w Rzymie, kard. Pierre Guérin de Tencin, z uporem wystawiał cierpliwość dworu papieskiego na niełatwe próby. Wciąż powracały żądania, by w schody wkomponować jakiś wizualny hołd dla króla Francji. Watykan reagował na to alergicznie. W końcu doszło do kompromisu: w wystrój schodów wkomponowano symbole fleur-de-lis – lilii Burbonów – oraz orła i korony Innocentego XIII, które stanowią przedmiot pomysłowego połączenia szczegółów rzeźb.

Rysunek de Sanctisa, grawerowany przez Girolama Rossiego w 1726 r., zawiera długą dedykację dla Ludwika XV. Przez długi czas historycy sztuki byli przekonani, że zwycięski projekt był dziełem Alessandra Specchiego.

W końcu w roku 1725 schody były gotowe. Kardynał Melchior de Polignac, kolejny chargé d'affaires Francji przy Stolicy Apostolskiej, zainaugurował tę nową monumentalną budowlę, która przydała tyle uroku papieskiej stolicy.

SIEDZIEĆ NIE WOLNO, JEŚĆ NIE NALEŻY

Już kilka lat po wybudowaniu i inauguracji schodów budowla była w złym stanie. Ludzka natura nie zmienia się mimo upływu wieków. Dostawcy budulca opychali gorszy towar niż ten, który zamawiano. Od tego czasu powtarzają się kolejne generalne remonty schodów, które szybko stały się symbolem Rzymu. Ostatnia renowacja miała miejsce między październikiem 2015 a wrześniem 2016 r.

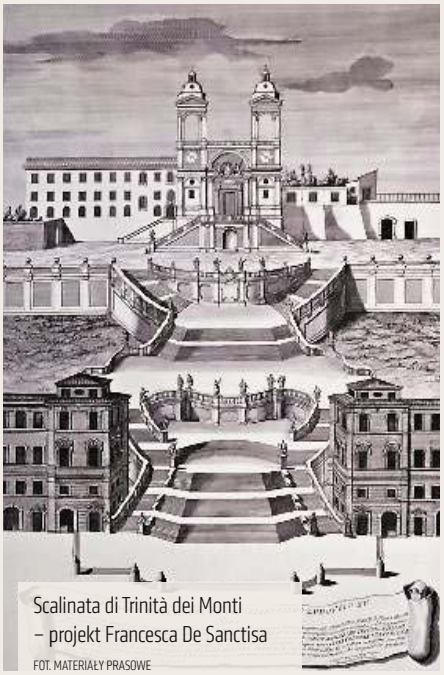

Scalinata di Trinità dei Monti – projekt Francesca De Sanctisa

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

i przeprowadził ją prestiżowy włoski dom mody Bulgari, którego historyczna siedziba mieści się przy Via Condotti 10 – ulicy prowadzącej do schodów.

La Scalinata zachwycają się kolejne generacje zagranicznych gości nad Tybrem. Kształt schodów porównywano do rozwartych skrzydeł gigantycznego, białego motyla.

W roku 1787 zachwyciły one samego Goethego. Niemiecki poeta podczas swego pobytu w Rzymie był świadkiem prac przygotowawczych do wzniesienia obelisku przed kościołem Trinità dei Monti, zleconego przez papieża Piusa VI. Jak pisał w swej „Podróży włoskiej": „W Trinità dei Monti prowadzone są wykopaliska pod fundamenty nowego obelisku; gleba tam to nic innego jak materiał przywieziony z ruin ogrodów, które należały do Lukullusa, a później do Cezarów".

Okolice Schodów Hiszpańskich powoli obrastały w kolejne pomniki. Najbardziej znany to słynna Barcaccia – łódeczka powstała w 1627 r., jeszcze przed budową schodów. Jest to zgrabna fontanna – wczesnobarokowe dzieło Pietra Berniniego i jego syna, bardziej znanego Giana Lorenza.

Ale dla rzymian o wiele ważniejszy jest inny nieodległy pomnik. 8 września 1857 r. papież Pius IX zainaugurował Kolumnę Niepokalanego Poczęcia, która góruje nad Piazza di Spagna, na pamiątkę ogłoszenia dogmatu o Niepokalanym Poczęciu.

Każdego 8 grudnia na placu odbywa się hołd kwiatowy, zawsze połączony z modlitwą maryjną papieża. Strażak stojący na wyciągniętej drabinie zawiesza kwietny wieniec na dłoni figury Maryi. Jest to jedna z najpopularniejszych i najbardziej lubianych ceremonii religijnych w Rzymie.

Schody są niezwykle fotogeniczne, więc nic dziwnego, że „grały" w rozlicznych filmach. W „Rzymskich wakacjach" Audrey Hepburn jako księżniczka na wagarach zajada tu wspaniałe włoskie lody. Budowla służyła też za tło w takich filmach jak „Utalentowany pan Ripley" z 1999 r. czy „Mission: Impossible – Dead Reckoning" z 2023 r.

Jak wiadomo, rzymianie są przesądni. Nic więc dziwnego, że także la Scalinata szybko obrosły zabobonami. Rodowici mieszkańcy miasta nad Tybrem unikają jadania na schodach, bo przynosić to ma nieszczęście. Inny przesąd głosi, że jeśli ktoś już koniecznie chce zrobić sobie zdjęcia na schodach, to powinien mieć głowę skierowaną w dół. Nie wiedzą o tym zazwyczaj liczni turyści ze świata, którzy uwielbiają się tu fotografować i zajadać kanapki na stopniach schodów. W epoce kontrkultury przełomu lat 60. i 70. schody okupowali hippisi z całego świata, którzy stworzyli tu swoje centrum. Fellini uwiecznił ten epizod w swoim filmie „Rzym" z 1972 r.

Od 2019 r. siadanie na schodach jest zakazane i liczni policjanci z uporem egzekwują ten przepis.

Ale paradować po schodach w ramach pokazów mody nie tylko można, lecz także trzeba. Raz w roku Schody Hiszpańskie zamieniają się w olśniewający wybieg podczas prestiżowych pokazów mody. Projektanci od Valentino do Chanel prezentują tu swoje najlepsze kreacje. Nic dziwnego, na nieodległej Via Condotti mieszczą się butiki najbardziej prestiżowych projektantów. A wielka moda jak dobry brylant wymaga odpowiedniej oprawy. Barokowe schody to najlepsze tło dla haute couture czy – jak nazywają to Włosi – alta moda.

Typowa dla synów Italii skłonność do teatralizacji życia akurat w tym wypadku sprawdza się doskonale. Schody Hiszpańskie mógł wymyślić każdy. Zaprojektował je Włoch.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Spanish Steps, Revisited" w Domu Keatsa-Shelleya w Rzymie czynna będzie do 1 listopada 2025 r. Szczegóły na: www.ksh.roma.it.

eprasa.pl e52cb26f6a

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Walterowiec

W przestrzeni publicznej mamy place, ulice, murale itp. upamiętniające Jacka Kuronia. Ani słowa o tym, że była to postać co najmniej niejednoznaczna. Podkreśla się jego zasługi przy Okrągłym Stole podczas tzw. transformacji itd. Ani słowa o tym, że był przecież dwukrotnie członkiem – funkcjonariuszem – PZPR i założycielem „czerwonego harcerstwa" – jako przeciwwagi dla Związku Harcerstwa Polskiego. Na patrona tej formacji Kuroń wyznaczył… „Waltera", czyli Karola Świerczewskiego, uczestnika wojny domowej w Hiszpanii (1936–1939).

Ale to przecież nie wszystkie zasługi „Waltera". W 1920 r. na własną prośbę skierowano go do walki przeciwko „białopolakom", a już w 1928 r. został funkcjonariuszem Głównego Zarządu Wywiadowczego, czyli sowieckiego wywiadu wojskowego. Choć kwalifikacje wojskowe miał żenujące (podobnie jak moralne), to w strukturach władzy sowieckiej stale się piął. Co skłoniło Kuronia do przyjęcia takiego patronatu? Nie wiemy, ale to mało ważne.

W 1954 r. Kuroń powołał pseudoharcerski Krąg Walterowski. W jego manifeście czytamy: „My, Walterowcy, jesteśmy komunistami i dlatego nasze wychowanie jest komunistyczne". Mit „Waltera", jako „dobrego komunisty", rósł razem z organizacją, a Kuroń deklarował swej przyjaciółce: „Kocham cię prawie jak Partię". Słowa o miłości do partii komunistycznej i tej ideologii wcielane były w czyn całkiem otwarcie. „Walterowcy" nosili czerwone chusty, na zebraniach śpiewali komunistyczne pieśni ukraińskie i żydowskie (w jidysz), a w swym statucie zapisali, że pracują pod ideowym przywództwem PZPR.

Była to akceptacja nie tylko oficjalnej linii partii, lecz także całej stalinowskiej, zbrodniczej przeszłości, która kosztowała Polskę dziesiątki tysięcy ofiar! Demagogiczna i jawnie sekciarska postawa Kuronia oraz towarzyszy doprowadziła do rozwiązania Walterowców. Od tej pory Kuroń coraz bardziej przedstawiał tę organizację jako… opozycyjną wobec władzy PZPR. Przywiązanie do postaw własnej młodości, ale przede wszystkim do realnego socjalizmu jako takiego widać było po nim oraz wśród jego wychowanków w następnych latach.

Do dziś przedstawiany jest jako wielki Polak, co nie jest trudne, jeśli ta postać odarta jest z wszelkich kompromitujących zaszłości. Jeśli obecnie wspomina się jego postawę, to bardziej jako rozdawnictwo darmowej zupy dla bezrobotnych (za swoje jej przecież nie gotował). Inne rzeczy poszły w niepamięć. Jakie? Na przykład takie, gdy jako konstytucyjny minister w rządzie Mazowieckiego w 1990 r. deklarował: „Ja, Polak ze Lwowa, dumny jestem, że Lwów znów jest ukraińskim miastem". Znów? ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Ambicje księżnej

Piastowie mazowieccy doświadczyli losu innych linii władców dzielnicowych. Po okresie odrodzenia kolejne gałęzie zaczęły wymierać, a ich księstwa włączano bezpośrednio do Korony. Pod koniec XV w. ostatnim żyjącym męskim przedstawicielem rodu był Konrad III Rudy, który poślubił córkę wojewody wileńskiego, Annę Radziwiłłównę. Doczekał się dwóch synów i dwóch córek, ale 28 października 1503 r. niespodziewanie zmarł i regencję w imieniu małoletnich potomków objęła żona. Była kobietą wielkiej urody i ambicji, a jeszcze większego temperamentu. Miała zresztą dopiero 27 lat i postanowiła ułożyć sobie życie na nowo. Zainteresowała się młodszym bratem ówczesnego króla Polski, Zygmuntem (późniejszym Zygmuntem Starym). Pozostawał on w stanie bezżennym, a przy braku potomstwa króla Aleksandra uchodził za jego naturalnego następcę.

Wprawdzie Jagiellon od lat miał stałą konkubinę, piękną Katarzynę Telniczankę, ale mieszczka z Moraw nie mogła się przecież równać z Radziwiłłówną. Tym bardziej że gdy Zygmunt wstąpił na tron po śmierci brata, musiał zawrzeć związek dynastyczny.

W tej epoce uważano jednak kobiety po 30. roku życia za niezbyt odpowiednie do rodzenia dzieci i ostatecznie wybór królewski padł na Barbarę Zápolyę. Była młodsza od Radziwiłłówny o 14 lat i gwarantowała duże wpływy na Węgrzech.

Tymczasem narastały problemy księżnej na Mazowszu, gdyż miejscową szlachtę oburzało to, że Radziwiłłówna nie zamierzała żyć w abstynencji seksualnej. W jej otoczeniu pojawił się drobny szlachcic mazowiecki, ale za to niezwykle przystojny, Andrzej Zaliwski. Księżna oczywiście zadbała o powodzenie finansowe faworyta i jego rodziny.

W efekcie dzielnica stanęła na progu wojny domowej i zbuntowana szlachta obległa Annę w Makowie Mazowieckim, gdzie przebywała razem z synami i Zaliwskim. Napastnicy „w nader grubych słowach" żądali rezygnacji księżnej z regencji, a w ślad za inwektywami leciały pociski i niewiele brakowało, by został trafiony starszy syn Anny, książę Stanisław.

Poproszono o mediację Zygmunta Starego, ale prawo było jednoznaczne. Stanisław miał już 17 lat, więc od dawna powinien sprawować samodzielne rządy. Radziwiłłówna musiała się zgodzić z tą decyzją, chociaż zachowała decydujący wpływ na syna. Prawdopodobnie też nie zerwała związku z Zaliwskim, który dalej odgrywał znaczną rolę na Mazowszu. Gdy zmarł w lipcu 1521 r., odnotowano to w Metryce Książęcej wraz z informacją, że kasztelan spoczął w kolegiacie św. Jana w Warszawie (obecnej archikatedrze). Anna zmarła kilka miesięcy później. ©℗

eprasa.pl e52cb26f6a

Jan Bogatko z Berlina

Gerd, towarzysz kapitału

FOT. JULIAN STRATENSCHULTE/DPA/AFP/EAST NEWS

Podczas niedawnego przesłuchania przed komisją śledczą w sprawie budowy Nord Stream 2 były kanclerz Niemiec Gerhard Schröder powiedział, że był to projekt wyłącznie gospodarczy i nie obchodziły go zastrzeżenia rządu polskiego

Trzeba przyznać, że Gerhard Schröder nie ukrywał przed nikim swych korzeni. We „Frankurter Allgemeine Zeitung" z roku 2004 możemy przeczytać jego słowa: „Byliśmy pariasami", i to „najbiedniejszymi z biednych". Tak w Bexten (dziś dzielnica uzdrowiska Bad Salzuflen) postrzegano wówczas jego rodzinę. Żyli z pomocy społecznej. Zawsze też mówił to, co myślał. Bez względu na skutki. To przemawia zdecydowanie na jego korzyść.

Przyszły socjalistyczny kanclerz Niemiec i towarzysz kapitalistów spędził w Bexten 12 lat. Tam zaczął podstawówkę. Po kolejnej przeprowadzce szkołę skończył w Talle, też w powiecie Lippe, gdzie pamiętają go z boiska. Zwali go „Oracz". Trafnie. Potem Schröder zaczął naukę zawodu handlowca w sklepie z porcelaną. I rozpoczął pracę w sklepie żelaznym w Lage. Wreszcie poczuł powiew wielkiego miasta: nasz bohater podjął pracę w sklepie z narzędziami w Getyndze. I chodził do wieczorówki. W końcu w Bielefeldzie zrobił maturę. Miał wtedy 22 lata.

Teraz wszystko idzie jak z płatka. Gerd podejmuje studia prawnicze na Uniwersytecie Georga-Augusta w Getyndze. Kończy je wraz z aplikacją (pierwszy i drugi egzamin państwowy) w 1976 r. I zostaje adwokatem w Hanowerze, dalej zaś – wspólnikiem w tamtejszej kancelarii Holtfort. Tu pozostaje do dnia, kiedy wybrano go w 1990 r. jako polityka Socjaldemokratycznej Partii Niemiec na fotel premiera rządu krajowego w Dolnej Saksonii.

Adwokat Schröder ma na swym koncie zawodowe sukcesy. I tak jako karnista był pełnomocnikiem procesowym terrorysty z ultralewackiej RAF (Frakcji Armii Czerwonej), Horsta Mahlera, skazanego na 14 lat pozbawienia wolności, też zresztą adwokata z zawodu. Dzięki staraniom Schrödera, szefa JUSO (młodzieżówki SPD, czyli odpowiednika polskiego ZMS z czasów PRL), byłego terrorystę, przedterminowo zwolniono i umożliwiono mu powrót do adwokatury. Został neonazistą. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Dalszy ciąg jego przyjaźni ze Schröderem jest nieznany. W tym roku Mahler zmarł w Berlinie.

WIELKI DYLEMAT LEWICY

Gerhard Schröder miał 54 lata, kiedy 351 posłów Bundestagu wybrało go na szefa rządu. 351 – to więcej niż liczba posłów obu partii rządzącej wówczas czerwono-zielonej koalicji. To pierwszy i jak dotąd jedyny przypadek wybrania kanclerza RFN także z poparciem opozycji! Sukces Schrödera nie ma sobie dotąd równych. Po 16 latach ery Helmuta Kohla, kanclerza Niemiec z ramienia Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej, SPD – ugrupowanie, które uzyskało w wyborach do Bundestagu z 27 września 1998 r. rekordowy wynik prawie 41 proc. głosów – objęła wraz z Zielonymi (6,7 proc., o 1,7 proc. przekraczając próg wyborczy), po krótkich negocjacjach koalicyjnych trwających zaledwie trzy tygodnie, ster rządów w Niemczech. Zaznaczyć trzeba, że zwycięstwo Schrödera nad Helmutem Kohlem to jedyna zmiana na stanowisku kanclerza wymuszona przez wyborców. Kohl, rubaszny miłośnik kuchni reńskiej (saumagen z Palaty-

eprasa.pl e52cb26f6a

natu, czyli świńskie żołądki nadziewane farszem mięsnym z dodatkiem jajek, to jego delikates) doszedł do władzy po upadku koalicji socjalistów z liberałami pod przywództwem Helmuta Schmidta, z kolei poprzedni szefowie rządu Niemiec (Willy Brandt, Ludwig Erhard i Konrad Adenauer) musieli zrezygnować z pełnionej funkcji. Natomiast Kurt Georg Kiesinger (pracownik MSZ u Joachima Ribbentropa, ale ze świadectwem moralności) nie był w stanie utworzyć w 1969 r. rządu mimo wygranych wyborów.

Helmut Kohl życzył swemu następcy „szczęśliwej ręki". Schröder wprowadził do niemieckiej polityki nowy termin – „rządy spokojnej ręki", co było w istocie nawiązaniem do zasady Ottona von Bismarcka, zakładającej politykę cierpliwości, małych kroków i przeczekania. To niejedyne hasło Schrödera, należy do nich także „basta". Tym słowem kończył dalszą dyskusję w istotnych dla niego sprawach – jak tę wokół jego reformy gospodarczej – „Agenda 2010". Była to najważniejsza reforma Schrödera. Mówi się, nie całkiem socjalistyczna. Na średnią metę umożliwiła ona jednak Niemcom wzmocnienie gospodarki, ale wpędziła socjaldemokrację w kryzys trwający do dziś.

A przecież to nikt inny, jak towarzysz Schröder określał siebie publicznie jako „konsekwentnego marksistę". I początkowo wszystko na to zdawało się wskazywać. Jego motto jako kanclerza – „Pokonać bezrobocie" – trafiło na podatny grunt. Ale przed Schröderem i czerwono-zielonym rządem stało jeszcze wiele wyzwań. On, jako kanclerz, i jego minister spraw zagranicznych (zielony Joschka Fischer) musieli zdecydować o udziale Niemiec (po raz pierwszy po drugiej wojnie światowej) w zbrojnej interwencji w Kosowie, i to na dodatek bez mandatu ONZ. Dla lewicy był to wielki dylemat. Do tego presja ze strony NATO była bolesna. Kanclerz i jego minister podjęli decyzję w kwadrans. Jak donosił lewicowy tygodnik „Die Zeit" z Hamburga, oto nagle gotowość do udziału w wojnie zadecydowała o być albo nie być całego pokolenia czerwono-zielonych. Lewica tę gotowość, jak wiemy, wykazała. Podobnie jak w przypadku Afganistanu po islamskich zamachach na USA z 11 września 2001 r. Schröder powiązał zgodę na ekspedycję 3,9 tys. żołnierzy Bundeswehry z wotum zaufania dla swojego gabinetu. I wygrał. W kwestii Iraku Berlin natomiast zachował się inaczej. Zbliżały się kolejne wybory do Bundestagu. Schröder tym razem na prośby Amerykanów i Brytyjczyków odpowiedział: „Nein". I ponownie wybory wygrał w 2002 r.

Sytuacja gospodarcza Niemiec pod rządami lewicowego kanclerza pozostawiała nadal wiele do życzenia. A mówimy przecież o jednym z najbogatszych państw świata! Lokomotywa europejskiej gospodarki sapała i dyszała, i trudno ją było ruszyć z miejsca, koła się ślizgały. Nadal utrzymywało się w kraju wysokie bezrobocie. Państwo już od lat czekało na reformy. Politycy o nich mówili, ale nic nie robili, bo posunięcia mogły okazać się niepopularne w społeczeństwie. A to uderzałoby w wynik następnych wyborów. Czyli: Tak trzymać? Schröder mówił: Nie.

PRZEBUDOWA PAŃSTWA SOCJALNEGO

To była bardzo odważna decyzja, przyglądając się dalszej karierze kanclerza Niemiec. Kolejne motto Gerda: „Odważnie za pokojem, odważnie za zmianami". On wiedział, że realizacja tego motta, a zwłaszcza jego drugiej części, kosztować go może więcej od garniturów firmy Brioni czy pudełka wyśmienitych, hawańskich cygar. I się nie mylił, ale czuł, że inaczej postąpić nie może. Chciał dokonać czegoś wielkiego, o czym Niemcy nigdy nie zapomną. Przecież nie bez powodu nazywano je wówczas na świecie „chorym człowiekiem Europy". Potrzebna była im kuracja.

W exposé rządowym w marcu 2003 r. Schröder zapowiada przebudowę państwa socjalnego. Niemcy mają odtąd być elastyczne i radzić sobie z wyzwaniami jutra. Jego projekt nosi nazwę „Agenda 2010". Jednym z punktów tego przedsięwzięcia jest połączenie zasiłku dla bezrobotnych i zapomogi socjalnej w nowe świadczenie, zwane odtąd „Arbeitslosengeld II". Zwłaszcza ten punkt, wywołujący podziw bossów gospodarki (odtąd ludzie mówią o Schröderze „Genosse der Bosse", czyli „towarzysz szefów"; to tylko jeden z wielu, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, „nicków", które mu w Niemczech wówczas nadano), zadecydował o upadku kanclerza. Od tej pory SPD traci poparcie wyborców. 1 lipca 2005 r. Schröder stawia, jak to w jego zwyczaju, wszystko na jedną kartę. Jest właśnie po wyborach do Landtagu w Nadrenii Północnej-Westfalii. SPD dostaje lanie. Wtedy to Schröder na forum Bundestagu składa wniosek o wotum zaufania. I tym razem przegrywa.

„Agenda 2010", z niecierpliwością oczekiwany projekt Gerharda Schrödera z marca 2003 r., obejmowała szerokie spektrum reform politycznych w obszarach gospodarki (np. nowelizację prawa o usługach rzemieślniczych, ułatwiającą ich świadczenie i umożliwiającą osobom prywatnym wyższy odpis podatkowy za korzystanie z nich), edukacji (np. większe wsparcie dla szkół całodziennych), ubezpieczeń społecznych (np. obniżenie świadczeń w ustawowym

eprasa.pl e52cb26f6a

ubezpieczeniu zdrowotnym) i rynku pracy, co dotyczyło zwłaszcza małych firm, których w Niemczech jest wbrew powszechnemu mniemaniu bardzo dużo (ich liczba szła wówczas w setki tysięcy, zatrudnienie w miliony, obroty w miliardy). Wprowadzono deregulację ochrony przed zwolnieniem z pracy. Podstawą pakietu reform wdrożonego w latach 2003–2005 były kompleksowe reformy rynku pracy i reformy socjalne, które obejmują z reguły cztery ustawy dotyczące nowoczesnych usług na rynku pracy (od Hartz I do Hartz IV, od nazwiska szefa komisji, Petera Hartza, menedżera Volkswagena, socjalisty i związkowca). Reforma, często określana mianem „Wielkiego Wybuchu", miała trzy główne cele: deregulację prawa pracy, aktywizację rynku pracy i poprawę usług na rynku pracy. I to się udało.

Oczywiście ta niezbędna reforma wywołała oburzenie wyborców SPD. Efekt? Kanclerz Schröder przegrał głosowanie w Bundestagu, a także rozpisane w jego wyniku przedterminowe wybory parlamentarne. 18 września 2005 r. wygrała je chadecja. Rozwścieczony Gerd nie uznał zwycięstwa Angeli Merkel, odmawiając wejścia w skład jej koalicji. „Poza mną nikt nie jest w stanie utworzyć stabilnego rządu" – oświadczył Schröder na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung". Trzaskając drzwiami, złożył mandat poselski i opuścił z hukiem, jak to w jego zwyczaju, scenę polityczną.

Ale zanim do tego doszło… w 2002 r. Schröder uzyskał wyrok sądowy, zakazujący agencji prasowej DDP podawania wiadomości, jakoby on, wytworny dżentelmen w eleganckich garniturach… farbował włosy. Gerd, który, jak żaden kanclerz przed nim i po nim, grał na wszystkich strunach niemieckiej prasy dla osiągnięcia popularności, w marcu 2004 r. dąsał się publicznie na tabloid „Bild" i inne media należące do grupy Axel Springer Verlag, odmawiając udzielania im wywiadów, ponieważ jego zdaniem zbyt jednostronnie przedstawiały jego politykę jako kanclerza Niemiec. Media z kolei odpowiedziały Schröderowi, że chce on ograniczyć wolność prasy w Niemczech (co nie zmienia faktu, że wbrew lewicowemu rankingowi wolności prasy organizacji Reporterzy bez Granic prasa jest ewidentnie ograniczona).

Kiedy Gerhard Schröder skończył z polityką, objął funkcję członka rady nadzorczej Nord Stream AG, filii Gazpromu, dla którego zasłużył się, będąc jeszcze kanclerzem Niemiec

Gerd obraził się na media w Niemczech, oskarżając je po przegranych wyborach do Bundestagu o manipulacje, a pewnemu dziennikarzowi lewicowego tygodnika „Spiegel" groził palcem, mówiąc: „Wasza branża musi uważać".

MIMOWOLNA GWIAZDA POPU

Lewicowy kanclerz o wypomadowanych włosach, wytwornie ubrany, z cygarem w ustach to ulubiony obiekt satyryków i kabarecistów. Elmar Brandt był chyba najbardziej znanym z tego grona. Doskonale imitował on głos Schrödera. „Elmar Brandt to najlepszy na świecie imitator Gerharda Schrödera" – utrzymywał w 2002 r. magazyn satyryczny „Titanic". Gerd zapewne był innego zdania. Ale to nie koniec muzycznych historii z jego udziałem. Szlagier Stefana Raaba, popularnego niemieckiego piosenkarza, „Skocz po flaszkę piwa", wykorzystujący w refrenie autentyczny głos kanclerza – jak podczas publicznej imprezy zwracał się do rzecznika prasowego rządu – nieoczekiwanie uczynił Schrödera, zapewne wbrew jego intencjom, gwiazdą popu. Utwór dotarł aż na drugie miejsce listy przebojów. Z kolei przebój o podatkach autorstwa Elmara Brandta, dedykowany Schröderowi, przez sześć tygodni królował na pierwszym miejscu listy przebojów. Nawet niemiecka punkowa grupa Die Toten Hosen nie oszczędziła kanclerza, parodiując go w swoim utworze „Być kanclerzem". Być może mu to nawet schlebiało, być może oburzenie to była tylko poza narcystycznego socjalistycznego polityka (zresztą również, formalnie rzecz biorąc, polskiego rycerza jako kawalera Orderu Orła Białego, nadanego mu 4 marca 2002 r.).

Kiedy Schröder opuścił salony polityczne, wszedł na gospodarcze. Przypomniał sobie wówczas swego rosyjskiego przyjaciela, Władimira Putina, z którym to, i z Ludmiłą, jego ówczesną małżonką, jeszcze w towarzystwie swej czwartej żony, Doris Köpf (potem będzie jeszcze jedna), w Kołomienskoje, dawnej rezydencji carskiej na obrzeżach Moskwy, jechał saniami po zaśnieżonej drodze („Hajda trojka, snieg puszystyj, nocz moroznaja krugom") w prawosławne Boże Narodzenie w 2001 r. Czego się nie robi dla druga w potrzebie?! Kiedy Schröder skończył z polityką, objął funkcję członka rady nadzorczej Nord Stream AG, filii Gazpromu, dla którego zasłużył się, będąc jeszcze kanclerzem Niemiec. To prawdziwy skandal. Potem – niewątpliwie w podziękowaniu za stanowisko wobec wojny na Ukrainie i za zasługi jako lobbysta – został szefem największego rosyjskiego koncernu naftowego Rosneft. Jego nieukrywane zaangażowanie na rzecz rosyjskiego gazu przyniosło Schröderowi w niemieckiej prasie przydomek Gaz-Gerd. Zwłaszcza tabloid „Bild" chętnie nazywał tak byłego kanclerza.

Z początkiem tego roku pojawiły się informacje o chorobie Gerharda Schrödera. Biuletyn lekarski stwierdza, że były kanclerz cierpi na ciężki przypadek syndromu burn-out z typowymi objawami głębokiego wyczerpania i poważnym spadkiem energii. Choroba lobbysty w rezultacie wyklucza możliwość wystąpienia w parlamentarnej komisji śledczej na temat budowy Nord Stream 2. Schröder – jak oświadczył jego lekarz – „ani dzisiaj, ani też w najbliższej przyszłości nie jest zdolny do radzenia sobie z fizycznymi i psychicznymi skutkami dłuższego – zwłaszcza publicznego – przesłuchania" przed komisją śledczą w Schwerinie.

Kiedy jednak komisja zasugerowała, by byłego kanclerza zbadał lekarz urzędowy, Gerd zmiękł i zgodził się na przesłuchanie on-line na linii Hanower – Schwerin. Zapytany zaprzeczył, że o budowie Nord Stream 2 („między mną a Angelą Merkel nie było różnic zdań na ten temat") decydowały względy geopolityczne. Oznajmił: „To był projekt wyłącznie gospodarczy". I dodał oschle: „Nie obchodziły mnie zastrzeżenia rządu polskiego". Nie sprecyzował jednak, czy myślał tak jako kanclerz czy już jako lobbysta Gazpromu. Gaz-Gerd, jak chce „Bild".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e52cb26f6a

FOT. ADOBE STOCK

OGNIEM W KARALUCHA

W Osan (Korea Południowa) kobieta próbująca zabić karalucha podpaliła blok mieszkalny. Chciała bowiem sobie z owadem poradzić w bardzo niekonwencjonalny sposób: użyła zapalniczki i łatwopalnego sprayu. Policji powiedziała, że tę metodę stosowała już wcześniej. Tym razem jednak skutek okazał się opłakany. To nie pierwszy taki przypadek. W Internecie krążą filmy pokazujące, jak pozbywać się szkodników przy pomocy domowej roboty miotaczy ognia.

WSYPAŁ CHATGPT

Student ze stanu Missouri został zatrzymany i oskarżony o akt wandalizmu. Chodzi o rozbicie szyb w 17 samochodach, które spowodowało szkody wartości tysięcy dolarów. Podczas sprawdzania telefonu 19-latka policja odkryła rozmowę między nim a ChatemGPT. Okazuje się, że sztuczna inteligencja była pytana przez użytkownika aparatu, czy za rozbicie szyb w samochodach grozi więzienie. Śledczy uznali to za dowód przyznania się studenta do winy.

ŻABA JAKO LEK

Mieszkance wschodnich Chin dokuczał przewlekły ból pleców. Zamiast jednak pójść do lekarza, 82-latka postanowiła sobie sama poradzić. Poprosiła rodzinę o złapanie dla niej małych żab, następnie zjadła ich osiem (trzy pierwszego dnia, pięć – drugiego). Kilka dni później zgłosiła się do szpitala z ostrym bólem brzucha i problemami z chodzeniem. Prawdopodobnie była to infekcja pasożytnicza – efekt zastosowania „terapii" ludowej. Kobieta opuściła szpital po dwóch tygodniach leczenia.

ŁOWIĆ DUCHY

Portal Casino.org ogłosił konkurs: jedna osoba ma szansę wygrać 5 tys. dol., jeśli zdecyduje się spędzić weekend w hotelu El Cortez w Las Vegas, aby przy pomocy „łowcy duchów" (mierniki pola elektromagnetycznego, rejestratory EVP, czujniki temperatury) dokumentować tam przejawy zjawisk paranormalnych. O hotelu krążą legendy. Wedle nich piwnica El Cortez pełna jest prochów i skremowanych szczątków byłych pracowników.

JAK CZŁOWIEK

Chińska firma Unitree zaprezentowała robota, który potrafi wykonywać zaawansowane ruchy baletowe i elementy sztuk walki. Na widzach humanoid zrobił wrażenie, choć byli i tacy, którzy byli jego możliwościami przerażeni. Robot jest udoskonaloną wersją wcześniejszych modeli, które już potrafiły grać w piłkę nożną, otwierać napoje i bronić się przed napastnikami. Różnice między ludźmi a humanoidalnymi maszynami są coraz mniejsze. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Ekościema?

Paliwo E10. W przeciwieństwie do PB 95 zawiera 10-procentową domieszkę tzw. biokomponentów. Gdy Ministerstwo Klimatu i Środowiska informowało o przymusowej zmianie na polskich stacjach benzynowych, zaznaczało, że „zgodnie z raportem organizacji zajmującej się wykorzystaniem biokomponentów ePure bioetanol ma mniejszy ślad węglowy – średnio o ok. 70 proc. w porównaniu z paliwami kopalnymi".

Celem przymusowej zmiany składu paliwa miało być „ograniczenie negatywnego wpływu sektora transportu na zdrowie ludzi i środowisko naturalne". W trosce o zyski producentów biokomponentów. Miało być: „w trosce o planetę" zlekceważono mechaników, którzy ostrzegali, że bioetanol różni się właściwościami spalania i oddziaływania z materiałami, z których wykonane są części silnika. Wiele aut źle znosi więc „zieloną rewolucję".

Bruksela żąda zmian, więc popyt na biopaliwa rośnie. Do 2030 r. uprawy biopaliw zajmą już powierzchnię Francji. Pomysły „ekologów" źle znoszą jednak nie tylko auta, które trzeba będzie przedwcześnie przerabiać na żyletki, lecz także... samo środowisko. Według raportu ekspertów Cerulogy opracowanego dla Transport & Environment w skali globalnej wytwarzanie biokomponentów generuje o 16 proc. więcej CO_2 niż tradycyjne paliwa kopalne! Biopaliwa prowadzą też do niszczenia siedlisk i zajmują grunty, które mogłyby wyżywić 1,3 mld (!) ludzi. Popyt na biokomponenty prowadzi więc m.in. do wzrostu cen żywności i pogłębienia ubóstwa na świecie.

Inny raport mówi z kolei, że rzeczywista emisja CO_2 przez hybrydy PHEV jest niemal pięciokrotnie wyższa, niż wskazywały wstępne dane. No kto mógł się spodziewać...

eprasa.pl e52cb26f6a

Książę odchodzi w niesławie

Teresa Stylińska

Już w 2019 r. na księcia Andrzeja spadły podejrzenia o udział w aferze Epsteina. Z kolei niedawno pojawił się zarzut, że brat króla Karola kontaktował się z chińskimi szpiegami

Takiego skandalu w rodzinie królewskiej, niewolnej przecież od afer i problemów, Brytyjczycy nie widzieli od abdykacji Edwarda VIII w roku 1936. Książę Andrzej, młodszy brat króla Karola, został praktycznie wykluczony z rodziny. Można by powiedzieć, że jest to prawdziwe ukoronowanie drogi życiowej, jaką sobie obrał: przyjaźni z ludźmi, od których człowiek jego pochodzenia i statusu powinien raczej stronić, braku ostrożności w zawieraniu znajomości, pożyczek z niesprawdzonych źródeł, widocznej żądzy blichtru. Słowem, skandali obyczajowych, finansowych i politycznych – wszystkiego po trochu.

Miarka się jednak przebrała, król stracił cierpliwość i – przy silnym wsparciu ze strony następcy tronu, księcia Williama – zdecydował się położyć temu kres. Jak to ujął dziennik „The Daily Telegraph" w poświęconym temu wydaniu specjalnym, „upadek księcia był długi i bolesny, ale cios szybki". Od tej pory Andrzej nie będzie używać tytułu księcia Yorku (Duke of York), traci też inne, pomniejsze tytuły oraz zaszczyty, które wiążą się np. z posiadaniem Orderu Podwiązki, najwyższego brytyjskiego odznaczenia. Nie będzie brał udziału w żadnych z nim związanych wydarzeniach, a to podobno szczególnie sobie cenił. I nie zostanie zaproszony do Sandringham, gdzie cała rodzina królewska spędza święta Bożego Narodzenia.

Ostatnie dni przyniosły nagromadzenie doniesień bardzo obciążających księcia. Na jaw wyszło, że oszukiwał opinię publiczną, gdy zapewniał, że zerwał z Jeffreyem Epsteinem – amerykańskim milionerem utrzymującym cały harem dziewcząt dla siebie i przyjaciół – i że utrzymywał kontakty z chińskimi szpiegami. Później, już po decyzji króla, dowiedziano się, że od lat nie płaci za wynajem rezydencji Royal Lodge w Windsorze. Usunąć go nie można, bo umowa obowiązuje do 2078 r.

Łatwo sobie wyobrazić niepokój, z jakim król i jego otoczenie czekali na codzienne doniesienia mediów. Czy przyniosą nowe informacje o poczynaniach księcia? Jak je przyjmie społeczeństwo brytyjskie? I – tu dochodzimy do sedna problemu – co z tego wyniknie dla monarchii?

PLAYBOY I WETERAN

Tak się, jak na ironię, składa, że spośród czworga dzieci królowej Elżbiety i księcia Filipa tylko Andrzej – urodzony w 1960 r., trzecie dziecko, drugi syn – wyszedł poza konwencjonalne obowiązki dworskie i jest jedynym, który zasłużył sobie na miano bohatera wojennego. Brał bowiem udział w wojnie z Argentyną o Falklandy w 1982 r. i jako pilot śmigłowca uczestniczył w wielu akcjach ofensywnych i ratunkowych. Odebranie mu przez królową honorowych tytułów wojskowych i prawa noszenia munduru – założył go tylko raz, gdy pełnił wartę przy trumnie królowej – musiał więc odczuć boleśnie, choć nigdy o tym nie mówił.

Jak do tego doszło? W listopadzie 2019 r., trzy miesiące po samobójczej śmierci Epsteina w nowojorskim więzieniu, książę udziela telewizji BBC wywiadu, w którym próbuje wytłumaczyć się ze swojej znajomości. Odpiera także oskarżenia ze strony Virginii Roberts, po mężu Giuffre, dziewczyny z kręgu Epsteina, która twierdzi, że przed laty książę wykorzystał ją, wówczas 17-latkę, seksualnie. Wywiad wypada fatalnie i książę rezygnuje z pełnienia obowiązków przynależnych członkowi rodziny królewskiej, bo – jak stwierdza w oświadczeniu – „sprawa Epsteina stała się dla niej źródłem kłopotów".

To jednak wcale nie zamyka problemu. Virginia Giuffre występuje przeciwko księciu do sądu w USA. To wtedy królowa odbiera synowi honorowe tytuły wojskowe: poza rangą wiceadmirała – rzeczywistą, nie honorową – prawo do tytułu Jego Królewskiej Wysokości (His Royal Highness) i patronaty, które sprawował nad różnymi organizacjami. Sprawę kończy dopiero ugoda, jaką książę niespodziewanie zawiera z Virginią Giuffre, której wypłaca, jak się mówi, ok. 12 mln funtów. Książę tłumaczy: wie, iż można to odebrać jako przyznanie się do winy, chce jednak wszystko zakończyć, by nie psuć Platynowego Jubileuszu swej matki.

Virginia Giuffre jest przedstawiana przez media jako ofiara Epsteina. Czy faktycznie nią była? Jej dawna przyjaciółka, zeznając na procesie Ghislaine Maxwell, wspólniczki Epsteina, skazanej za stręczycielstwo na 20 lat więzienia, powiedziała, że Virginia była zachwycona spotkaniem. „Czy wiesz, z kim spędziłam noc? Z księciem Andrzejem!" – to treść SMS-a, jaki przysłała z Londynu.

Intymne spotkanie z księciem – którego zresztą on sam, jak twierdzi, nie pamięta – odbyło się w 1999 r. Publicznie pani Giuffre oskarża go dopiero w 2015 r. Czy nie na fali ruchu MeToo? Oskarża wówczas wielu innych przyjaciół Epsteina, m.in. Billa Richardsona, polityka i dyplomatę, George'a Mitchella, negocjatora porozumienia pokojowego w Irlandii Północnej, oraz Alana Dershovitza, profesora prawa na Harvardzie, ludzi o nieposzlakowanej reputacji. W autobiografii, która parę dni

eprasa.pl e52cb26f6a

temu ukazała się w Londynie, utrzymuje także, że jako dziecko była molestowana przez własnego ojca i jego kolegę. Ojciec zaprzecza, a konfrontacja jest niemożliwa, bo wiosną tego roku Virginia Giuffre popełniła samobójstwo.

NA BOCZNYM TORZE

Jeżeli nawet król Karol się wahał – co jest możliwe, bo nic nie wskazuje na to, by chciał surowo potraktować brata – los księcia Andrzeja jako członka rodziny królewskiej przypieczętowały wydarzenia, które rozegrały się w ciągu zaledwie pięciu dni.

W niedzielę 12 października media ujawniły, że w 2011 r. książę wysłał do Epsteina wiadomość e-mailową. Informacja była bulwersująca z paru powodów. Po pierwsze, chodzi o intrygującą deklarację. „Tkwimy w tym razem" – napisał książę i nie bardzo wiadomo, do czego to odnosił. Po drugie, widać było, że nadal utrzymywał on kontakt z Epsteinem, chociaż we wspomnianym wywiadzie z 2019 r. zapewniał, że znajomości z nim żałuje (w czym nie był specjalnie oryginalny, bo taką deklarację składało i nadal składa wielu znajomych Epsteina) i że zakończył ją w 2010 r. A to oznacza najgorsze: książę skłamał.

Kolejne dni przyniosły jeszcze bardziej szokującą informację – o zażyłych kontaktach księcia z Chińczykami. Okazało się, że do grona dobrych znajomych, zapraszanych nawet do jego domu na przyjęcia, zaliczają się dwaj wysoko postawieni Chińczycy, podejrzani o patronowanie działalności szpiegowskiej na terenie Wielkiej Brytanii. Pierwszy to Cai Qi, człowiek, któremu bezpośrednio przekazywali informacje dwaj ostatnio zatrzymani Brytyjczycy. Drugi to Yang Tengbo, aktywny w brytyjskich wyższych sferach. To sprawa znacznie większego kalibru niż obyczajowa afera związana z Epsteinem, dotyczy bowiem fundamentalnej kwestii bezpieczeństwa państwa.

W tej sytuacji król podjął decyzję. W piątek 17 października opinia publiczna dowiedziała się, że książę Andrzej traci nie tylko tytuły, zaszczyty i przywileje, lecz także swe miejsce w rodzinie. Karol – co zresztą miano mu trochę za złe – nie zdecydował się jednak na ogłoszenie, że sam podjął decyzję o usunięciu brata na boczny tor. Książę mógł więc wydać oświadczenie, w którym stwierdził, że odchodzi powodowany troską o dobro kraju i rodziny. „Postanowiłem, jak zawsze to czyniłem, postawić na pierwszym miejscu mój obowiązek wobec rodziny i kraju" – stwierdził. Po przedyskutowaniu sprawy z królem i rodziną dodał, że doszli wspólnie do wniosku, iż ciągłe oskarżenia pod jego adresem „odwracają uwagę od tego, co robią Jego Wysokość i cała rodzina królewska".

INNE CZASY

Odsunięcie księcia Andrzeja na boczny tor to, formalnie rzecz biorąc, sprawa znacznie mniejszej wagi niż abdykacja króla Edwarda VIII, który wybrał małżeństwo z amerykańską rozwódką. To przecież tylko książę (prince – ten tytuł Andrzej zachowuje, bo przysługuje mu z urodzenia, odmiennie niż nadany przez królową tytuł księcia Yorku), dopiero ósmy w kolejce do tronu. A jednak, gdyby nie decyzje Karola, reperkusje „problemu księcia Andrzeja", jak się tę sprawę określa, mogłyby być znacznie poważniejsze. Bo inne są czasy, inna monarchia, inne oczekiwania.

W 1936 r. Wielka Brytania doświadczyła jedynie krótkiego, bardziej pozornego niż rzeczywistego wstrząsu. Miejsce Edwarda zajął natychmiast, zgodnie z zasadami, młodszy brat Albert, który rządził jako Jerzy VI, i wszystko wróciło na właściwe tory. Andrzej to zupełnie inna sprawa: powodował skandal za skandalem, a media, we własnym dobrze pojętym interesie, intensywnie karmiły nimi spragnioną sensacji publiczność. Sama instytucja monarchii też jest inna niż przed blisku 100 laty. W latach 30. była stabilna i pewna. Dziś musi dbać o to, by poddani chcieli ją mieć.

Przyjaciele i bliscy, którzy księcia bronią – znamienne: anonimowo – zwracają jednak uwagę, że przy wszystkich swych błędach nigdy tak naprawdę nie miał on możliwości, by bronić swego dobrego imienia, bo został z góry oceniony i skazany. I na plus zapisują mu, że respektował decyzje monarchy – matki i brata – i nigdy nie skrytykował Karola ani publicznie, ani nawet prywatnie. Co należy docenić, tym bardziej że skonfliktowany z rodziną książę Harry na swych bliskich nie zostawia suchej nitki.

Decyzja Karola nie przesądza o tym, czy jego brat będzie odtąd wiódł przykładne, wolne od afer życie. Być może. Rzecz jednak w tym, że od tej pory jest zwykłym – choć może nie tak całkiem... – obywatelem. To, co robi, dotyczy wyłącznie jego samego. Nie obciąża rodziny Windsorów i nie psuje reputacji monarchii. Poddani króla nie będą zadawać sobie pytania, po co im monarchia, na którą łożą, jeśli jej przedstawiciele uchybiają standardom i nie dają dobrego przykładu, choć żyją również za ich, Brytyjczyków, pieniądze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl e52cb26f6a

Sztuka znikania

Złodzieje, którzy okradli Luwr, użyli samochodu z długą, wysuwaną elektrycznie drabiną, po której dostali się do środka

FOT. MOHAMMED BADRA/EPA/PAP

Piotr Włoczyk

Francuzi wciąż nie mogą uwierzyć, że ich słynny Luwr okazał się tak łatwym celem dla złodziei. Pewną pociechą mogą być dla nich inne muzealne „skoki stulecia", które nie zawsze kończyły się bezpowrotnym zniknięciem skradzionych dzieł sztuki

Uwadze ochrony umknął samochód z długą, wysuwaną elektrycznie drabiną, który pół godziny po otwarciu muzeum zaparkował na chodniku przed Luwrem. Również widok dwóch mężczyzn w roboczych strojach wchodzących po drabinie na balkon nie uruchomił alarmu w „centrum dowodzenia" Luwru. Po wszystkim okazało się, co zresztą przyznała sama dyrektor Luwru, że w tamtej części muzealnego kompleksu zwyczajnie nie było na zewnątrz kamer... Podobnie łatwo poszło z przecięciem wzmocnionych szyb w oknach, wejściem do Galerii Apollo, sterroryzowaniem ochroniarzy i dostaniem się do gablot z bezcennymi klejnotami.

Złodzieje w ciągu siedmiu minut byli już na dole, gdzie czekało na nich dwóch wspólników na skuterach. Zanim przy samochodzie z drabiną pojawiła się policja, rabusie zdążyli już się rozpłynąć w zgiełku paryskich ulic. Ich łupem padły m.in. naszyjnik cesarzowej Marii Ludwiki i diadem cesarzowej Eugenii. Właściwie jedną większą wpadką złodziei było zgubienie po drodze tego ostatniego – korony cesarzowej Eugenii, żony Napoleona II (do jej wykonania użyto niemal 2,5 tys. diamentów i 56 szmaragdów).

Sprawa błyskawicznie stała się sensacją w światowych mediach. Oto jedno z najlepiej zabezpieczonych miejsc we Francji – a przynajmniej tak się zwykło uważać – zostaje okradzione w spektakularnie... zwyczajny sposób, i to w biały dzień! Nic więc dziwnego, że Francuzi uznali to za kompromitację całego państwa. Gérald Darmanin, francuski minister sprawiedliwości, przyznał, że system bezpieczeństwa Luwru nie zdał egzaminu, przez co wizerunek państwa „strasznie" podupadł.

Kurator Luwru wycenił skradzione przedmioty na 88 mln euro, ale złodzieje raczej nie mają co marzyć o uzyskaniu za nie takiej kwoty. Najpewniej będą się starali sprzedać je w częściach, by ukryć pochodzenie precjozów. Mimo że Luwr już wcześniej był okradany – również w niezliczonych filmach sensacyjnych – po ostatnim skoku okazało się, że w co trzecim pomieszczeniu muzealnym nie ma monitoringu! Być może zaniedbania wynikały z rutyny – ostatnie większe kradzieże zdarzyły się tam w latach 90. XX w., gdy w trzech osobnych przypadkach wyniesiono z Luwru dwa obrazy i ozdobną halabardę.

PATRIOTYCZNY ZŁODZIEJ

Poprzednia głośna na cały świat kradzież, po której znacząco wzmocniono ochronę muzeum, miała miejsce w Luwrze 114 lat temu, gdy w tajemniczych okolicznościach zniknęła słynna „Mona Lisa" (a właściwie za sprawą tamtej kradzieży obraz stał się naprawdę znany na całym świecie).

Włoski imigrant Vincenzo Peruggia, który pracował w Luwrze przy renowacji ram obrazów, postanowił „repatriować" do Włoch słynne dzieło Leondarda da Vinci (być może nie zdawał sobie przy tym sprawy, że w XVI w. król Francji Franciszek I jak najbardziej legalną drogą wszedł w posiadanie tego obrazu). Podczas prac w dniu zamkniętym dla zwiedzających Peruggia wykorzystał nieuwagę strażników, zdjął „Mona Lisę" ze ściany, schował się na klatce schodowej, wyjął obraz z ramy, zwinął go i nieniepokojony przez nikogo wyszedł z nim pod pachą z Luwru.

Wieści o zniknięciu obrazu wstrząsnęły całą Francją. Najlepsi paryscy inspektorzy głowili się nad rozwikłaniem tej zagadki, a tymczasem obraz kolejne dwa lata przeleżał w mieszkaniu Peruggia. Sprawa wyjaśniła się dopiero wtedy, gdy Włoch postanowił przewieźć dzieło sztuki do Florencji. Wpadł podczas spotkania z właścicielem tamtejszej galerii sztuki, oferując mu „Mona Lisę". W styczniu 1914 r. dzieło da Vinci wróciło do Luwru, a sam Peruggia otrzymał za swoją zuchwałą kradzież bardzo niewielki wyrok – zaledwie rok za kratkami. Być może wpływ na to miał fakt, że proces toczył się we Włoszech, a oskarżony podnosił przed sądem, że jego czyn wynikał z pobudek patriotycznych.

PUSTE RAMY

Eksperci przyjmują, że największą pojedynczą kradzieżą dzieł sztuki był napad, do którego doszło w 1990 r. w bostońskim Muzeum im. Isabelli Stewart Gardner. Złodzieje, przebrani za policjantów, ukradli w nocy 13 wyjątkowo cennych obrazów, m.in. „Burzę na Jeziorze Galilejskim" Rembrandta i „Koncert" Jana Vermeera. Według szacunków były one warte nawet pół miliarda (!) dolarów. Skok był wykonany przez profesjonalistów – policji nie udało się ująć sprawców i do dziś nie wiadomo, co się stało z tymi arcydziełami. Symboliczne puste ramy wiszące w muzeum na swoich miejscach wciąż czekają na zaginione obrazy.

Puste miejsca na muzealnych ścianach szybko zapełniły się na nowo

eprasa.pl e52cb26f6a

w przypadku dwóch muzeów w Oslo. Kryminalni amatorzy dzieł Edvarda Muncha dwukrotnie kradli jego słynny „Krzyk" (a konkretnie dwie różne wersje tego obrazu). Za pierwszym razem – w 1994 r. – złodzieje skorzystali ze znanego sposobu na „drabinę". Dziesięć lat później drugi „Krzyk" został już ukradziony w mniej „dżentelmeński" sposób – uzbrojeni bandyci zastraszyli ochronę. W obu przypadkach policja odzyskała dzieła sztuki.

W czołówce głośnych skoków na amerykańskie muzea niewątpliwie znajduje się też iście komediowa historia z 1964 r. Człowiek znany później w mediach jako „Murph the Surf", wraz ze wspólnikiem okradł wówczas Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku z bogatej kolekcji diamentów, rubinów oraz szmaragdów. Element komediowy dotyczy samego pomysłu na włam. Przyszli rabusie wpadli na niego zupełnym przypadkiem, gdy podczas wizyty w tej instytucji zauważyli, że jedno z okien jest uchylone. Gdy potwierdziło się, że jest to norma, koledzy postanowili działać.

Najważniejszą pozycją w muzealnej kolekcji była olśniewająca „Gwiazda Indii". Ten niemal nieskazitelny klejnot o masie 563 karatów (112,67 g) jest jednym z największych na świecie szafirów. Obaj złodzieje wpadli dosyć szybko, ponieważ byli kompletnymi amatorami. Tuż po włamie zaczęli organizować w hotelu głośne balangi i rozdawać na lewo i prawo ogromne napiwki, co w końcu zwróciło uwagę policji. Większość ich łupów udało się odzyskać, a oni sami powędrowali za kratki (choć ich młody wiek i nonszalanckie zachowanie sprawiły, że zyskali spore grono fanów, którzy domagali się uwolnienia tych „rabusiów z przypadku").

DREZDEŃSKA ROBOTA

W przypadku kradzieży dzieł sztuki wartość łupu często jest umowna i trudno tu operować konkretnymi sumami. Wszystko wskazuje jednak na to, że w Europie rekordowy skok na muzeum miał miejsce w 2019 r. Złodzieje obrabowali wtedy muzeum Zielone Sklepienie (niem. Grünes Gewölbe), mieszczące się na zamku w Dreźnie. Ich plan z powodzeniem mógłby się znaleźć w scenariuszu filmowym, tym bardziej że nie zabrakło w nim płomieni. Bandyci wysadzili w powietrze skrzynkę transformatorową, by mieć pewność, że w okolicy nie będzie prądu. Ich łupem padły m.in. trzy komplety królewskiej biżuterii wysadzanej drogimi kamieniami. Wśród skradzionych precjozów znalazł się także brylantowy Order Orła Białego należący do Augusta II Mocnego.

Wartość skradzionych klejnotów szacowano na ponad 100 mln euro (ok. pół miliarda złotych). Bandyci na koniec skoku rozpylili w muzeum proszek, by utrudnić policji pracę. Jednak mozolne śledztwo przyniosło w końcu rezultaty. Trzy lata po tym brawurowym skoku udało się odzyskać zdecydowaną większość skradzionych przedmiotów, a pięciu bandytów zostało skazanych na wyroki od czterech do sześciu lat. Francuskie media przypominają dziś tę historię, niejako ku pokrzepieniu serc – być może i tym razem policja stanie na wysokości zadania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Zamów na www.esprit.com.pl lub pod numerem telefonu: 12 262 35 51

eprasa.pl e52cb26f6a

Wędrówki ludów w salonach moto

Jacek Przybylski z Nicei

Czerwony Smok szturmem wdziera się do Europy. Chińscy producenci z miesiąca na miesiąc zdobywają coraz większy udział w rynku. Tradycyjne marki szukają więc sposobów, aby obronić swój udział w motoryzacyjnym torcie. I chodzi nie tylko o promocje, lecz także premiery takich modeli, przy których serce zaczyna bić szybciej

Legendarna Honda Prelude – dobrze znana nie tylko fanom filmów z cyklu „Szybcy i wściekli" – powraca na drogi! Najnowsze wcielenie modelu będącego wcieleniem marzeń nastolatków z lat 90. ubiegłego wieku na szczęście nie zmieniła się w modnego SUV-a. Klasyczne coupé znów przyciąga wzrok przechodniów i innych kierowców. Kusi sportowym charakterem, aerodynamiczną sylwetką i prowokuje zalotnymi, opływowymi kształtami. Wrażenie robi zwłaszcza gładka i czysta linia dachu, którą Japończykom udało się uzyskać dzięki technologii lutowania laserowego. Aby Hondzie łatwiej było zdobyć serca młodych kierowców, klamki drzwi są zlicowane (co jednocześnie poprawia aerodynamikę auta), nowoczesne LED-owe reflektory przypominają skrzydła. W kabinie o sportowych ambicjach modelu przypominają m.in. skórzane fotele ze zintegrowanymi zagłówkami, sportowa kierownica, aluminiowe łopatki do „przełączania biegów" oraz przycisk S+.

Sercem czteromiejscowego Prelude jest hybrydowy napęd. Aby auto było dynamiczne, jego maksymalny moment obrotowy wynosi aż 315 Nm. O tym, jak się nim jeździ, napiszemy w przyszłym tygodniu w cotygodniowej rubryce Moto. Możemy jedynie zdradzić, że ubiegłotygodniowa europejska premiera tego modelu w Nicei to jeden z najbardziej spektakularnych motoryzacyjnych powrotów do korzeni ogłoszony w roku 2025. Przez lata właśnie ten model służył bowiem jako wizytówka najnowocześniejszego japońskiego designu. Przedstawiciele Hondy podkreślają, że szósta już generacja kultowego auta, którego oryginalna wersja zadebiutowała na

eprasa.pl e52cb26f6a

Honda Prelude – ikona japońskiej motoryzacji – powraca na europejskie drogi FOT. JAP

rynku niemal pół wieku temu (dokładnie w 1978 r.), ma się stać tym modelem, na którego widok serce będzie biło mocniej nie tylko 50-latkom.

Czy Prelude będzie budził większe pożądanie niż modele producentów z Chin? Jeden z japońskich inżynierów, z którymi rozmawiałem w Nicei, nie ma wątpliwości, że tak. I nie tylko on tak sądzi. – Honda zawsze szła dwoma ścieżkami. Pierwszą było nasze sportowe DNA, a drugą zaawansowanie technologiczne. Prelude jest zarówno sportowy, jak i bardzo zaawansowany technologicznie. Nasz Civic też jest turbo sportowym samochodem, ale Prelude ma być taką wisienką na torcie – mówi „Do Rzeczy" Ewa Hinz-Bagińska, marketing & PR section manager w polskim oddziale Honda Motor Europe Limited.

– Przyglądamy się bacznie temu, jak chińskie marki rosną w siłę. Obserwujemy też i badamy, kto kupuje chińskie samochody, i widzimy, że nie jest to nasz klient – mówi nam Ewa Hinz-Bagińska. Reprezentanci japońskiej firmy wymieniają jeszcze inne argumenty, dla których warto zostać przy Hondzie: to przystępne ceny serwisowania samochodu, dostępność części zamiennych oraz wysoka cena przy odsprzedaży.

REKORDOWA LICZBA REJESTRACJI

Z najnowszych danych Instytutu Badań Rynku Motoryzacyjnego Samar wynika, że w ubiegłym miesiącu zarejestrowano w Polsce niemal 50 tys. samochodów osobowych. W porównaniu z wrześniem ubiegłego roku to wynik lepszy o 20 proc., a jednocześnie jest to najlepszy rezultat w historii prowadzenia tego typu statystyk. Eksperci IBRM Samar zauważają, że mocny popyt sprawia, iż choć prognoza na cały rok 2025 zakłada nadal rejestrację ok. 585 tys. samochodów osobowych, to może się okazać, że będzie ona skorygowana w górę.

Na polskim rynku wciąż przoduje Toyota. W pierwszej piątce znalazły się też Škoda, Volkswagen, Kia i BMW. Jednocześnie kolejne rekordy biją w polskich salonach producenci z Chin. Tylko we wrześniu sprzedali oni rekordową liczbę nowych samochodów: aż 4419 egzemplarzy. Ich udział w polskim rynku wyniósł zaś 8,9 proc. Agresywna polityka cenowa chińskich producentów sprawia, że istotnie gorzej sprzedają się auta choćby takich marek jak Renault czy Hyundai.

Podobny trend widać w całej Europie. Według danych Dataforce sprzedaż aut na Starym Kontynencie wzrosła aż o 11 proc. rok do roku. Udział w rynku chińskich marek wyniósł zaś 7,4 proc. To rekord – jeszcze rok temu wynosił on bowiem 3,3 proc. W ubiegłym miesiącu BYD pobiło już sprzedaż Fiata, a MG wyprzedziło Volvo. Pierwszą trójkę chińskich producentów stanowiły zaś SAIC (MG), BYD oraz Chery.

Marka MG jest liderem również wśród chińskich producentów nad Wisłą, która we wrześniu sprzedała 1313 nowych samochodów, co oznacza wzrost o ponad 450 proc. rok do roku (ponad 20-krotnie wyższe tempo niż średni wzrost całego rynku, wynoszące 20,2 proc.). W pierwszych trzech kwartałach 2025 r. MG zarejestrowało w Polsce ok. 9 tys. samochodów. – Sukces MG w Polsce to po prostu efekt dobrej strategii i zrozumienia, czego oczekują klienci. Polacy chcą dziś solidnego, dobrze wyposażonego samochodu w rozsądnej cenie – bez poczucia, że muszą z czegoś rezygnować. Od początku skupialiśmy się nie tylko na sprzedaży, lecz także na budowaniu zaufania wśród naszych klientów i poszerzania sieci dealerskiej. Dziś mamy już 49 salonów w całym kraju, więc klienci mogą łatwo obejrzeć i przetestować nasze auta. Nie bez znaczenia jest też fakt, że MG było jedną z pierwszych marek z chińskim kapitałem, które weszły do Polski z kompletną ofertą i zapleczem serwisowym. To dało nam pewien startowy komfort – tłumaczy „Do Rzeczy" Paulina Skowron, PR & communication manager, SAIC Motor Poland. I dodaje, że MG od początku inwestuje w rozwój sieci serwisowej w Polsce i całej Europie. – Dziś mamy już dobrze zorganizowany system dostaw części i rosnącą liczbę autoryzowanych punktów obsługi. W samej Polsce to już 48 punktów serwisowych, a liczba nadal rośnie – podkreśla Paulina Skowron.

Coraz więcej klientów znajdują także marki należące do koncernu Chery Group, który jest zarówno liderem sprzedaży na rynku chińskim, jak i – od dwóch dekad – największym eksporterem samochodów z Chin. Jedynie w pierwszych trzech kwartałach 2025 r. koncern ten sprzedał ponad 2 mln pojazdów, co oznacza wzrost rok do roku o 14,5 proc. Tylko na Stary Kontynent Chery Group wyeksportowała od stycznia do końca września ponad 936 tys. egzemplarzy (wzrost o 12,9 proc. rok do roku).

– Sprzedawane w naszych salonach samochody zostały zaprojektowane specjalnie na europejski rynek i stanowią zaprzeczenie stereotypu, według którego chińska produkcja jest niskiej jakości. Kolejne modele marek Omoda i Jaecoo są dopracowane stylistycznie i technologicznie, dzięki czemu w niektórych obszarach są nie tylko na równi, lecz także znajdują się o klasę wyżej niż zachodni konkurenci. Zresztą wiele elementów, w tym np. baterie do samochodów czy niektóre technologie, zachodni producenci również importują z Chin. Mogę więc wymienić wiele przykładów modeli premium zachodnich marek, które, choć są dużo droższe, to są jednocześnie gorzej wykonane i reprezentują niższy poziom technologiczny niż najnowsze modele marek koncernu Chery – mówi

eprasa.pl e52cb26f6a

Model MG HS we wrześniu pierwszy raz w historii trafił do pierwszej dziesiątki najczęściej rejestrowanych aut osobowych w Polsce FOT. JAP

„Do Rzeczy" dyrektor handlowy Grupy Bemo Tomasz Susko, która w połowie października otworzyła pod Warszawą najnowszy salon marek Omoda i Jaecoo.

Omoda 9 to obecnie najdroższy model marki, który cennikowo kosztuje 219,9 tys. zł. I też cieszy się popularnością. – Klienci, którzy kupują u nas ten model, bardzo często jeździli wcześniej autami klasy premium. Zapytałem ostatnio jednego z nich: Dlaczego? I wyjaśnił mi to: moi znajomi chwalą się, że wydali na swoje auto 400–500 tys., a ja im wówczas odpowiadam, że ja mam to samo, czyli skórzaną tapicerkę, chrom i nowoczesne technologie pod maską, a wydałem na nowe auto połowę tej kwoty – opowiada nam Tomasz Susko, który zanim zaczął sprzedawać „chińczyki", ponad ćwierć wieku pracował dla jednego z zachodnich koncernów. Omoda 9 sprzedaje się już tak dobrze, że jej nabywcy na dostawę muszą czekać do lutego–marca 2026 r.

UREALNIENIE CEN

Rekordy sprzedaży chińskich marek – które już w oficjalnych cennikach oferują tańsze samochody, a podczas zakupu przeważnie można jeszcze obniżyć ostateczną cenę o te 5–6 tys. lub o pakiet ubezpieczenia za symboliczną złotówkę – doprowadziły do błyskawicznego urealnienia cen na polskim rynku.

Silna konkurencja tańszych modeli sprawiła, że nagle okazało się, że wcale nie jest tak, jak niektórzy nam wmawiali, że wszystkie samochody muszą tylko drożeć, a o wyprzedażach i promocjach można już na zawsze zapomnieć. Niemal wszystkie tradycyjne marki zachodnie ogłosiły w tym roku specjalne promocje, a „wyprzedaże" – wbrew wcześniejszym ostrzeżeniom – nie tylko powróciły, lecz także zaczęły się już wiele tygodni temu. Ceny katalogowe znacząco spadły. Upusty i rabaty u dilerów takich marek jak Toyota, Škoda czy Cupra sięgają obecnie 20– 30tys. zł. Hyundai oferuje łączną zniżkę do 34,5 tys. zł. Ceny niektórych egzemplarzy marek premium, które stoją na placach u dilerów, można zaś zbić podczas negocjacji o 10, a czasem nawet o 20 proc.

– Rzeczywiście to pierwszy przypadek po ponad dwóch dekadach – gdy pojawiły się marki południowokoreańskie – kiedy nowi, istotni gracze spowodowali ogromne przetasowanie na rynku europejskim, w tym na rynku polskim. Nie wiadomo, jak się ta rewolucja skończy. Obserwujemy już jednak, że faktycznie konkurenci zaczęli zmieniać cenniki, a także wyciągać wnioski z tego, jak Chińczycy projektują i produkują swoje samochody. Przewagą marek chińskich jest bowiem o połowę krótszy niż w przypadku zachodnich marek czas od projektu po wdrożenia – podkreśla w rozmowie z „Do Rzeczy" Tomasz Susko.

Również japońska Honda znana jest z tego, że nawet podstawowe wersje sprzedaje już mocno doposażone. Japoński koncern, który podczas pandemii utrzymywał wysokie ceny samochodów, w ubiegłym i w tym roku wyraźnie obniżył ceny oferowanych nad Wisłą modeli. – Polski rynek w ostatnich miesiącach bardzo mocno się zmienił. Zaczęła się gigantyczna walka cenowa. I dlatego my również musieliśmy skorygować ceny nawet na nasze hity. Nie oferujemy przez cały rok rabatów na poziomie 40–50 tys. zł, bo taka szalona polityka cenowa obniża wartość rezydualną samochodów. Z roku na rok sprzedajemy coraz więcej samochodów – tłumaczy „Do Rzeczy" Ewa Hinz-Bagińska, podkreślając, że w zeszłym roku fiskalnym klientów nad Wisłą znalazło 4,5 tys. nowych samochodów Hondy, a w tym roku celem jest już 6 tys. sprzedanych egzemplarzy.

TANIEJĄ TEŻ AUTA UŻYWANE

Jednocześnie – jak zauważył japoński dziennik biznesowy „The Nikkei" – Honda Motor z sukcesem realizuje nową strategię na utrzymanie konkurencyjności nie tylko na rynku globalnym, lecz także na arcytrudnym rynku chińskim, m.in. wykorzystując właśnie efekt skali do zmniejszania kosztów produkcji. Podobny mechanizm wykorzystują producenci z Chin walczący o Europę. Dlaczego ich nowe samochody są tak tanie? – Odpowiedź jest dość prosta – skala i efektywność. Produkcja w dużych wolumenach pozwala nam utrzymywać atrakcyjne ceny, bez kompromisów w jakości. Do tego dochodzi przemyślana strategia oparta na przystępności – nie sprzedajemy „logotypu", tylko konkretny produkt, w którym klient naprawdę widzi wartość. MG to marka, która stawia na rozsądne ceny i prostą, klarowną ofertę, bez zbędnych dodatków, które sztucznie podnoszą koszt auta – stwierdza Paulina Skowron.

Wiele „dodatków" Chińczycy mają już w standardzie. Przykładem są np. przyciemniane szyby. U niektórych dilerów nadal trzeba dopłacić za nie od kilkuset do 1,5 tys. zł. Tymczasem ich produkcja w porównaniu z tymi normalnymi kosztuje producentów ułamek tej kwoty. Chińczycy wyprowadzili w ten sposób kolejny cios w dilerów tych marek, którzy na wielu podobnych udogodnieniach mieli i często nadal mają gigantyczne marże.

Ofensywa chińskich producentów mocno zmienia rynek nie tylko nowych aut, lecz także samochodów używanych. Dilerzy opowiadają, że wielu nabywców pachnących nowością egzemplarzy wcześniej kupowało wyłącznie auta dwu-, trzyletnie. To zaś sprawia, że popularne samochody używane również wyraźnie staniały.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e52cb26f6a

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Podatek wojenny?

Coraz głośniej słychać o potrzebie wprowadzenia w Polsce podatku wojennego na rozwój armii. I jak zwykle najgłośniej gardłują w tej sprawie ci politycy, którzy w ostatnich dekadach – gdy Polska rozwijała się bardzo szybko i notowała wielkie wzrosty PKB – zamiast przez cały ten czas regularnie wydawać odpowiednią część wielgachnych kwot podatków ściąganych z Polaków m.in. właśnie na stworzenie armii adekwatnie silnej do położenia Polski, większość publicznych pieniędzy roztrwonili na „transfery socjalne", czyli na korumpowanie swych wyborców, by ci dalej wybierali ich do władzy. I właśnie dlatego nie powinno być nawet mowy o wprowadzeniu podatku wojennego, zanim politycy ci nie odbiorą rozdanych przez siebie wyborcom prezencików finansowanych przez pozostałych podatników.

Po pierwsze więc – zanim wprowadzono by podatek wojenny – politycy (głównie z PiS, Platformy i PSL) powinni skasować lub co najmniej mocno zredukować zasiłki i dodatki niewynikające z niepełnosprawności, takie jak – w pierwszej kolejności – „800+" oraz 13. i 14. emerytury. Już tylko na likwidacji tych dwóch zasiłków zyskalibyśmy co roku do wydania na armię ok. 100 mld zł.

Po drugie, jeśli wszyscy mamy partycypować na równych prawach (i obowiązkach) w utrzymywaniu naszego państwa, w tym jego armii, to należałoby najpierw raz na zawsze zlikwidować branżowe i grupowe przywileje, które dzielą Polaków na równych i równiejszych. Należałoby skasować przywileje emerytalne – rolników, górników, nauczycieli, sędziów, prokuratorów, policjantów itd. Dałoby to co roku oszczędności w wysokości kolejnych grubych dziesiątek miliardów złotych, które można by wydawać na armię. Nie inaczej należałoby postąpić z pozostałymi przywilejami, w tym np. rolników, i sprawić, żeby także oni wreszcie zaczęli płacić podatek PIT, a także składki zdrowotne w takiej samej wysokości, jak inni Polacy. To dałoby co roku kolejne kilkadziesiąt miliardów złotych, które można by wydawać na wzmocnienie armii.

I dopiero wtedy, gdy już wszyscy Polacy będą równi wobec prawa (i obowiązków), gdy będą na równi łożyć na utrzymywanie swego państwa – jego służby zdrowia, administracji, szkół, policji, wojska itd. – czyli gdy będą płacić wszystkie podatki i wszystkie składki według tej samej reguły i gdy mimo to na zbrojenia zabraknie pieniędzy w budżecie – będzie można (a nawet będzie trzeba) pomyśleć o wprowadzeniu specjalnego podatku wojennego – także według tych samych reguł dla wszystkich Polaków; i tych ze wsi, i tych z miast, i rolników, i górników, i sędziów, i prokuratorów. Nie wcześniej i nie inaczej. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Mentalna lewica i prawica w PiS

Proszę sobie wyobrazić taką sytuację (właściwie nawet nie trzeba jej sobie za bardzo wyobrażać, bo to się już dzieje): władza maksymalnie utrudnia jazdę samochodem. Na zmotoryzowanych nakładane są kolejne podatki, wchodzi ETS2, który drastycznie podwyższa cenę paliwa, kolejne miasta wprowadzają strefy czystego transportu, zabierają miejsca parkingowe. Unia śrubuje normy emisji spalin i ciągle wydłuża listę obowiązkowego wyposażenia, wskutek czego nowe auta mają coraz wyższe ceny, a w zamian są coraz wolniejsze i kłopotliwsze w obsłudze.

Poddani olbrzymiej presji obywatele zaczynają rezygnować z samochodów i ich liczba w Polsce radykalnie spada. Wtedy jakiś lewicowy rząd bierze statystykę i triumfalnie pokazuje: „Proszę bardzo, ludzie już nie chcą jeździć samochodami. Wprowadzamy zatem zakaz posiadania prywatnych aut, przecież i tak większość ich już nie używa".

Dokładnie tak jest z hodowlą zwierząt na futra. Polscy hodowcy są terroryzowani groźbą odgórnej likwidacji swoich ferm od momentu, gdy PiS – na czele z ogarniętym prozwierzęcą obsesją Jarosławem Kaczyńskim – zaproponował „piątkę dla zwierząt" w 2020 r. Przypominam, że pierwszy projekt był iście bolszewicki, bo nie przewidywał nawet odszkodowań. Skutkiem tego jest duży spadek produkcji – z 8,5 mln skór w szczytowym momencie do 2,7 mln w ubiegłym roku. Mimo to Polska pozostaje po Chinach drugim producentem na świecie!

17 października za zaoraniem branży w Sejmie opowiedziało się 100 posłów PiS, w tym oczywiście Kaczyński, a także tacy jego wierni pretorianie w prozwierzęcej krucjacie jak: Radosław Fogiel, Piotr Gliński, Joanna Lichocka, Łukasz Mejza, Mateusz Morawiecki czy Grzegorz Puda, były minister rolnictwa, w tamtym czasie wielki wielbiciel prozwierzęcych jaczejek. Przeciw była mniejszość klubu – 55 posłów. Osiemnastu wstrzymało się od głosu.

Tu nie chodzi jedynie o biznes, pozbawienie ludzi pracy, a budżetu – dochodów. To głosowanie było w istocie poważną deklaracją światopoglądową, wyznaczającą w klubie największej partii opozycyjnej granicę między mentalną prawicą a lewicą. Dlatego warto przyjrzeć się uważnie, kto jak oddał głos. Będzie to również poważny test dla prezydenta. ©℗

eprasa.pl e52cb26f6a

Zabawki lewicowej aktywistki

FOT. JAREK PRASZKIEWICZ/PAP

Łukasz Warzecha

Najbardziej znany – i ściśle ideologiczny – projekt pani minister to czterodniowy tydzień pracy. Chodzi o to, żeby wymusić na pracodawcach zachowanie wynagrodzenia przysługującego pracownikom za pięć dni pracy przy pracy przez cztery dni. To oczywiście oznacza radykalny wzrost kosztów pracy

Jak mówi stare niemieckie powiedzenie: „Acht und achtzig Professoren – Vaterland, du bist verloren!" (niesłusznie podobno przypisywane Ottonowi von Bismarckowi). Jest w tym dużo prawdy. Pasuje ono także do sytuacji, gdy do rządzenia dorywają się ludzie niemający w danej dziedzinie żadnych kompetencji, za to mający wizję. To najgorszy możliwy wariant. Bywa bowiem i tak, że na czele resortu stawiana jest osoba bez żadnej wiedzy w danej dziedzinie, która jednak daje się prowadzić bardziej doświadczonym urzędnikom czy politykom. To może nawet dawać całkiem niezłe rezultaty, jeśli taki ktoś ma otwartą głowę i chce się uczyć. Zupełnie inaczej wygląda to w przypadku niekompetentnych ideologów, przekonanych o własnej genialności, zwłaszcza gdy dostają oni w pacht sferę czułą na złe zarządzanie i bezsensowne interwencje.

Obecny rząd układał się z uwzględnieniem skomplikowanej konstrukcji koalicyjnej, ale to politycznie nie usprawiedliwia wszystkich decyzji personalnych premiera. Jedną z najgorszych decyzji Donald Tusk tak ogłaszał w swoim dramatycznie rozwlekłym (odwrotnie proporcjonalnie do efektów) exposé z 12 grudnia 2023 r.:

„Pani Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, jeśli Wysoka Izba tak zdecyduje, będzie powołana na urząd ministra rodziny, pracy i polityki społecznej. W czasie naszego spotkania – bo także z panią minister zdążyliśmy już parę ładnych godzin przepracować – prosiła o zmianę, która jest symboliczna, ale będzie miała praktyczne konsekwencje, mianowicie aby przywrócić słowo »praca« w nazwie tego ministerstwa. I powiedziała zdanie, które jest bardzo bliskie memu sercu i całej koalicji 15 października: ludzie, Polki, Polacy, którzy pracują, muszą mieć dowody, że państwo szanuje przede wszystkim ich wysiłek. Ludzie, którzy ciężko pracują, będą naprawdę wiedzieli, że to ma sens, że to jest kwestia ich szans na dobrobyt, kwestia finansowa, ale też godnościowa. Bardzo dziękuję pani Agnieszce Dziemianowicz-Bąk za ten na razie symboliczny, ale od jutra też praktyczny aspekt działania tego ministerstwa".

ZAWODOWA DZIAŁACZKA

Agnieszka Dziemianowicz-Bąk to stuprocentowa humanistka i przez większość swojego zawodowego życia aktywistka. Absolwentka pedagogiki i filozofii napisała pracę doktorską zatytułowaną „Reprodukcja – Opór – Upełnomocnienie. Radykalna krytyka edukacji we współczesnej zachodniej myśli społecznej".

Działalność polityczną zaczęła w skrajnie lewicowej Partii Razem, organizowała czarne protesty, kampanię Roberta Biedronia w 2020 r., a w 2021 r. poczuła wreszcie, gdzie leżą konfitury, i przystąpiła do Nowej Lewicy. Jest zatem pani minister najbardziej klasycznym przykładem grupy zawodowych działaczy. Nigdy nie pracowała na własny rachunek, nigdy nie miała nawet pobieżnie do czynienia z biznesem – chyba że obierając go za cel swoich ataków. Nigdy też, nawet naukowo, nie zajmowała się ekonomią. Dramat polega na tym, że Donald Tusk postawił taką osobę na czele ministerstwa, którego kompetencje wchodzą w sferę biznesu i gospodarki. To manewr przypominający nieco obsadzenie w roli wiceministra klimatu odpowiedzialnego za łowiectwo Mikołaja Dorożały, otwarcie wrogiego myśliwym.

Taki podział kompetencji, w którym Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej odpowiada w dużej części za sprawy czysto gospodarcze, konfliktując się nieuchronnie z Ministerstwem Rozwoju i Technologii, a obecnie Ministerstwem Finansów i Gospodarki, jest bardzo nieszczęśliwy. Obecność na czele pierwszego z tych resortów pani Dziemianowicz-Bąk to nieszczęście jedynie pogłębia.

Zresztą nieustanne zmiany zakresu kompetencji resortów nie sprzyjają ochronie interesów przedsiębiorców. Agnieszka Dziemianowicz-Bąk trwa na stanowisku, podczas gdy Ministerstwo Rozwoju i Technologii, poprzednio kierowane przez Krzysztofa Paszyka z PSL, zostało przy okazji rekonstrukcji rządu zlikwidowane i „wcielone" do Ministerstwa Finansów i Gospodarki pod kierownictwem Andrzeja Domańskiego. To bardzo osłabia pozycję biznesu w starciu z panią minister. Domański nie ma własnej pozycji politycznej, jest całkowicie zależny od Donalda

eprasa.pl e52cb26f6a

Tuska. Dopóki istniał odrębny resort rozwoju i technologii pod kontrolą jednego z koalicjantów, dopóty wymuszało to na ministrze aktywność w obronie własnego pola kompetencji i pozycji partii w koalicji. Dziś sprawy przedsiębiorców należą do ministerstwa, które jednocześnie zajmuje się księgowością budżetu. Jest to wątpliwe, chociażby z punktu widzenia działań Krajowej Administracji Skarbowej wobec biznesu, bo za ochronę tego ostatniego przed nadużyciami KAS odpowiada człowiek zarazem KAS nadzorujący. Ale może właśnie o to w tej zmianie chodzi – aby przedsiębiorców pozbawić solidnej reprezentacji w rządzie.

Najbardziej znany – i ściśle ideologiczny – projekt pani minister (która sama siebie nazywa „ministrą") to czterodniowy tydzień pracy. To pomysł w oczywisty sposób absurdalny z ekonomicznego punktu widzenia. Jego istotą jest bowiem to, żeby wymusić na pracodawcach zachowanie wynagrodzenia przysługującego pracownikom za pięć dni pracy przy pracy przez cztery dni. To oczywiście oznacza radykalny wzrost kosztów pracy. Być może podstawowa matematyka jest dla pani minister za trudna, ale jest ona też nieubłagana. Jeśli pracownik w ciągu pięciu dni wytwarza 100 produktów i otrzymuje za to (dla uproszczenia) 1000 zł, to znaczy, że za każdy produkt otrzyma 10 zł. Jeśli odejmiemy jeden dzień, to produktów będzie 80, ale nadal pracownik będzie musiał otrzymać 1000 zł, czyli koszt produkcji jednostki wzrośnie do 12,5 zł. Zapłacą oczywiście klienci, ale też w wielu przypadkach biznes zwyczajnie przestanie się opłacać, o czym alarmował już jakiś czas temu ówczesny minister rozwoju Krzysztof Paszyk. „Chciałbym przestrzec panią minister Dziemianowicz-Bąk przed dalszym brnięciem w pomysł czterodniowego tygodnia pracy, jeśli nie chce być ministrą, która doprowadzi do kolejnych bankructw setek tysięcy polskich przedsiębiorców. Jeśli nie chce być ministrą, która doprowadzi do zapaści na rynku pracy" – mówił.

To jednak nie koniec. Są branże – przede wszystkim usługi – gdzie nie da się skrócić czasu pracy. Nie da się zamknąć na kolejny dzień tygodnia banków, transportu, rozrywki. A skoro tak, to trzeba będzie zapłacić za kolejne nadgodziny. I o ile można starać się podnieść produkcyjność w branżach zajmujących się wytwarzaniem dóbr, o tyle nie da się tego zrobić w usługach. Jeśli pracownik w ciągu dnia obsługuje 10 klientów, to w ramach skrócenia tygodnia pracy nie zacznie nagle obsługiwać 15 osób. Jednak dla pani minister to jakieś nieistotne detale.

Agnieszka Dziemianowicz-Bąk na swój zabawkowy program przeznaczyła do 2027 r. 50 mln zł z publicznych pieniędzy. Podmiotom, które wezmą udział w programie pilotażowym, będzie się bowiem dopłacać, co chyba wystarczająco pokazuje, z jak piramidalnym absurdem mamy do czynienia.

Do programu zakwalifikowało się 90 podmiotów. Jak szybko zauważono, prywatne firmy stanowią mniej niż połowę, a przyznane dofinansowania przypominają słynny konkurs w ramach KPO. Oto przykłady: Lasy Państwowe Nadleśnictwo Babimost – 939 tys. zł, Wodociągi Siemianowickie Aqua-Sprint sp. z o.o. – 974 tys. zł, Wodociągi Chrzanowskie sp. z o.o. – 443 tys. zł, Urząd Żeglugi Śródlądowej w Szczecinie – 202 tys. zł, Powiatowy Inspektorat Nadzoru Budowlanego w Rawie Mazowieckiej – 100 tys. zł, Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury w Toruniu – 264 tys. zł, wreszcie kilkadziesiąt urzędów gmin i miast, z których wiele otrzymało blisko milion złotych. Niepojęte jest, dlaczego w ogóle do udziału w programie zostały dopuszczone przedsiębiorstwa komunalne czy jednostki administracji publicznej, którymi są urzędy wojewódzkie, gmin albo miast. W ich przypadku skrócony tydzień pracy oznacza, że interesantom trudniej będzie tam cokolwiek załatwić, a budżet z programu pani minister jest przerzucaniem pieniędzy z kieszeni do kieszeni. Jak gorzko zaczęli zauważać przedsiębiorcy – za ich pieniądze Agnieszka Dziemianowicz-Bąk utrudnia im działalność.

NIECH SIĘ DZIEWCZYNA WYŻYJE

Nie jest to jednak jedyny genialny pomysł lewicowej aktywistki na stanowisku ministra. Nienawidząca prywatnego biznesu Agnieszka Dziemianowicz-Bąk wystąpiła również kilka miesięcy temu z projektem zmian w składzie Rady Dialogu Społecznego. RDS to ustawowo umocowane forum debaty pomiędzy pracodawcami, związkami zawodowymi i rządem. Tam dyskutuje się m.in. o planowanych podwyżkach wynagrodzenia minimalnego, z tym że w tej sprawie rola RDS jest od dawna jedynie symboliczna, ustawa o płacy minimalnej mówi bowiem, że w razie nieosiągnięcia porozumienia w radzie rząd podejmuje decyzję sam – i tak dzieje się już od lat.

Na początku tego roku pani minister wymyśliła sobie tymczasem, że reprezentacja pracowników i pracodawców miałaby być ograniczona do trzech największych z każdej strony. W przypadku związków zawodowych nie oznaczałoby to żadnej zmiany, podczas gdy reprezentacja pracodawców skurczyłaby się aż o cztery podmioty, i to te reprezentujące mniejszy biznes. W RDS pozostałyby tylko organizacje skupiające największy biznes, dobrze żyjące z rządem: Konfederacja „Lewiatan", Pracodawcy RP i Business Center Club. Wypadłyby: Związek Rzemiosła Polskiego, Związek Przedsiębiorców i Pracodawców, Federacja Przedsiębiorców Polskich oraz Polskie Towarzystwo Gospodarcze. Projekt został poddany druzgocącej krytyce nie tylko przez organizacje zrzeszające małe i średnie firmy, lecz także przez rzecznika małych i średnich przedsiębiorców, i na razie nie są nad nim prowadzone dalsze prace.

Agnieszka Dziemianowicz-Bąk nigdy nie pracowała na własny rachunek, nigdy nie miała nawet pobieżnie do czynienia z biznesem

Inny potencjalnie fatalny w skutkach projekt pani minister zakładał zmianę w ustawie o płacy minimalnej, tak aby wynosiła ona 60 proc. przeciętnego wynagrodzenia. Ten pomysł storpedował osobiście premier.

Być może pilotażowy program czterodniowego tygodnia pracy należy widzieć w kontekście pozostałych szalonych pomysłów Dziemianowicz-Bąk. Może szef rządu doszedł do następującego wniosku: „Niech sobie tam Agnieszka ten swój program robi, i tak nic z tego nie wyniknie, a dziewczyna się wyżyje". Szkoda tylko, że to wyżycie się kosztuje podatnika 50 mln zł.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e52cb26f6a

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Morska mogiła admirała Wittego

JACEK KOMUDA

Spośród wraków dawnych statków, które w XVII w. zatonęły na Bałtyku, znane są w Polsce przede wszystkim dwa. „Vasa", królewski okręt wojenny Gustawa Adolfa, „niepływający", gdyż zatonął w 1628 r., krótko po zwodowaniu, i według badań naukowych nie miał w ogóle szansy pływać. A także „Solen", który został wysadzony w powietrze w trakcie bitwy pod Oliwą, po zdobyciu go przez polską piechotę morską. Już w naszych czasach wydobyto pozostałe po nim działa i wiele przedmiotów, które oglądać można w Muzeum Morskim w Gdańsku. Nie znaleziono jednak pozostałości dwóch innych polskich galeonów – „Rycerza św. Jerzego" i „Żółtego Lwa", zatopionych przez artylerię szwedzką w bitwie pod Latarnią. Mało kto wie jednak, że swój grób w Bałtyku, w nieustalonym miejscu koło wyspy Olandii, znalazł w grudniu 1627 r. galeon wojenny „Latający Jeleń", na którego pokładzie znajdował się pełniący obowiązki admirała kpt. Herman Witte. Ten sam, który pod Oliwą dowodził „Wodnikiem" i abordażował oraz zdobył wspomnianego „Solena".

„Latający Jeleń" był w naszej flocie okrętem średniej klasy. Miał 150 łasztów wyporności, czyli ok. 300 dzisiejszych ton. Uzbrojony był w 20 dział, a załoga liczyła 50 marynarzy i 80 żołnierzy piechoty morskiej, przy czym w chwili zatonięcia było ich nieco mniej. Okręt został w 1626 r. zakupiony przez królewską komisję od szypra Michała Martemana z Kopenhagi za sumę 13 429 florenów. Był to roczny koszt utrzymania małego oddziału (ok. 70 żołnierzy) piechoty polskiej lub dragonii. Jak to się jednak stało, że już kilka dni po wielkim zwycięstwie, którym była

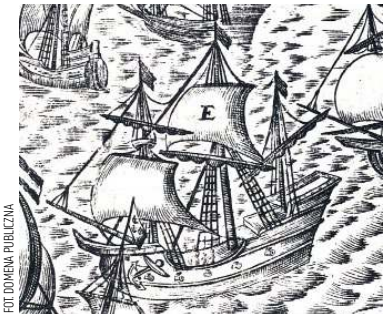

FOT. DOMENA PUBLICZNA

bitwa pod Oliwą, polski okręt spoczął na dnie Bałtyku koło Olandii? Wszystkiemu winna była poniekąd kapryśna natura naszego morza.

30 listopada, po odejściu spod Gdańska floty szwedzkiej, królewscy komisarze postanowili wysłać na Bałtyk eskadrę patrolową, która miała dowiedzieć się, co tak naprawdę stało się z pobitymi pod Gdańskiem okrętami. Spodziewano się, że powróciły do Pilawy, ale być może zechcą zawrócić, aby ponowić blokadę miasta. W tym celu sformowano eskadrę, w której skład weszły: „Latający Jeleń" z 50 żołnierzami piechoty morskiej, „Arka Noego" z kolejnymi 50, „Panna Wodna" i „Żółty Lew" z obsadą wojskową po 40 osób. Dowódcą tej grupy mianowano kpt. Hermana Wittego, który na czas wykonywania zadania awansowany został do godności admirała.

Okręty wyszły w morze dopiero 2 grudnia, po usunięciu uszkodzeń. Niestety, długo nie było o nich żadnych wieści. Dopiero 10 grudnia, jak podaje Eugeniusz Koczorowski, wróciła do Gdańska „Panna Wodna", a 11 „Arka Noego". Oba żaglowce wróciły uszkodzone, gdyż okazało się, że silny, grudniowy sztorm rozproszył eskadrę i spowodował duże uszkodzenia jednostek. Dopiero 13 grudnia powrócił szczęśliwie „Żółty Lew", zwany przez marynarzy „Starą Pinką", który przyprowadził pryza, to znaczy wzięty w sekwestr handlowy żaglowiec – holenderską fluitę. Nie było jednak żadnych wiadomości o „Latającym Jeleniu".

Dopiero ponad dwa miesiące później, w trakcie wymiany korespondencji pomiędzy królewskimi komisarzami a szwedzkim feldmarszałkiem Karlem Gustawem Wranglem, okazało się, że już 4 grudnia „Latający Jeleń" zatopiony został podczas bitwy koło szwedzkiej Olandii. Sztorm rzucił go daleko na północ, gdzie osamotniony został dostrzeżony i zaatakowany przez inne szwedzkie jednostki, a następnie zatopiony. W trakcie walki zginęła prawie cała załoga na czele z adm. Wittem. Uratowano zaledwie pięciu ludzi razem z szyprem, który jednak zmarł na skutek odmrożeń na zamku Kalmar w Szwecji.

Tak zatem dopełnił się los „Latającego Jelenia". Do dziś nie odnaleziono miejsca, w którym polski galeon leży na dnie, czekając na odkrycie i wydobycie cennych pozostałości, przede wszystkim dział. Zapewne lokalizacja miejsca jego tragedii byłaby możliwa na podstawie źródeł szwedzkich podających pozycję bitwy morskiej pod Olandią. Być może stało się to gdzieś przy wschodnich wybrzeżach wyspy, gdyż trudno się spodziewać, że tak doświadczony żeglarz i oficer jak Witte wpłynąłby w pilnie strzeżoną przez szwedzką flotę oraz umocnienia nabrzeżne Cieśninę Kalmarską. Dopóki jednak nie znajdzie się historyk, który przejrzy zawartość archiwów szwedzkiej marynarki, dopóty adm. Witte i jego załoga spoczywają w chwale w nieodkrytym morskim grobowcu, razem ze szczątkami królewskiego „Latającego Jelenia". ©℗

eprasa.pl e52cb26f6a

ŠKODA SUPERB IV LIFTBACK PHEV

FOT. JAP

Flagowy czeski model to od lat jeden ze sprzedażowych hitów na polskim rynku. I jak pokazują statystyki za 2025 r., Czesi skutecznie walczą o to, aby się to nie zmieniło. Najnowsza odmiana limuzyny polskiej klasy średniej (segment D) w wersji Liftback stała się bowiem jeszcze zwinniejsza, ma też ulepszony układ kierowniczy, bardziej stabilne zawieszenie, a dzięki większej baterii (25,7 kWh brutto) i napędowi hybrydowemu drugiej generacji jest już na tyle oszczędna, że pozwala pokonywać długie dystanse bez oglądania się na stacje benzynowe (niczym stary, dobry diesel).

Napęd hybrydowy typu plug-in (PHEV) łączy 1,5-litrową jednostkę benzynową TSI z silnikiem elektrycznym. Skrzynia biegów to sześciobiegowa DSG. Efekt? Nie tylko dobre osiągi (łączna moc to 204 KM, a sprint od zera do setki zajmuje 8,1 s), lecz także niezły zasięg podczas jazdy wyłącznie na prądzie (teoretycznie to 137 km; mnie udało się przejechać 115 km). Łączny zasięg na jednym ładowaniu i jednym baku benzyny może więc przy oszczędnej jeździe przekroczyć granicę 900 km. Jeśli zaś ktoś codziennie dojeżdża tylko z domu do biura i z powrotem, to auto spokojnie może ładować nie tylko co drugi dzień, ale wręcz raz na tydzień, a i tak silnika spalinowego nie odpalać w ogóle. Ładowanie w trasie od 10 do 80 proc. zajmuje niecałe dwa kwadranse.

Bardziej stabilne, utwardzone zawieszenie ucieszy miłośników sportowych wrażeń za kółkiem. Ci zaś, którzy wolą miękką, komfortową jazdę, mogą skorzystać z zalet opcjonalnego Dynamic Chassis Control w wersji Plus, czyli ulepszonego systemu sterowania zawieszeniem. Czesi podkreślają, że nowa wersja DCC wykorzystuje dwa niezależnie sterowane zawory do oddzielenia fazy odbicia i kompresji zawieszenia (wcześniej był jeden wspólny zawór). Efekt: szybsza reakcja na polecenia kierowcy. Szkoda jedynie, że jeśli ktoś najbardziej lubi tryb komfortowy, to po każdym uruchomieniu musi go ponownie wybrać, bo system automatycznie zaczyna nowy dzień od trybu „normalnego".

Mierząca 491,2 cm długości Škoda Superb to nie tylko najbardziej praktyczne, lecz także najprzestronniejsze auto w segmencie D. Na tylnej kanapie pasażer może założyć nogę na nogę i ma dla siebie więcej miejsca niż minister/ministra (hi, hi) w o wiele droższym audi. We wnętrzu odmiany Sportline znajdują się sportowe fotele, a także charakterystyczne dodatki z „włókna węglowego". Co kto lubi. Rewelacyjne są za to inteligentne pokrętła Smart Dials oraz nowa generacja matrycowych reflektorów, które automatycznie dostosowują wiązkę światła do bieżącego ruchu. Niestety, bateria zabrała sporo miejsca w bagażniku (jego pojemność w wersji PHEV to „tylko" 486 l).

Superb iV w wersji PHEV zaczyna się w jesiennej promocji od 181,2 tys. zł (Edition 130). Za wersję Selection trzeba zapłacić 189,1 tys. zł, za „sportową" Sportline 194,2 tys., a za luksusową L&K 203,3 tys. zł. Chińczyk płakał, jak to zobaczył...

SONOS ERA 300

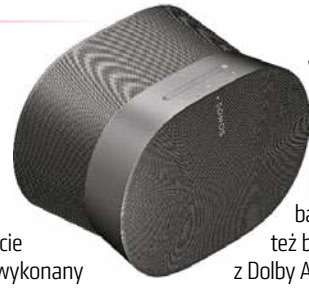

Fantastyczna jakość dźwięku przestrzennego, kompatybilność z technologią Dolby Atmos, elegancki design, łatwość obsługi oraz łączność wi-fi i Bluetooth – to największe zalety inteligentnego głośnika amerykańskiej marki Sonos.

Jak przystało na Sonosa (to odpowiednik Apple'a w świecie miłośników dźwięku wysokiej jakości), głośnik jest solidnie wykonany z dobrej jakości materiałów. Wzornictwo tego modelu budzi już jednak kontrowersje. Wszystko przez oryginalny kształt i spore wymiary (może więc dominować w salonie). Akurat mnie oryginalny, a przy tym nadal minimalistyczny design się podoba. Absolutnie nie przeszkadza mi też to, że do wyboru są tylko dwa „nudne" kolory: czarny lub biały.

Zarówno instalacja, jak i obsługa są bajecznie proste. Producent naprawił bowiem aplikację, która w 2024 r. – po nieprzemyślanej aktualizacji – długo psuła nerwy wielu użytkownikom na całym świecie (popsuła też wyniki finansowe firmy, więc jej prezes pożegnał się z posadą). Obecnie Era 300 pozwala bez stresu słuchać muzyki z tysięcy internetowych stacji radiowych lub z serwisów typu TIDAL czy Spotify. Dużym plusem testowanego modelu jest technologia Trueplay, dzięki której głośnik analizuje akustykę konkretnego pomieszczenia, automatycznie się do niego dostrajając.

W modelu Era 300 rozszerzono też możliwości podłączania różnych źródeł dźwięku – użytkownik ma do wyboru wi-fi, Bluetooth lub połączenie przewodowe.

Kluczową zaletą tego głośnika jest jednak jakość dźwięku: pełnego szczegółów, z mocnym, ale nie przesadzonym basem i wyraźnymi wysokimi tonami. Na pochwałę zasługują też bardzo szeroka scena muzyczna, a także kompatybilność z Dolby Atmos (wystarczą więc soundbar tej samej firmy i dwa głośniki Era 300, aby stworzyć bezprzewodowy zestaw do kina domowego). Specjalna konstrukcja głośnika sprawia, że w jego brzmieniu rzeczywiście można się zanurzyć. A gdy słucha się partii chóralnych z zamkniętymi oczami, odnosi się wrażenie, że w salonie pojawiło się nagle kilkanaście osób. Przy oglądaniu filmów strzały przelatują zaś przez cały pokój...

Minusy? Nieco irytujące jest to, że choć sam głośnik kosztuje dużo, to i tak np. adapter wejścia liniowego trzeba kupić oddzielnie. Niektórym brakować może asystenta Google (choć jest Alexa). Trzeba też pamiętać, że Sonos tworzy zamknięty ekosystem: produktów tej marki nie da się więc łączyć z głośnikami innych firm.

Cena: 2099 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

eprasa.pl e52cb26f6a

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Przysmaki z Litwy

Kiedy jesień przytłoczy nas swoim przygnębiającym klimatem, może by tak udać się na dni kilka do wód? Nie tak bardzo daleko od granic naszego kraju leży jedno z najlepszych uzdrowisk klimatycznych i balneologicznych w Europie – to litewskie Druskieniki. Doskonałą sławą cieszyły się już wieki temu, a status uzdrowiska nadał tej miejscowości król Stanisław August Poniatowski w 1794 r.

W Druskienikach mieści się także całoroczne centrum sportów zimowych, więc jesienny wypad można potraktować również jako rozgrzewkę przed sezonem. Spacery, kąpiele solankowe i borowinowe, różnorakie zabiegi są jednak dość męczące. Dobrze jest więc zaplanować sobie odnowę sił dzięki wyśmienitej litewskiej kuchni. Zwłaszcza że w II Rzeczypospolitej była to jedna z trzech – obok warszawskiej i galicyjskiej – najbardziej cenionych.

Odnajdujemy w niej wpływy polskie, ukraińskie, tatarskie, później też rosyjskie i niemieckie. Pełna jest egzotycznych przypraw, które na Litwie były tańsze niż w Europie Zachodniej, a więc i bardziej dostępne. Czasami na targu w jednej z budek sprowadzających litewskie specjały kupujemy pyszny wileński chleb – ma specyficzną konsystencję i smak, kindziuk, czyli suszoną, pikantną wędlinę, bywa także kastinys, czyli doprawiona ziołami i czosnkiem mieszanka śmietany i masła.

Jednak na chłodną jesień lepsze będzie danie ciepłe – i tutaj możemy wybierać: cepeliny, kołduny, babki ziemniaczane, bliny z grzybami. A Litwini potrafią świetnie przyrządzać grzyby!

Dzisiaj zaproponujemy przepis na najsmaczniejsze litewskie kibiny, czyli pieczone pierogi, które swoim wyglądem przypominają bułeczki. Faszerowane są na Litwie jagnięciną, wołowiną, obecnie też faszeruje się je kapustą, grzybami lub serem i podaje na ciepło z bulionem lub barszczem. Potrawa pochodzi od mniejszości etnicznej – Karaimów, ludu pochodzącego z Turcji, który osiadł na terenach Wielkiego Księstwa Litewskiego w okresie średniowiecza.

Kibiny

Ciasto kruche:

• 350 g mąki • 200 g masła zimnego • 3 jajka, dodatkowo 1 do posmarowania bułeczek przed wypiekiem • 2 łyżki mleka • niecała łyżeczka soli

Nadzienie:

• 400 g mięsa mielonego (wołowe lub z kurczaka, ewentualnie baranina) • 1 duża cebula • sól, pieprz, oregano, czerwona papryka: mielona słodka i wędzona – po ½ łyżeczki • 1 ząbek czosnku przeciśnięty przez praskę • zielona pietruszka – natka (½ pęczka)

Mięso mieszamy z przyprawami, wyrabiamy przez kilka minut, dodajemy czosnek, natkę, mieszamy.

Ciasto zagniatamy, dość szybko owijamy w folię spożywczą, odstawiamy na 30 min do lodówki. Wyjmujemy, czekamy chwilkę, aby osiągnęło temperaturę pokojową, rozwałkowujemy i wycinamy okręgi lub rąby. Na środek nakładamy farsz ok. 1 łyżki stołowej i zamykamy tak samo, jak pierogi – zaciskamy z każdej strony. Nagrzewamy piekarnik do 180 st. C góra-dół, pierogi układamy na blaszce wyłożonej papierem do pieczenia, smarujemy roztrzepanym jajkiem z mlekiem. Możemy z wierzchu posypać solą gruboziarnistą. Pieczemy 25 min lub do złotego koloru. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Szacunek dla przyrody

Zanim ludzie nauczyli się tkać, umieli obedrzeć skórę z zabitego zwierza, mięso zjadali, z kości robili broń. Było to 7 tys. lat temu, w paleolicie. Widok otulonych w lśniące skóry renesansowych książąt, carów okrytych skórą tygrysa czy sobola budzi dzisiaj raczej zaciekawienie niż chęć naśladowania. Jeszcze 50 lat temu każde niemowlę miało fotkę na niedźwiedziej skórze. Teraz człowiek w prawdziwym futrze wygląda jak przebieraniec, trochę jak facet w skórze misia, który pozuje do zdjęć w Zakopanem. Mamy samochody z ogrzewanymi siedzeniami, kurtki puchowe oraz zimy bez mrozu. O futrach mówi się dziś tylko źle.

Jeszcze kilka lat temu we Włoszech norki były narodowym okryciem kobiet. Noszonym po prostu, na co dzień, kiedy wychodzi się do miasta, zaczepiając po drodze o trzy bary espresso. We Francji też nikt się na futro specjalnie nie oburzał. Dziś to się zmieniło. Widok prawdziwego futra jest tam tak rzadki, jakby ten gatunek całkiem zanikł.

Fakt – po co nam prawdziwe futro, skoro sztuczne wygląda tak samo, grzeje tak samo i kosztuje kilkanaście razy mniej?

We wczesnym PRL futro było raczej niepoprawne ustrojowo, jako relikt sanacyjnego zbytku. W latach 70. pojawiły się rude i srebrne lisy, pierwsze symbole gierkowskiego statusu. Stać na nie było głównie panie trudniące się najstarszym zawodem świata, szybko więc nabrały podejrzanej konotacji. Gdy zapanował młody kapitalizm, lisy przestały wystarczać. Prawdziwa bogata dama, żona właściciela hurtowni, nosiła prawdziwe norki. Ale w zasadzie problem futer nikogo specjalnie nie obchodził.

Poza futrami in extenso mamy też cały festiwal futrzanych dodatków – czapki, torby. Wysokiej jakości kurtki, jak Moncler i Woolrich, nie używają w ogóle sztucznych futer na obszycie kołnierzy – wykończają je prawdziwym. Ciekawe, że królik, plebejskie zwierzątko, którego futerka w czasach sprzed kurtek puchówek nosiły dzieci, też awansował do pierwszej ligi.

Mówi się: człowiek zawsze zabijał zwierzęta. Ale na futra mają prawo oburzyć się tylko wegetarianie, którzy chodzą w plastikowych butach. Inni jedzą szynkę, kotlety, kurczaki, noszą buty i torby ze skóry. Na to zwierzęta się także zabija. Czy zabicie krowy jest mniej naganne niż zabicie nutrii? Kurczaki stłoczone w ogromnych kurnikach mają straszne życie.

Technologia tekstylna jest w stanie wyprodukować dzisiaj gronostaja, sobola, szynszylę, ocelota, nie mówiąc o niedźwiedziu, u nas pieszczotliwie zwanym misiem. Dziś człowiek nie musi już udowadniać swojej wyższości nad przyrodą przy pomocy strzelby. Dziś ginącej przyrodzie trzeba okazać szacunek. ©℗

eprasa.pl e52cb26f6a

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Granice demokracji

Ostatnio rozmawiałem ze swoim kolegą z Francji, który jest tak wielkim frankofilem, że wszystko odnosi do optyki paryskiej, jakby wciąż istniała realna perspektywa byłego mocarstwa, inna niż wspomnienie byłej wielkości. Otóż na przykładzie afery z pozbawieniem możliwości startu w wyborach Marine Le Pen wywiódł on, że Zachód jest bardziej zaawansowany w bezceremonialnym narzucaniu ludowi woli elit, gdyż suweren francuski został już tak namagnesowany tą dwupolówką – porządni kontra faszyści – że nic nie stoi na przeszkodzie w działaniu władz na dowolny rympał.

Podobny poziom bezwstydu miała osiągnąć i Rumunia, kiedy tak długo głosowano w wyborach na prezydenta, aż naród „powinność swą zrozumiał" i zagłosował jak trzeba. Coś jak w kwestii powtarzanych referendów w Irlandii – do skutku. Ma to pokazywać nowy poziom demokracji walczącej, ogarniający już Europę, na którego tle – tak wywiódł mój kolega z Francji – Polska jednak jawi się jako chlubny wyjątek, gdyż podobne numery u nas nie przeszły.

Myślał o niedawnych wyborach prezydenckich w Polsce, kiedy właściwie wszystko było już gotowe na podobny numer, no, może oprócz marszałka Hołowni, a później PKW, która uznała legalność wyborów. A jednak władza nie poważyła się podnieść ręki na wyrok ludu. Z tego wynikać miało, że u nas wciąż u władzy zdarzają się ludzie porządni, a nieporządni, lecz władzy żądni obawiają się suwerena.

Myślę, że nic podobnego. Nie odstajemy, tylko mamy dwa warianty. Albo mocarną ręką Amerykanie wymusili, nawet na Ursuli von der Leyen, akceptację wyniku, choć był i bliski skręcenia, i narzędzia manipulacji wyniku już były gotowe albo – w co wierzę bardziej – wyszło z badań opinii publicznej, że społecznie ten numer nie przejdzie. Co mogło wyznaczyć cenę nie tylko za głowę Trzaskowskiego, lecz także Tuska.

Słuszności tej drugiej tezy dowodzą doświadczenia z czasów pandemii. Po pierwszej fazie covidowej paniki wyraźnie było widać, że decyzje władz co do obostrzeń nie miały podłoża epidemiologicznego, tylko stanowiły emanację badanych nastrojów społecznych. Tak jest i teraz – polskie uśmiechnięte władze nie robią z nami, co chcą, tylko robią tyle, na ile pozwala im przebadany szczegółowo poziom akceptacji społecznej tych działań. Widocznie – czy to w Rumunii, czy na tzw. starym Zachodzie – poziom akceptacji dowolnych działań władz jest już tak bezwzględnie wysoki, że tam można już znacznie więcej. Co wystawia lepsze oceny polskiemu społeczeństwu niż jego politycznym przedstawicielom. Politycy, jak to w demokracji, są w stanie wycisnąć z ludu, co chcą, do granicznego poziomu biernej zgody. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Wiara czyni cuda

22 października (w dniu liturgicznego wspomnienia św. Jana Pawła) minęło pięć lat od wyroku Trybunału Konstytucyjnego dotyczącego aborcji eugenicznej. Orzeczenie przywróciło gwarancję życia dzieciom, u których w okresie prenatalnym podejrzewano niepełnosprawność. Istotne jest słowo „podejrzewano". Zdarzały się bowiem sytuacje, że lekarz badając, orzekał upośledzenie, a tymczasem matka nie dokonała aborcji i urodziła zdrowe dziecko.

Wyrok TK z 2020 r. kończył polityczne „manewry" sejmowej większości, która będąc w kleszczach, z jednej strony znacznej części własnych wyborców i Kościoła, z drugiej – liberalnej frakcji PiS, „grała na czas", wycofując lub kierując nowelizację do komisji. Zmaganiom wewnątrz obozu prawicy towarzyszyła wściekła kampania anty-PiS, która obok postulatu: „żeby było tak, jak było" kwestie aborcji włączyła do pakietu walki z rządem. Środowiska aborcyjne (wspierane również z zagranicy, w tym przez Komisję Europejską) organizowały uliczne protesty, a spektakularnym apogeum była reakcja na wyrok TK, wyrażona hasłem: „Wypier....ć" i w manifestacjach Strajku Kobiet. Paliwem protestów były, jak dziś wiadomo, nie tylko kwestie aborcji, lecz także zmęczenie restrykcjami sanitarnymi i frustracja anty-PiS po przegranych kolejnych wyborach – sejmowych i prezydenckich.

Masowość i skala agresji demonstracji były czymś bez precedensu. Nobilitacja wulgaryzmów w oficjalnych przekazach, ataki na kościoły – to wszystko miało niespotykany wcześniej wymiar. I gdy wydawało się, że czarne błyskawice niepodzielnie zdominowały przestrzeń publiczną, nagle na ulicach miast pojawiły się gigantyczne billboardy z dzieckiem w pozycji jak w łonie matki, wpisanym w serce. Przez kilka miesięcy ta największa w historii kampania społeczna (niezawierająca komercyjnych logotypów) z przesłaniem afirmującym ochronę życia i rodzinę w licznych wariantach towarzyszyła Polakom. Okazało się, że jest ona samodzielną inicjatywą właścicieli Fundacji Kornice, przedsiębiorców – Kasi i Mateusza Kłosków. Tylko w pierwszych miesiącach zakupili oni na ten cel 40 tys. nośników, a potem przecież były kolejne serie. I dziś, choć nowa władza od dwóch lat próbuje zmienić prawo, Polska nadal broni życia nienarodzonych. Przypomnę dwa małe szczegóły. Pierwszy: w okresie poprzedzającym wyrok TK w kościołach trwała modlitewna nowenna. Drugi: gdy zapytałem Kasię i Mateusza o motywacje przeznaczenia kilkudziesięciu milionów na kampanię, odpowiedzieli wprost – wiara. ©℗

eprasa.pl e52cb26f6a

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Rzecznik do wymiany

W warszawskiej prokuraturze zapowiadają się zmiany, ale po kolei. Stop. Donald Sama Prawda Tusk napisał w mediach społecznościowych słowa wstrząsające: „Okazuje się, że PiS podsłuchiwał przy pomocy Pegasusa moją żonę i córkę. Wnuczki i wnuków też, podpalaczu z Żoliborza?". Stop. W związku z tą właśnie grozą o komentarz poproszono rzecznika prasowego Prokuratury Krajowej Przemysława Nowaka, który dodał do wypowiedzi premiera jeden ważny szczegół: „Z dotychczas zgromadzonego materiału dowodowego nie wynika, aby bezpośrednio wobec Katarzyny Tusk-Cudnej stosowano oprogramowanie Pegasus". Stop. Jeden ważny szczegół. Stop. Do bani z takim rzecznikiem.

Teraz trochę o złocie, choć pozostajemy w problematyce powyższych podsłuchów. Stop. Bardzo ważna oraz zasłużona w Platformie postać, wicemarszałek Senatu Rafał Grupiński, wystąpiła z pewnym postulatem, aczkolwiek asekurowała się, iż mało rozumie. Stop. Grupiński stwierdził publicznie: „Po informacji o podsłuchiwaniu rodziny szefa Rady Europejskiej Ziobro powinien od razu wylądować w areszcie jako były prokurator generalny. Nie do końca rozumiem, dlaczego tak się nie dzieje. Jest przepis o sprawstwie kierowniczym, a nikt takiej decyzji nie podjął bez wiedzy ZZ". Stop. Internauci cierpliwie tłumaczyli panu seniorowi, że nikt rodziny Tuska nie podsłuchiwał, a córka Donalda nagrała się, ponieważ telefonowała akurat do Romana Giertycha, prawnika familii Tusków, którego akurat podsłuchiwano, i to zgodnie z prawem. Stop. Dalej tłumaczono, że o podsłuchach Pegasusem decydował za każdym razem sąd, a nie prokurator generalny, choćby nazywał się Ziobro. Stop. No i teraz o złocie: Panie Rafale, milczenie jest złotem.

Ja wszystko rozumiem, ja jestem tolerancyjny, ale wszystkiego to ja zrozumieć jednak nie mogę. Stop. Oto Andrzej Szejna z Lewicy, były wiceminister spraw zagranicznych (pisałem już, że spraw zagranicznych?), został zaczepiony przez pewnego młodziaka. Stop. Młodziak pokazał byłemu wickowi flagę Islandii i zapytał go, co to za flaga. Ja rozumiem, że nie każdy musi to wiedzieć, niemniej nie mówimy o „każdym", tylko o byłym wiceministrze spraw zagranicznych (pisałem już, że zagranicznych?). Pan Szejna nie wiedział, strzelał i pudłował kilkakrotnie, ale młodziak postanowił mu rzucić koło ratunkowe, podpowiadając, że stolicą tego państwa jest Rejkiawik. Stop. No i tu nie rozumiem, bo i tego pan Szejna nie wiedział. Stop. Cóż rzeka Kompromitacja znów wystąpiła z brzegów… Stop. Czy to nie przykre, że podstawowymi kompetencjami w polityce stają się ignorancja i paplające nieuctwo? ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Profesor i Bardotka

Bardzo ciekawe spory rozpalają się właśnie w łonie największej polskiej partii opozycyjnej. Jak grzmi jej prominentny polityk, prof. Przemysław Czarnek, popierana przez większość polityków PiS ustawa o zakazie hodowli zwierząt futerkowych „jest błędem z kilku powodów – gospodarczych, jak i również ideologicznych". „Nie można tego rozwiązania popierać – mówi – to jest szkodliwe dla gospodarki, dla polskiej wsi. I nic nie wnosi, żadnej ochrony zwierząt tutaj nie ma w tym rozwiązaniu, to jest podejście wyłącznie ideologiczne".

Wartościową intelektualną rozrywką mogłaby stać się debata krytykującego „uleganie przez PiS argumentom stosowanym przez lewicę" prof. Czarnka z wyznającym krańcowo odmienne poglądy prof. Ryszardem Legutką. Były europoseł PiS, znany także ze studiów nad filozofią Sokratesa, ma w sprawie „cierpienia zwierząt hodowanych na futra" poglądy zaskakująco radykalne. W roku 2018 zorganizował on w Parlamencie Europejskim, wraz z grupą partyjnych kolegów, wystawę zatytułowaną „Niech futra przejdą do historii". Intelektualną mentorką, a może i wzorem etycznym dla krakowskiego akademika okazała się francuska aktorka Brigitte Bardot. Podczas inauguracji organizowanej przez prof. Legutkę wystawy odczytano nawet, poprzedzający posłanie Jarosława Kaczyńskiego, list Bardotki, w którym gratulowała ona organizującym wystawę posłom. „Mam nadzieję, że Polska wkrótce również wprowadzi zakaz hodowli zwierząt na futra" – napisała polityczna sojuszniczka prof. Legutki.

W kolejnych odsłonach politycznej kariery znakomity komentator Platona do kwestii zwierząt futerkowych niestety nie wracał. W roku 2018, brylując na brukselskich salonach, zapewniał jednak: „Wrażliwość na los zwierząt nie ma zabarwienia ideologicznego, jest po prostu wyrazem wrażliwości ludzkiej. I jest głęboko zakorzeniona w tradycji europejskiej […]. Wspomnę tu tylko o św. Franciszku, a więc tradycji chrześcijańskiej, bliskiej sercu konserwatystów. To tradycja przyjacielskiego, troskliwego stosunku do tego, co żyje".

Spór o konserwatywne korzenie ekologicznego „bambizmu" mógłby być niewątpliwie atrakcją zbliżającej się programowej konwencji PiS. Może warto zaprosić na nią samą 91-letnią dziś Brigitte Bardot? Wieku uczestników debaty nie zdoła ona znacząco zawyżyć. Wielu politykom PiS spotkanie z seksbombą – symbolem lat 60. – dałoby szansę powrotu do czasów chmurnej młodości, kiedy opowiadanie górnolotnych bzdur było przywilejem podlotków, a nie przejawem obsesji albo oportunizmu starszych panów. ©℗

eprasa.pl e52cb26f6a

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Ostatnia posługa

A to heca / nie ma Leca! / Lec-go" – dowcipkował umierający aforysta Stanisław Jerzy Lec. „Holendrzy to mądra nacja / bo wiedzą, co trzeba zrobić, / gdy znika naturalna oddychacja" – to ostatni, żartobliwy wierszyk Wisławy Szymborskiej o eutanazji, podyktowany przez nią po operacji tętniaka i podłączeniu jej do butli tlenowej. „Sucha kostucha ta Miss Wykidajło / wyłączy nam prąd w ciągu dnia / Pchajmy więc taczki absurdu jak Byron / bo raz mamy bal!" – pisała o śmierci lirycznie i żartobliwie Agnieszka Osiecka. „Jak dobrze mi w pozycji tej / w pozycji ho-ry-zon-tal-nej / ubodzy krewni niosą mnie na swych ramionach / A za trumną idzie żona" – kpił z kostuchy poeta i satyryk Maciej Zembaty w swoim arcydziele czarnego humoru pt. „Ostatnia posługa", śpiewanej na melodię „Marsza żałobnego" Chopina. „Nie ma nic bardziej śmiesznego niż leżenie w trumnie" – uważał Jerzy Andrzejewski i unikał pogrzebów, a Magdalena Samozwaniec ciągle na nie biegała, bo – jak mówiła – „na starość znów bawimy się w chowanego!".

Pisarski cech oswajał bowiem nieuchronną śmierć, „zamknięcie w piórniku", śmiechem, żartem, humorem, które osłabiały grozę, pozwalały uciec od rozpaczy. Najczęściej uciekali od niej literackimi zabawami, układaniem żartobliwych, makabrycznych i złośliwych „nagrobków", wierszowanych epitafiów. Skamandryci, wspominała Maria Iwaszkiewicz, układali je wszystkim swoim przyjaciołom, np. redaktorowi „Wiadomości Literackich" Mieczysławowi Grydzewskiemu: „Grób, cztery deski / a w środku Grydzewski", „Tu leży Grydzewski / nie martw się o niego / on już jest redaktorem Pisma Świętego", „Przed domem Breitera / już kondukt się zbiera", „Widzę już Leszka / Jak w grobie mieszka" (o Lechoniu), „Nuże Lilpopie / już Ci grabarz / grób kopie", „U Tuwima / żony już ni ma", o pani nazwiskiem Jodko: „Niby jeszcze jest zdrowa / ale umrze Jodkowa". Po skamandrytach poszło jak pożar po wsi, zwłaszcza w „krakówku", np.: „Umarł Tadeusz Hołuj / Boże, decyzji swej nie odwołuj", „Słuchaj, mój ludu o Kurku Jalu / Kiedy zamilkł / nie było żalu", „Tu leży Miłosz / Chmurna twarz / Klęknij i odmów Ojcze Nasz" (W. Szymborska), „Najaktywniejsza w niebie jaczejka / Uruchamiana jest przez Machejka" (twardogłowego komucha, dozgonnego szefa „Życia Literackiego"). Autorem całej serii „nagrobków", w których pouzywał sobie na literatach, był Stanisław Barańczak, np. „Że też jej było Wanda / Jest to po prostu granda / Tamta nie chciała Niemca / ale dla rodaka robiła się słodka jak malina / Ta gdzieś miała tuziemca / Wyglądała jakby miała tasiemca / A słodkie oczy robiła tylko do Stalina" (o Wandzie Wasilewskiej). „Umarł Roman Bratny / nikt jakoś nie czuje się stratny", „Tu leży Andrzej Brycht / autor książek zwyczajnie złych / lecz na plus nam zapiszmy / Choć to Brycht / również książek nadzwyczajnie niedobrych".

Licznych często „nagrobków" doczekała się większość PRL-owskich pisarzy, np.: „Zmarł Jarosław Iwaszkiewicz / między prawdą a Bogiem / Ty go partio błogosław / krzyżyk na drogę", (J. Brzechwa), „Amator pacyfizmu i młodzieży pilot / Od dziecka kocha młodzież / i zna ją na wylot" (M. Hemar), „Jarosław Iwaszkiewicz / Boże, ratuj! / Żył z całym Związkiem Literatów" (M. Wolski), „Odszedł w zaziemskie krainy / Gdy życia nadeszła jesień / Będą odpuszczone mu jego winy / jak ja mu odpuszczam jego »Wrzesień«" (M. Słomczyński o Putramencie), „Broniewskiego żywot można ująć pokrótce / Radykalizował się w poezji / Konserwował w wódce", „Nawet w książkowej awarii / nikt nie sięgał do książek Jana Gisgesa Marii" (trzeciorzędnego literata i politruka), „Przeżyłam Oświęcim / Cóż to za zasługa / Że jedna potworność / przeżyła drugą" (Stanisław Jerzy Lec o Krystynie Żywulskiej, autorce autobiograficznej książki o Oświęcimiu, która uważała, że wobec tego wszystko jej wolno), „Po »Małej Apokalipsie« / nie mógł opędzić od cip się / i tak na nie krzyczał i tupał / że struny sobie rozłupał / i odtąd gardziołko ma w gipsie" (Andrzej Szczepkowski o Tadeuszu Konwickim), „Tu leży Jaszcz, przechodniu – naszcz!" (A. Szczepkowski o Janie Alfredzie Szczepańskim, wyjątkowo wrednym i pryncypialnym recenzencie „Trybuny Ludu"). Nierozpieszczany wznowieniami wybitny, stary poeta Leopold Staff sam sobie napisał proroczy „nagrobek": „A jak umrzemy, a jak umrzemy / to nam pokadzą / ale poezji, ale poezji / nam nie wydadzą". ©℗

Licznych często „nagrobków" doczekała się większość PRL-owskich pisarzy, np.: „Broniewskiego żywot można ująć pokrótce / Radykalizował się w poezji / Konserwował w wódce"

eprasa.pl e52cb26f6a

NO KINGS

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Pod tym hasłem lewacy protestują w USA przeciw polityce Trumpa. NO KINGS znaczy ŻADNYCH KRÓLÓW. W ich mniemaniu Trump chce mieć władzę absolutną – dlatego protestują. W takim razie powinni zmienić hasło na dokładnie odwrotne: Koronować Trumpa. Przecież gdyby Trump został królem, to straciłby władzę. Dowody: Jaką władzę ma król brytyjski? Dekoracyjną. A jaką władzę ma król Szwecji? (Karol lub Gustaw, lub jedno i drugie, nie bardzo wiemy, bo król Szwecji nie ma znaczenia). Władza współczesnych królów ogranicza się do tego, że gdzieś tu i tam król jeszcze jest. Najwięcej władzy mają rody szejków w Arabii. Tam najbliżej do władzy absolutnej, ale nadal daleko.

***

Hasło NO KINGS jest nietrafione – powinni skandować proste: NO TRUMP. Oni nie chcą Trumpa i to nie ma nic wspólnego z królem. Trump działa w ramach amerykańskiej konstytucji, a gdy jakaś sprawa jest konstytucyjnie niejasna, wówczas Trump robi coś na wyczucie, ale potem jest skutecznie blokowany przez sądy i wtedy musi składać apelację. Trump nie zawsze wygrywa. Czyli żaden z niego dyktator, żaden władca autorytarny.

A poza tym w USA jest bardzo wielu królów, których Amerykanie oficjalnie mianowali. Królem był Elvis Presley, skandowano mu hasło „król" na koncertach. Królem był Michael Jackson. Królem muzyki country jest George Strait i na billboardach zapowiadających jego koncerty piszą THE KING plus dają zdjęcie bez nazwiska i każdy od razu wie, o kogo chodzi, bo jest tylko jeden król country. (Królową jest nadal Dolly Parton i ona nie jest żoną G. Straita, choć oboje królują w tym samym kraju). Natomiast B.B. King to król podwójny, bo ma króla w nazwisku oraz został mianowany królem bluesa.

***

W USA w mowie potocznej oraz w branży rozrywkowej, a także w sporcie jest cała masa królów oficjalnie mianowanych na swoje pozycje. Amerykanie to lubią i im to nigdy nie przeszkadzało. Traktowali to nawet jak coś w rodzaju prztyczka w nos Brytyjczyków. Gdy powstawały Stany Zjednoczone, musiały najpierw wygrać Wojnę o Niepodległość z królem brytyjskim. Pokonali króla, zdetronizowali go na terenie Ameryki i ustanowili pierwszy w historii świata system prezydencki BEZ KRÓLA. A teraz mają całą masę własnych królów – w każdej branży jakiś.

Słowo „prezydent" w języku amerykańskim oznacza tyle co „prezes". W Polsce szefem władzy wykonawczej też jest prezes – Rady Ministrów. Dlatego ZERO KRÓLÓW jest hasłem kompletnie nietrafionym, bo władzę w kraju sprawują prezesi, a Trump też jest prezesem.

Lewica to durnie bez polotu. Nie mają poczucia humoru, nie mają luzu, nie potrafią wymyślić nośnego hasła. A jest tyle opcji: Obalić Trumpa, Trump won, Żadnych Trumpów, Trump precz…

***

Motorem napędzającym protesty w USA jest George Soros i jego forsa. Lewica w Ameryce straciła impet, straciła polot, straciła poczucie humoru, straciła to, co Amerykanie bardzo lubią – dystans do samych siebie. Dlatego lewica przegrywa. Nie mają w sobie autoironii, mają wyłącznie jad. Podobnie jak Tusk i… podobnie jak PiS – zero autoironii, zero dystansu, zero luzu. Wszystko i zawsze jest teraz na ostrzu noża i mamy się wyrzynać, zarzynać, użerać, a nie dogadać. Diabeł się cieszy.

Kaczyński, gdyby miał luz, mógłby powiedzieć: Wiem, że mam kilka wad – jestem niski, mam kwaczący głos i siedzę w polityce za długo, ale… Tusk jest rudy, no i taki mają państwo wybór.

W czasach, gdy Tusk kandydował przeciwko Lechowi Kaczyńskiemu w wyborach prezydenckich, mógłby powiedzieć: Od dawna walczę z Kaczyńskim i zawsze mam pod górkę, bo ich jest dwóch.

Cokolwiek z dystansem do siebie i z dystansem do przeciwnika. Gdy taki dystans istnieje, naród wie, że ci goście teraz walczą o stołek, ale jednocześnie nie będą się zarzynać, lecz ostatecznie spróbują się dogadać i współpracować w interesie kraju.

Ronald Reagan, gdy kandydował na prezydenta, był „za stary" jak na amerykańskie oczekiwania tego, w jakim wieku powinien być sprawny prezydent. I Reagan sobie z tym poradził. W trakcie debaty prezydenckiej odniósł się z autoironią do tego, że kontrkandydat ze strony demokratów jest dużo młodszy, bardziej sprawny fizycznie i tak dalej. Reagan w trakcie debaty powiedział tak: Nie będę podnosił teraz kwestii wieku ani tego, że mój kontrkandydat jest o wiele za młody i niedoświadczony, aby być prezydentem… Sala ryknęła śmiechem i śmiechem też ryknął sam kontrkandydat, a potem grzecznie przegrał debatę z Reaganem.

***

NO KINGS to hasło beznadziejne. Hasła protestów ulicznych muszą być nośne. W Polsce w stanie wojennym skandowaliśmy „precz z komuną", obecnie w USA nośne byłoby „Trump precz". Moje hasło WSZYSCY WON drukuję na koszulkach i jest nośne – kupują je różni ludzie, niekoniecznie konserwatywni w poglądach.

NO KINGS to porażka medialna, językowa, propagandowa. Protestujący pod tym hasłem mieszkają w kraju, gdzie miliony ludzi codziennie jedzą w sieci Burger King. Pierwszy bar Burger King został otwarty w 1954 r. w Miami, na Florydzie. Sieć ma prawie 20 tys. lokali w 100 krajach świata (w 1992 r. otwarto pierwszy lokal w Warszawie).

Ciekawostka podróżnicza: w Australii Burger King występuje pod nazwą Hungry Jack's. Australia nie może mieć więcej niż jednego króla, ponieważ jest jednym z Królestw Wspólnoty Narodów (podobnie jak Kanada czy Nowa Zelandia) i jest związana unią personalną z Koroną Brytyjską. Hasło NO KINGS w Kanadzie, Nowej Zelandii i Australii jest niekonstytucyjne. W USA wolno krzyczeć NO KINGS, ile kto chce, i nie ma za to kary. ©℗

eprasa.pl e52cb26f6a

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

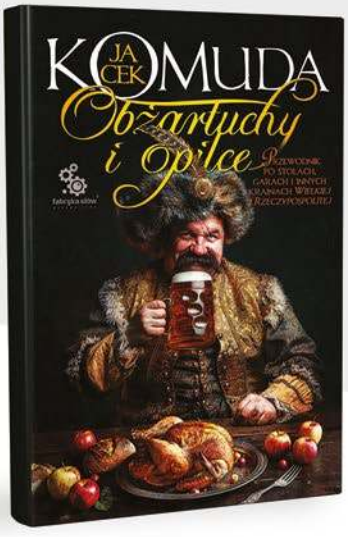

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA: „OBŻARTUCHY I OPILCE" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~601 ZŁ~~

273,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 328 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl e52cb26f6a

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

ROCZNA SUBSKRYPCJA DoRzeczy+ GRATIS

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl e52cb26f6a